

Ferrarella Marie

PAMIĘTNY WERNISAŻ

Mój najdroższy Remy!

Jakie jeszcze nieszczęścia los szykuje hotelowi, który powstał z naszej miłości i naszych marzeń? Czy nie wystarczą mu finansowe kłopoty, z jakimi musimy się borykać? Właśnie dziś, w przeddzień otwarcia karnawału, w całej Dzielnicy Francuskiej i na sąsiednich ulicach zgasty wieczorem wszystkie światła. A jakby tego było mało, zepsuł się nasz awaryjny generator i w Hotelu Marchand zapanowały egipskie ciemności.

Ja z mamą nocujemy u Sylvie, opiekując się jej śliczną córeczką, i mamy szczęście, bo przerwa w dostawie prądu nie dotknęła naszej dzielnicy. Ufam naszym dzielnym córkom, które na pewno postarają się zapanować nad sytuacją, niemniej zadzwoniłam do hotelu, aby dla własnego spokoju dowiedzieć się, co się tam dzieje. Okazało się, że poprzedzająca karnawał zabawa trwa w najlepsze. Goście po prostu przenieśli się z sali balowej na dziedziniec i tańczą pod gwiazdami na świeżym powietrzu.

Staram się nie upadać na duchu, ale nie mogę oprzeć się myśli, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdybyś nadal był z nami. Pisząc do Ciebie i łącząc się z Tobą myślami, trochę się uspokajam .

Ton amour

Anne

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Emily Lambert przystanęła na progu ojcowskiego gabinetu. W okna uderzał lodowaty styczniowy wicher. W Bostonie zapowiadała się wyjątkowo ostra zima.

Ojciec Emily zdawał się nie słyszeć wiatru ani nie zauważać jej obecności. Był całkowicie zaprzątnięty pracą. Mogłaby tak stać godzinę, a on nie podniósłby nawet oczu znad biurka.

Kiedy indziej odłożyłaby sprawę na lepszy moment, ale tym razem czas naglił. Trochę się denerwowała. Tata był wprawdzie najlepszym i najczulszym ojcem na świecie, lecz w niektórych kwestiach okazywał-niebywały upór. Również i dzisiaj spodziewała się ciężkiej przeprawy.

Potrzasnawszy głową dla dodania sobie otuchy, energicznym krokiem weszła do pokoju, nie czekając na zaproszenie. Wyjątkowo dojrzała jak na swoje szesnaście lat, Emily czuła się

czasami, jakby była nie córką, lecz matką tego poważnego pana mecenasa, specjalisty od prawa o przedsiębiorstwach. W gruncie rzeczy ojca i córkę łączyły bardzo bliskie, niemal przyjacielskie stosunki. Od czasu śmierci żony, która zginęła osiem lat temu w katastrofie samochodowej, wybitny prawnik Jefferson Lambert wziął na siebie wszystkie obowiązki związane z wychowaniem ukochanej córki, pozostając nadal pełnowartościowym partnerem znanej firmy prawniczej Pierce, Donovan and Klein.

Emily wiedziała, że ojciec, mimo nawału zawodowej pracy, nigdy jej nie zawiedzie. Zawsze był przy niej, ilekroć uczestniczyła w szkolnym meczu albo przedstawieniu, pomagał jej w matematyce, udzielał lekcji tenisa. Każdy jego dzień był dokładnie zaplanowany, nie pozostawiając czasu na towarzyskie rozrywki. Dopóki Emily była mała, lubiła mieć ojca tylko dla siebie i wcale jej nie przeszkadzało, iż jej ukochany tata nie ma poza domem własnego życia. Odkąd jednak podrosła na tyle, by interesować się chłopcami, sytuacja ta zaczęła jej ciążyć.

Mimo swej umysłowej dojrzałości, miała o sprawach męsko-damskich nader mgliste wyobrażenie. Nie wiedziała, jak zwrócić na siebie uwagę chłopców, ani jaki typ kobiety mógłby się spodobać jej ojcu. Z wiekiem coraz lepiej zdawała sobie sprawę z odmienności ich gustów. Nie potrafiła, na przykład, zrozumieć, jak można lubić musicale i sentymentalne piosenki, które ją dosłownie przyprawiły o mdłości. Niemniej miała nadzieję, że znajdzie się kobieta podzielająca dziwaczne upodobania ojca.

Emily zastanawiała się od długiego czasu, jak sprawić, aby zaczął się z kimś spotykać. Jego obecny tryb życia, ograniczony do domu i pracy, całkowicie wykluczał możliwość poznania stosownej osoby. Dlatego tak bardzo ucieszyło ją nadesłane w ostatnich dniach grudnia zaproszenie z Nowego Orleanu na spotkanie członków uniwersyteckiej korporacji, do której ojciec należał za studenckich czasów. Był to nieoczekiwany dar losu, którego nie chciała zmarnować.

Przekonana, że ojciec sam niczego podczas wyjazdu nie wskóra, postanowiła poświęcić swoje oszczędności i za pośrednictwem którejś z ogłaszających się w sieci agencji kojarzenia par umówić go w Nowym Orleanie na randkę w ciemno.

Cóż, sprytnie ułożony plan wziął w łeb, kiedy ojciec stanowczo oświadczył, że z zaproszenia do Nowego Orleanu nie zamierza skorzystać. Po czym, dla podkreślenia ostateczności swej decyzji, wyrzucił je do kosza. Emily nie dała za wygraną i następnego dnia położyła mu na biurku wyciągnięte z kosza, rozprostowane zaproszenie. I tak przez kolejne dni zaproszenie lądowało w koszu, aby nazajutrz znowu pojawić się na blacie biurka. Gdzie teraz powinno się znajdować.

Emily spostrzegła jednak, że znowu spoczywa w śmieciach. Z westchnieniem wyjęła z kosza wzgardzoną kartkę, która miała jej utorować drogę do samodzielności.

- Spadło ci z biurka - rzekła jak gdyby nigdy nic, podając ojcu nieszczęsne zaproszenie.

Ojciec dopiero teraz oderwał od komputera oczy. W wieku czterdziestu siedmiu lat wysoki i barczysty Jefferson Lambert zadziwiał swym młodzieńczym wyglądem i fizyczną tężyzną. Tylko błyskające w gęstych ciemnych włosach nitki siwizny nasuwały przypuszczenie, iż jest starszy, niż się wydaje. Przekomarzając się z córką, lubił swe pojedyncze siwe włosy nazywać imieniem Emily, upamiętniając w ten sposób fakt, że to właśnie ona bielila mu czuprynę.

- Dobrze wiesz, że nie spadło, tylko je wyrzuciłem - odparł. - Już ci mówiłem, że nie pojadę. Mam mnóstwo pracy, nie będę marnował czasu na jakieś koleżeńskie spotkania.

Zdaniem Emily czas został stworzony po to, aby niekiedy go marnować, a ponadto uważała, że ojciec, który cały swój czas poświęcał innym, powinien wreszcie zrobić coś dla własnej przyjemności.

- Och, tato! - westchnęła przeciągle.

- Och, Emily - przedrzeźniając córkę odparł ojciec.

Zachmurzyła się. To nieładnie, że ojciec sobie z niej podkpiwa, i to w chwili, gdy usiłuje coś dla niego zrobić. Wprawdzie ma przy okazji własne dobro na oku, ale to w niczym nie zmienia jej dobrych intencji.

- Powinieneś czasem się zabawić - rzekła poważnie.

- Po co, skoro w twoim towarzystwie bardzo dobrze się bawię?

- Mam na myśli towarzystwo dorosłych - wyjaśniła Emily. - Nie chcesz się zobaczyć z wujkiem Blakiem?

Blake Randall był najlepszym przyjacielem Jeffersona z czasów studiów w Nowym Orleanie. Nadal utrzymywali ze sobą bliskie stosunki, chociaż różnili się jak dzień od nocy. A kiedy Donna Lambert zaszła w ciążę, Jefferson poprosił Blake'a, by został ojcem chrzestnym Emily.

Blake wziął sobie rolę chrzestnego do serca i co roku przyjeżdżał do nich na Boże Narodzenie, przywożąc chrześniacze worek prezentów. Sam nigdy nie założył rodziny. Jefferson uważał go za lekkoducha i choć szczerze Blake'a lubił, nie pochwalał jego swobodnego trybu życia.

- Przecież niedawno był u nas na święta - przypomniał córce. - I pewnie wkrótce przyjedzie na twoje urodziny. - Jefferson wolał spotykać się z przyjacielem na własnym gruncie, w Bostonie, gdzie Blake musiał się dostosować do jego zwyczajów.

- Tato, przecież to dopiero w lipcu! - jęknęła Emily. - W ciągu pół roku cały świat może wylecieć w powietrze albo zapaść się pod wodą, jak stało się niedawno z połową Nowego Orleanu po Katrina. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale żyjemy w bardzo niepewnych czasach.

Jefferson z trudem powstrzymał uśmiech.

- Więc przynajmniej niektórzy z nas powinni zachować rozsądek.

- Nie brakuje ci towarzyskiego życia? - zawołała Emily. - Za parę lat będę dorosła i zacznę własne życie. Może nawet wyjdę za mąż.

- A więc mam jeszcze jeden powód, aby cieszyć się twoim towarzystwem.

Co za nieznośny uparciuch! Emily zaczynała tracić cierpliwość.

- A co będziesz robił, jak wyjdę za mąż?

- Pewnie włożę kaptcie, zasiądę w fotelu i będę wspominał czasy, kiedy moja Emily miała szesnaście lat - odparł z westchnieniem, przybierając smętną minę.

Emily załamała ręce. Rozmowa przypominała rzucanie grochem o ścianę. Sama nie da rady.

- Poddaję się - oświadczyła.

- Mądra dziewczynka. - Jefferson miał ochotę wyciągnąć rękę i zburzyć jej włosy, jak to robił, kiedy Emily była mała, ale powstrzymał się. - Dobrze jest wiedzieć, kiedy zostaliśmy pokonani - dodał z uśmiechem, wracając do komputera.

Ona jednak bynajmniej nie zamierzała złożyć

broni. W każdym razie jeszcze nie teraz. Pobiegnęła do swego pokoju, zamknęła drzwi i sięgnęła po telefon komórkowy. Wolą nie korzystać z telefonu stacjonarnego, bo ojciec mógłby się zorientować, z kim rozmawia.

Wuj Blake wyjątkowo był w domu. Kiedy usłyszała jego wesoły, tubalny głos, od razu poczuła się lepiej. Gdy wuj Blake chciał coś osiągnąć, nic nie mogło mu w tym przeszkodzić.

- Cześć, maleńka! Jak się miewa najładniejsza dziewczyna w Bostonie?

Tak zachęcona, zaczęła mu w pośpiechu wyklądać swoje zmartwienia. Z wujem Blakiem zawsze swobodnie jej się rozmawiało. Przy nim nie musiała się kontrolować, mogła być naprawdę sobą.

- Nie wiem, co robić. - wyznała na koniec. - Ojciec ani rusz nie chce jechać na wasze spotkanie.

W słuchawce rozległ się gromki śmiech.

- Nie martw się, zmuszę go do przyjazdu, ale powiedz mi, dlaczego mojej panience tak bardzo na tym zależy?

- Myślę, że wyrwanie się z domu na parę dni dobrze by mu zrobiło - odparła, zdecydowana nie

owijać rzeczy w bawełnę. - Powinien się trochę odprężyć. Rozluźnić ten swój gorset. W końcu lat mu nie ubywa; niechby przypomniał sobie, że istnieją kobiety, póki całkiem się nie zestarzeje .

- Hm!

Emily ugryzła się w język. Nie chciała wuja dotknąć. Starsi ludzie bywają drażliwi na punkcie wieku.

- Chciałam powiedzieć, że w przeciwieństwie do ciebie, wuju, tata zachowuje się jak jakiś starzec.

- Bardzo ci dziękuję.

- Powiem wprost. Wyszukałam w Internecie formularz zgłoszeniowy agencji kojarzenia par i jestem gotowa poświęcić na to swoje oszczędności. Bo widzisz, pomyślałam, że gdyby udało się wysłać tatę do Nowego Orleanu i tam umówić go z kimś na randkę ...

- Poczekaj, nie wszystko naraz - przerwał jej Blake. - Chcesz się zwrócić do agencji kojarzenia par?

Nie była pewna, czy ojciec chrzestny nie poczuł się urażony. Niemniej wiedziała, że niektórzy dorośli korzystają z pomocy tego typu agencji.

- Tak - odparła po chwili wahania, obawiając się, że Blake może ją skrzyzczeć.

Tymczasem chrzestny parsknął śmiechem. Dobra nasza, pomyślała, teraz wszystko pójdzie jak po maśle.

- Zachowaj swoje pieniądze, Eillily - powiedział Blake. - Tak się składa, że znam kogoś, kto załatwi to za darmo.

- Naprawdę? - pisnęła radośnie.

- Obiecuję - odparł. - Możesz na mnie polegać.

No dobrze, ale co będzie, jeżeli tata się uprze i nie zechce pojechać? A dla niej skończy się nadzieja na większą swobodę?

- To wszystko pięknie, ale jak zmusić tatę do wyjazdu? Nie wsadzę go przecież do samolotu wbrew jego woli.

- Bądź spokojna, już moja w tym głowa, żeby dotarł do Nowego Orleanu i zjawił się na randce.

Emily wiedziała, że może na niego liczyć. - Wuju, jesteś genialny! - wykrzyknęła.

- Nie będę się z tobą sprzeczał - skromnie odparł Blake.

Zeskoczywszy z łóżka, Emily podbiegła do biurka i zaczęła szukać. ~ypełnionego formularza

wybranej agencji, który parę dni temu schowała pod książkami na wypadek, gdyby ojciec zajrzał do jej pokoju. No jest! Odetchnęła.

- Jak tylko skończymy rozmowę, wyślę ci faksem jego formularz.

- Masz już gotowy formularz? - zdumiał się Blake.

- Oczywiście, a co w tym dziwnego?

- No wiesz, Em, nie wiedziałem, że tak dalece wdałaś się w ojca. Na szczęście jesteś od niego ładniejsza - zażartował. - Jak tylko dostanę formularz, poproszę moją znajomą, aby znalazła dla taty odpowiednią partnerkę.

- Ale musi być ładna - zastrzegła Emily.

- To się samo przez się rozumie.

Blake najwyraźniej zmierzał do zakończenia rozmowy.

- I zabawna. 1... - Tu Emily urwała, zastanawiając się, jaka jeszcze powinna być osoba zdolna zainteresować dorosłego mężczyznę. - I musi być seksy - dodała.

Blake na moment zaniemówił.

- Przypomnij mi, dzieciно, ile ty masz właściwie lat? - zapytał w końcu, krztusząc się ze śmiechu.

Była pewna, że Blake tylko się z nią drażni. - W każdym razie nie jestem już dzieckiem

- rzekła z godnością.

- Oj tak, widzę - odparł z nutką smutku. Czasy się zmieniają, a dzieci szybko przestają być dziećmi. - Sprawa załatwiona, możesz na mnie polegać - dodał.

- Co powiedziałaś? - wykrzyknął Jefferson kilka dni później.

Normalnie nie miał zwyczaju podnosić głosu, lecz to, co usłyszał, daleko odbiegało od normalności. Wyjątkowo wrócił z pracy wczesnym popołudniem, aby zawieźć Emily na lekcje tenisa i ewentualnie zabrać ją na kolację, gdyby miała mało lekcji do odrobienia. Nim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, córka zjawiła się w jego gabinecie z telefonem w ręku.

- Dzwoni wuj Blake - oznajmiła. - Chce z tobą rozmawiać.

Jefferson poczuł się nieswojo. Instykt podpowiedział mu, że czeka go trudna przeprawa. Zwłaszcza po tym, jak Emily wcisnęła w telefonie przycisk pozwalający słyszeć z zewnątrz prowadzoną rozmowę, wyjaśniając mu przy tym w dosyć bezładny sposób, dlaczego jest taka

podniecona.

Jego córka i przyjaciel są w zмовie! Jeffersonowi zrobiło się gorąco. Przeprowa nie będzie łatwa. Zezłościł się, przybierając jeszcze groźniejszy wyraz twarzy.

Emily przestraszyła się nie na żarty. Ostatni raz widziała ojca zagniewanego, gdy nauczycielka angielskiego niesprawiedliwie postawiła jej trójkę z wypracowania. Ojciec interweniował w szkole i nauczycielka w końcu poprawiła jej stopień, a więc wszystko skończyło się dobrze, ale tym razem mogło być inaczej.

- Powiedziałam, że wujek Blake zorganizował ci w Nowym Orleanie randkę w ciemno - odrzekła niepewnie, podając ojcu słuchawkę.

- Po pierwsze, dobrze wiesz, bo już o tym rozmawialiśmy, że nie wybieram się do Nowego Orleanu - powiedział, nie zwracając uwagi na słuchawkę. - A po drugie, nawet gdybym pojechał, o czym zresztą nie ma mowy, to nie życzę sobie i ... i nie potrzebuję, żeby ktokolwiek umawiał mnie na randki.

- Hej, Jeffy, to dlaczego sam sobie kogoś nie znajdziesz? - rozległ się z mikrofonu głos Blake'a. Jefferson zmarszczył brwi. Nikt prócz Blake'a nie ośmielał się nazywać go Jeffym, a on to tolerował, może nawet lubił, bo przypominało mu dawne czasy.

Teraz jednak to zdrobnienie mocno go zirytowało.

- Bo nikogo nie szukam, Blakey - odciął się. Emily nabrała odwagi. Jeśli razem z wujem podejmą zmasowany atak, może uda się osłabić opór ojca i zmusić go do złożenia broni.

- Tato, wuj ma dla ciebie dwa zaproszenia, dla ciebie i twojej partnerki, na przyjęcie z okazji pokazu sztuki performance - oświadczyła, przybierając pewny siebie ton.

- Performance? A cóż to za diabeł, ta sztuka performance? - zgryźliwie skomentował słowa córki Jefferson.

Emily miała nadzieję, że wuj coś powie, a nie doczekawszy się jego interWencji, zaczęła:

- To taka sztuka ...

Ojciec uciszył ją machnięciem ręki. Na pewno jakieś wariactwo, na które ktoś taki jak on - solidny, chodzący obiema nogami po ziemi prawnik - nie ma czasu ani cierpliwości.

- Nie wysilaj się. Nie muszę wiedzieć, bo nigdzie się nie wybieram.

- Sylvie będzie zawiedziona - ozwał się z mikrofonu ponuro brzmiący głos.

- Jakoś się z tym pogodzi, kimkolwiek jest - odburknął Jefferson.

- Nazywa się Sylvie Marchand, tato. Jesteś z nią umówiony - wtrąciła Emily.

Przed podjęciem wspólnego ataku na ojca wuj zdał jej barwną i wyczerpującą relację na temat rzeczonyj pani, a Emily natychmiast poczuła do niej sympatię. Miała tylko nadzieję, iż Sylvie wybaczy jej pewne nieścistości, a właściwie kłamstewka, na jakie sobie pozwoliła, przedstawiając ojca w wysłanym do agencji formularzu. Ale działała pod wpływem wyższej konieczności. Prawda o nim, spisana na papierze, wydała jej się okropnie nudna. A przecież był wspaniały i zasługiwał na wszystko, co najlepsze.

Jefferson zerknął na córkę. Nie wąpił w jej dobre intencje, jednak tym razem nie ustąpi. Nie miał ochoty niczego zmieniać. w swoim dotychczasowym życiu.

- Z nikim się nie umawiałem. I z nikim nie zamierzam się spotykać - oświadczył.

Emily zmarszczyła czoło. Wpadła na znakomity pomysł.

- Tato, czy ty, no wiesz ... ? - Na chwilę straciła rezon. Szybko jednak zebrała się na odwagę. W walce o szczęście ukochanego ojca nie cofnie się przed niczym. Wziąwszy głęboki oddech, wypaliła: - Może wolisz mężczyzn?

Jefferson wściekł się na myśl o słuchającym ich rozmowy Blake 'u.

- Nie, nie "wolę" mężczyzn - odparł zimno - a w tej chwili jednego z nich chętnie wyzwałbym na pojedynek.

Emily obdarzyła ojca promiennym uśmiechem. Któremu, jak dobrze wiedziała, nie umiał się oprzeć.

- To dlaczego tak się bronisz? Podobna okazja może się nie powtórzyć. W końcu nie jesteś już taki młody. Chcesz żałować do końca życia, że ją przegapiłeś?

Jefferson zdał sobie sprawę, że osobie szesnastoletniej człowiek po trzydziestce wydaje się stojącym nad grobem próchnem, niemniej przykra mu była myśl, że córka uważa go za starca, którego dni są policzone.

Powinien zademonstrować jakieś bardziej młodzieńcze odruchy. Ba, ale jak to zrobić?

- Nie podoba mi się wasze spiskowanie za moimi plecami - powiedział nieco bardziej pojednawczym tonem.

- Sam nas do tego zmusiłeś swoim oślim uporem - wtrącił Blake. - Ja i Emily mamy na sercu tylko twoje dobro. Prawda, Emily?

- Oczywiście - gorąco przytaknęła. - No pojedź, tato, bardzo cię proszę! I nie odmawiaj spotkania z tą panią, którą wujek dla ciebie wybrał!

Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Jeffersonowi zmięкло serce. Kiedy tak na niego patrzyła,

nie potrafił jej niczego odmówić. Zrezygnowany, pokiwał głową.

- No dobrze, niech wam będzie.

Ruszył w kierunku kosza na śmieci, aby wyłowić zaproszenie do Nowego Orleanu, które wyrzucił wczoraj w nadziei, że nigdy więcej nie Ujfy go na oczy.

Jednakże Emily z uśmiechem zastąpiła mu drogę, wskazując palcem blat biurka. Na samym wierzchu leżał posklejany przezroczystą taśmą kartonik. Nareszcie się uśmiechnął.

- Co mam robić, skoro tak bardzo ci na tym zależy. Zgoda, pojedę.

Rozradowana Emily rzuciła mu się na szyję.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pełna temperamentu rudowłosa Sylvie Marchand miała trzydzieści pięć lat i niewyczerpany apetyt na życie. Jej bujna kariera, którą rozpoczynała jako obiecująca malarka, zawiodła Sylvie między innymi do Nowego Jorku, Los Angeles i Paryża, a ponadto obejmowała kilka sympatycznych związków z mężczyznami, w tym ostatni - bardzo krótki i o wiele mniej sympatyczny - z głośnym muzykiem rockowym Shane'em

Alexandrem, którego sława od pewnego czasu zaczynała przygasać.

Zarazem jednak ten ostatni nieudany romans obdarzył Sylvie największą radością jej życia, a mianowicie trzyletnią dziś córeczką o imieniu Daisy Rose.

Mimo zmiennych kolei losu Sylvie, będąca jedną z czterech córek Anne i Remy'ego Marchandów, nie tylko nie straciła radości życia, ale odwrotnie - nauczyła się chwytac i smakować każdą nadarzającą się chwilę szczęścia. Zarazem ze swoich doświadczeń wyciągnęła inną jeszcze naukę - że nie ma w życiu nic ważniejszego niż dom i kochająca się rodzina. I dlatego po latach wędrówek wróciła rok temu do Nowego Orleanu, aby objąć prowadzenie galerii sztuki przy należącym do rodziny Hotelu Marchand.

Była w domu, gdy cztery miesiące temu jej matka doznała zawału serca. Choroba matki była dla niej ciężkim przeżyciem. Cztery lata wcześniej Sylvie straciła uwielbianego ojca, który zginął przedwcześnie w wypadku samochodowym, a teraz choroba zagroziła matce, którą córki uważały zawsze za niezniszczalną podporę rodziny.

Anne Robichaux Marchand była jeszcze do niedawna osobą pełną niespożytej energii. Wiele lat temu ona i jej mąż weszli szczęśliwym zbiegiem okoliczności w posiadanie hotelu, którego właściciel popadł w finansowe tarapaty, przemianowali go na Hotel Marchand i wspólnym

wysiłkiem, dzięki organizacyjnym talentom Anne i kucharskiej sztuce Remy'ego, zmienili go w czterogwiazdkowy' przybytek luksusu. Zabytkowy hotel, położony w Dzielnicy Francuskiej Nowego Orleanu, stał się ulubionym miejscem pobytu bogatych turystów, szczególnie licznie nawiedzających miasto w okresie karnawału.

Po śmierci męża niezwykle pracowita, obdarzona silną osobowością Anne wszystkie swoje siły oddała w służbę hotelu. Również po zawale chciała wrócić do pracy, aby dopilnować spłaty zaciągniętych kredytów i utrzymać wysoki standard usług.

Charlotte, najstarsza z córek, uznała wówczas, iż jedynie sprowadzenie pozostałych córek do domu i objęcie przez nie pieczy nad rodzinnym przedsięwzięciem przekona matkę, że może spokojnie odejść na emeryturę i zadbać o swoje zdrowie. Sama objęła funkcję dyrektorki, wezwane zaś do powrotu Renee i Melanie, może nie całkiem entuzjastycznie, niemniej posłusznie poddały się nakazowi chwili. Biegła w sztuce kulinarnej Melanie stała się podporą słynnej ze znakomitego jedzenia restauracji Chez Remy, natomiast kierująca dotąd działem reklamy niewielkiego hollywoodzkiego studia filmowego Renee wzięła na siebie zadanie utrzymania wysokiej renomy hotelu.

Jeśli zaś chodzi o Sylvie, to miała ona wykorzystać swoje talenty artystyczne. W młodości dobrze się zapowiadała jako malarka, jej prace były kilkakrotnie wystawiane w niewielkiej galerii w Nowym Jorku i przez kilka lat należała do nowojorskiej cyganerii. Jednakże wizyta u siostry w Los Angeles zmieniła jej życiowe plany. Za pośrednictwem Renee znalazła pracę filmowego scenografa i w tym samym czasie związała się z Shane' em. A potem otrzymała od matki telefon z pytaniem, czy zgodzi się pokierować hotelową galerią sztuki.

Podjęcie decyzji zajęło Sylvie dwadzieścia cztery godziny. Zdażyła w tym czasie "przedyskutować" propozycję z dwuletnią podóczas Daisy Rose, wiedząc z góry, że na wieść o wizycie u babci mała głośno wykrzyknie "tak!".

W ten oto sposób znalazła się z powrotem w rodzinnym mieście i podjęła całkiem dla niej nową, spokojną i szacowną egzystencję. Do tej pory nie widziała się w roli osoby prowadzącej galerię, niemniej praca ta umożliwiała jej utrzymywanie bliskich kontaktów z miejscowymi artystami i promowanie ich sztuki.

Stojąc teraz w dolnej sali wystawowej i obserwując wyładowywanie skrzyń ze stojącej przed wejściem ciężarówki, Sylvie rozmyślała o tym, jak bardzo zmieniły się jej priorytety od czasu, gdy jako młoda dziewczyna wyjeżdżała z Nowego Orleanu na podbój świata. Miała wtedy głowę

pełną marzeń o świetlanej przyszłości, a wszystkie te plany koncentrowały się wokół jej własnej osoby. Potem, w Los Angeles, zaszła przypadkiem w ciążę, a zaraz potem Shane odszedł od niej i została sama.

Początkowo gorzko opłakiwała swoją utraconą wolność, lecz gdy po długim i ciężkim porodzie ujrzała swe nowo narodzone dziecko, mała istotka w jednej chwili podbiła jej serce. Wychodząc ze szpitala z niemowlęciem w ramionach, Sylvie wiedziała, iż wyrzeka się raz na zawsze przyjemności szalonego, lekkomyślnego życia. Jej pierwszym obowiązkiem stała się troska o los córeczki.

Wydoroślała. No, do pewnego stopnia. W głębi serca zachowała część dawnego upodobania do przygód.

Otworzyły się drzwi łączące galerię z hotelem. Starsza siostra Renee szła ku niej, powiewając kartką z opisem cech jej potencjalnego partnera randki w ciemno.

Sylvie, która miała pokazać wnoszącym skrzynię tragarzom, gdzie należy ją postawić, zamarła w pół gestu.

- Randka? Jaka randka? - spytała jasnorudą Renee, której w skrytości serca zazdrościła smukłej figury.

- Panno March - mruknął jeden z tragarzy, skracając z wysiłku jej nazwisko. Chciał jak najszybciej dokończyć wyładunku i ruszyć do kolejnego klienta.

- Postawcie ją tutaj - powiedziała, wskazując kąt sali. - Odbijcie tylko wieka skrzyń i jesteście wolni.

Dwaj mężczyźni przyjęli jej słowa z widocznym zadowoleniem, ale ponieważ poruszali się jak słonie w składzie porcelany, Sylvie szła za nimi, pilnując, by czegoś nie rozbili.

Niezrażona tym Renee zastąpiła jej drogę.

- Doszliśmy do przekonania, że należy ci się pewne urozmaicenie - oznajmiła. - Od dłuższego czasu za mało myślisz o sobie.

Zabawne, przemknęło Sylvie przez myśl. Dawniej nikt by o niej nie powiedział, że zapomina o sobie. Co prawda bycie matką też zaskakiwało ją stale swoją nowością.

Wyższy z tragarzy podał jej kwit bagażowy. Sylvie uważnie przeczytała dokument, aby się upewnić, że podpisuje odbiór pięciu obrazów, a nie, na przykład, hinduskich rzeźb.

- Wy, czyli kto? - zagadnęła siostrę, stawiając zamaszysty podpis i oddając dokument. - Mam nadzieję, że mama nie maczała w tym palców.

- Nie, mama nie ma z tym nic wspólnego - przyznała Renee, schodząc z drogi tragarzowi, który ruszył ku drzwiom wyjściowym, tocząc przed sobą jednoosiowy wózek. - Tylko my, to znaczy Charlotte, Melanie i ja - dodała, żeby wszystko było jasne.

Sylvie dopiero teraz przyjrzała się dokładnie trzymanej przez Renee kartce. Nosila nagłówek agencji kojarzenia par. Okropność, pomyślała. Więc na to jej przyszło, że musi z pomocą komputera szukać sobie partnera? A przecież nie tak dawno wystarczyło rozejrzeć się wśród zebranego towarzystwa i nawiązać kontakt wzrokowy z mężczyzną, który wpadł jej w oko. Poczula się upokorzona, zredukowana do paru podstawowych informacji wklepanych do mechanicznej pamięci.

Chłód przeszedł jej po plecach. Najchętniej pobiegłaby do domu, spakowała rzeczy swoje i Daisy Rose i uciekła, gdzie oczy poniosą. Niczego takiego nie uczyniła. A nawet, po namyśle, uśmiechnęła się z ironią.

- To zabawne, że właśnie moje trzy niezamężne siostry postanowiły mnie wyswatać - mruknęła zjadliwie.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem za wychodzącymi tragarzami. W kącie stały trzy otwarte skrzynie, z których należało wyjąć i rozmieścić na ścianach wypożyczone obrazy. Normalnie nie odkładałaby tego nawet na chwilę. Teraz jednak zbyt była pochłonięta dziwną sytuacją, w jakiej została postawiona.

- Lepiej byście pomyślały o własnych męsko-damskich rozrywkach - dorzuciła.

Renee lekko zeszytniała. Dawno straciła nadzieję na szczęście. Mężczyźni, z którymi miewała do czynienia, traktowali ją z reguły jak dekoracyjny przedmiot. Zorientowawszy się zaś, że pod powłoką słodkiego motyla kryje się osoba o żelaznej woli, każdy wycofywał się z przestachem. W końcu Renee miała dosyć ciągłych niepowodzeń i postanowiła wyrzec się miłości. Mając trzydzieści siedem lat, była kobietą niezamężną, pogodzoną z myślą o samotnym życiu.

No tak, ale była bezdzienna, podczas gdy Sylvie miała córkę. Najwyższy czas, by jej młodsza siostra rozejrzała się za odpowiednim ojcem dla Daisy Rose.

- Nie wszystko naraz. Teraz mówimy o tobie - oświadczyła.

- Czy mam przez to rozumieć, że następnie przyjdzie twoja kolej? - spytała podchwytliwie Sylvie.

Renee postanowiła nie odpowiadać na taką zaczepkę.

- Wydaje mi się, że ten pan świetnie do ciebie pasuje - rzekła, podsuwając papier siostrze pod

nos i wskazując palcem rubrykę opisującą kandydata. - Lubi ten sam rodzaj muzyki rockowej co ty, chętnie podejmuje ryzyko, a dalej ... - przebiegła wzrokiem linijki -.0, tu jest napisane, że życie jest dla niego nieustającym'wyzwaniem.

- Bo życie jest wyzwaniem - przyznała Sylvie trochę wbrew sobie.

Choć to nieustające wyzwanie bywa niekiedy zbyt męczące, pomyślała w duchu. Jako młoda dziewczyna uważała, że najtrudniejsze w życiu jest dorastanie. Dopiero niedawno zdała sobie sprawę, jak ciężką odpowiedzialność biorą na siebie rodzice. Chwilami ogamiają ją niepewność, czy na dłuższą metę zdoła tej odpowiedzialności sprostać.

Na przykład dzisiejszej nocy po raz pierwszy od wielu dni zdołała się jako tako wyspać. Daisy Rose od tygodnia była przeziębiona i po parę razy w ciągu nocy dostawała ostrych ataków kaszlu.

- Zabawa też jest wyzwaniem - odezwała się Renee z tym swoim szczególnym uśmiechem starszej siostry, który w dzieciństwie doprowadzał Sylvie do szału. Znamionował poczucie wyższości i wtajemniczenia w sprawy niedostępne małym dzieciom. - Mam nadzieję, że jeszcze pamiętasz, co to znaczy dobrze się bawić?

- Jak przez mgłę - odburknęła Sylvie, podchodząc do stojących w kącie skrzyń. Obrazy same się nie wypakują.

- No widzisz - nie ustępowała Renee, postępując w ślad za siostrą. - Zaczynasz się zmieniać w starą nudziarę.

- Bylebym tylko nie upodobniła się do Charlotte!

- A co widzisz w tym takiego okropnego?

Sylvie i Renee obejrzały się w jednym momencie: w drzwiach łączących galerię z hotelem stała ich najstarsza siostra. Patrząc na drobną, szczupłą kobietę o niezwykle migdałowych oczach i kasztanowych włosach, nikt by nie pomyślał, że zbliża się do czterdziestki. Podobnie jak ich matka i babka, wszystkie cztery siostry Marchand wyglądały nad wiek młodo.

- Nie chciałabym zostać takim pracusiem - zręcznie wykręciła się Sylvie.

- Życie mnie tego nauczyło - chłodnym tonem odparła Charlotte. - A nam właśnie o to chodzi - dodała, podchodząc bliżej i wskazując formularz trzymany przez Renee. - Żebyś nie stała się drugą Charlotte.

Charlotte była ofiarą miłosnego zawodu. Poślubiła nie tego mężczyznę, którego kochała. Starала się być dobrą żoną, lecz jej wysiłki ratowania niedobranego małżeństwa były z góry skazane na

niepowodzenie. Mąż Charlotte okazał się nieuleczalnym kobieciarzem, który również po ślubie nie przestał romansować z każdą napotkaną ślicznotką. Po rozwodzie Charlotte poświęciła się bez reszty pracy.

- Moim zdaniem, to ty powinnaś zacząć się umawiać z ... - Sylvie zajrzała do formularza - z panem Jeffersonem Lambertem. O, jest prawnikiem. Będziecie do siebie pasować.

Charlotte zrobiła przeczący ruch głową.

- Nie jest w moim typie - rzekła. - Pisze, że interesuje go sztuka performance, u~ielbia nowoczesne malarstwo i ostrą muzykę rockową, która dla mnie brzmi jak wrzask kota obdzieranego żywcem ze skóry.

Sylvie z rozbawieniem popatrzyła na naj starszą siostrę. Mimo swego młodzieńczego wyglądu, Charlotte miała gusty osoby starej daty.

- Powinnaś unowocześnić swoje upodobania - doradziła.

- Pomyślę o tym w wolnej chwili, ale na razie chodzi przede wszystkim o ciebie. - Charlotte nie na żarty martwiła się o Sylvie, która od narodzin córki zachowywała się niemal jak zakonnica. - Więc jak, chcesz się zabawić?

- Zawsze - z błyskiem w oku odparła Sylvie.

- To wiemy. Istnienie Daisy Rose jest tego najlepszym dowodem. Pytałam, czy spotkasz się z tym panem? .

Czemu nie? - pomyślała Sylvie. Randka z nieznanym mogłaby być interesująca. A poza tym, do niczego jej nie zobowiązuje. Co szkodzi zgodzić się?

- Maddy wydaje swoją słynną kolację - wtrąciła Renee. - Pomyślałyśmy, że to świetne miejsce na pierwszą randkę.

- Pierwszą albo jedyną - kwaśno skomentowała Sylvie.

Jednakże wiadomość, że randka miałyby miejsce na przyjęciu u Maddy, brzmiała obiecująco. Maddy O'Neillansowała awangardową sztukę, a organizowane przez nią od pewnego czasu pokazy sztuki performance, połączone z kolacją i tańcami, gromadziły liczną publiczność złożoną zarówno z krytyków z całego kraju, jak i turystów.

- No dobrze - rzekła w końcu. - Kopcuszek otrzepie się z kurzu, odstawi szczotkę do zmiatania i pójdzie na spotkanie z królewiczem. Co mi szkodzi spróbować? - To powiedziawszy, rozejrzała się po galerii. - Ale coś za coś, siostrzyce. Która mi pomoże z obrazami?

- Bardzo mi przykro, ale mam świeżo zrobione paznokcie - wykręciła się Renee.

- A ty, Charlotte? Muszę zmienić ekspozycję.

- Przepraszam cię, kochanie, ale sama wiesz, jaka ze mnie niezdara. Zawołaj do pomocy kogoś z hotelowej obsługi.

- Chcesz, żebym powierzyła dzieło Matthew Baldwina facetowi, który przybija gwoździe w hotelu? - oburzyła się Sylvie. Matthew Baldwin należał do grona promowanych przez nią lokalnych malarzy.

Charlotte niechętnie zerknęła na wskazane malowidło.

- Jeszcze lepiej nadałby się ktoś z pomywaczy. Twoje arcydzieło przypomina wyrzucane z talerzy niedojedzone resztki - burknęła.

- Prostaczka!

- Może i tak, ale przynajmniej wiem, co mi się podoba, a co nie - odcięła się starsza siostra i opuściła galerię.

Jefferson Lambert rozejrzał się po obszernym holu Hotelu Marchand. Kiedy wczesnym rankiem wsiadał w Bostonie do samolotu, miasto pokrywała gruba warstwa śniegu. W Nowym Orleanie znalazł się jakby na innej planecie. Urządzone w typowo południowym stylu wnętrze hotelu przeniosło go w świat młodzieńczych wspomnień sprzed ponad dwudziestu lat.

Nie znał tego konkretnego hotelu, niemniej panowała w nim owa niepowtarzalna atmosfera, którą pamiętał z młodych lat, kiedy nie ciążyły na nim obowiązki, a życie dawało mu o wiele więcej swobody niż dziś. .

Bo chociaż już wtedy miał wyraźnie zakreślone plany na przyszłość, to jednak beztroski klimat Nowego Orleanu łagodził stresy życia. Nawet te związane ze zdawaniem egzaminów. Mieszkańców tego miasta cechowały tak obce bostończykom lekkomyślność i pogoda ducha. Przechadzali się, zamiast gonić w pospiechu do wyznaczonego celu. Umieli smakować każdą chwilę i żyć teraźniejszością, a nie tylko myśleć o zapewnieniu sobie bezpiecznego jutra.

Jefferson wciągnął powietrze w płuca. Miał wrażenie, że czas się cofnął. Zdawało mu się, że tu, w hotelowym wnętrzu, czuje słodki zapach kapryfolium i gardenii.

Z przyjemnością chłoniął każdy szczegół przestronnego holu o złotawych ścianach, wykładanej parkietem podłodze, pokrytej dywanami w barwach starego złota, czerni i ciemnej czerwieni. Wszędzie stały zielone rośliny i wazony z kwiatami. Jakie piękne wnętrze, pomyślał. Piękne i pełne wdzięku. Czuło się w nim obecność z dawna pielęgnowanej tradycji. Był tutaj sam, nikogo

nie znał, a jednak czuł się, jakby wrócił do domu. Znowu miał dwadzieścia dwa lata i świat znowu się do niego uśmiechał. Podziękował w duchu Emily za jej upór i nieustępliwość.

- Witamy w Hotelu Marchand! - odezwał się stojący za kontuarem recepcjonista.

Było to rutynowe zdanie, które mężczyzna powtarzał pewnie wiele razy dziennie, ale potrafił je wypowiedzieć z autentycznym ciepłem. Zabrzmiało serdecznie. W Nowym Orleanie wszystko jest pełne wdzięku. Jak to dobrze, że uległ namowom Emily i Blake'a. A przecież jeszcze przed wejściem do samolotu omal się nie wycofał. Miał tyle spraw, no i niepokoiła go perspektywa zostawienia Emily samej, nawet pod dobrą opieką teściowej, Sophie Beaulieu.

Na zdrowy rozum powinien być zostać w Bostonie. Zarazem jednak czuł, że Emily i Blake mieli rację. Ten wyjazd jest mu potrzebny - by odpocząć od bycia wiecznie zajęтым prawnikiem i sumiennym ojcem, który nie ma czasu na bycie mężczyzną, by spokojnie zastanowić się nad sobą i swoim losem. Tutaj miał szansę przypomnieć sobie, jaki był w czasach, gdy poznał Donnę i zdobył jej miłość.

- Będzie pan łaskaw podać swoje nazwisko?

- zagadnął recepcjonista.

- Jefferson Lambert.

- Przyjechał pan służbowo czy dla przyjemności? - zapytał z uśmiechem młody mężczyzna, szukając rezerwacji w komputerze.

- Dla przyjemności - po krótkim wahaniu odparł Jefferson. O mało nie powiedział "służbowo". Ostatni raz podróżował dla przyjemności z Donną, a była to ich podróż poślubna. Od tamtej pory wyjeżdżał tylko w interesach.

- Nie mogę znaleźć pańskiej rezerwacji - zafrasował się recepcjonista. - Może została zapisana na inne nazwisko?

- Nie. Na pewno na moje.

Recepcjonista ponowił poszukiwania.

- Bardzo mi przykro, ale nie ma pana w tym rejestrze.

- To niemożliwe. - Jefferson miał ochotę odwrócić komputer i samemu poszukać swojej rezerwacji. - Mój znajomy pan Blake Randall dzwonił do państwa tydzień temu.

- Może nastąpiło nieporozumienie i rezerwację zapisano na nazwisko Randall. - Rozpogodzony recepcjonista podjął kolejne poszukiwania. Jednakże po paru chwilach uśmiech nadziei znikł z jego twarzy. - Strasznie mi przykro, ale nie mamy również rezerwacji na nazwisko Randall.

Jefferson postanowił nie robić z tego kwestii. - No trudno, pomyłki się zdarzają. Proszę mi dać jakikolwiek inny pokój.

- Strasznie mi przykro, ale nie mamy wolnych pokoi.

- Nie macie wolnych pokoi? - zdziwił się Jefferson.

- Niestety. Na czas karnawału do Nowego Orleanu zjeżdżają tłumy. Wszystkie pokoje są od dawna zarezerwowane.

- No jasne, że też wcześniej o tym nie pomyślałem! - Jefferson był człowiekiem wyrozumiałym.

- Może mi pan doradzić, gdzie znajdę pokój na kilka dni?

- Może u znajomych? - z bladym uśmiechem zasugerował recepcjonista.

Jeffersonowi odjęło mowę. Nie mógł uwierzyć, że podjął daleką podróż tylko po to, by utknąć w hotelowej recepcji, nie mając dokąd pójść. Do Blake'a nie chciał się wpraszać, nie było to w jego stylu, a ponadto lubił spokój, zaś Blake nie rozumiał, co to pojęcie znaczy.

- Chce mi pan powiedzieć, że w całym mieście nie znajdę wolnego pokoju?

Recepcjonista zaczął ponownie stukać w klawiszowe komputera, sprawdzając miejsca w innych hotelach. Niestety, huragan Katrina poczynił spustoszenia również wśród hoteli i miasto dysponowało dziś mniejszą niż dawniej ilością miejsc dla turystów.

- Niestety, proszę pana. Hotele pękają w szwach. W dodatku w tym roku obchodzimy pierwszy karnawał od czasu, gdy huragan prawie zmiotł miasto z powierzchni ziemi.

- Może jednak nie warto było przyjeżdżać mruknął Jefferson. Normalnie nie wierzył w ostrzegawcze znaki, ale dzisiejsza sytuacja wydawała się prorocza. Los najwyraźniej daje mu do zrozumienia, jak niemądrze postąpił, godząc się na randkę z nieznajomą. Nawet jeśli miała to być randkajednorazowa i zupełnie niezobowiązująca.

Czas oprzytomnieć. Mając czterdzieści siedem lat, powinien zacząć myśleć o emeryturze i o tym, jak sfinansować studia Emily na dobrym uniwersytecie, zamiast umawiać się na randki, w czym zresztą nigdy nie był mocny. Zawsze uważał, że uganianie się za kobietami naraża człowieka na ryzyko. Znadto go obnaża. Raz trafiło mu się szczęście, zdobył miłość pięknej i mądrej kobiety, i to powinno mu wystarczyć.

- Proszę tak nie mówić - zaprotestował recepcjonista. - Zawsze warto przyjechać do Nowego Orleanu. Spróbuję jeszcze podzwonić.

- Daj panu apartament Jacksona.

Słyszając za sobą melodyjny kobiecy głos, Jefferson gwałtownie się odwrócił.

ROZDZIAŁ TRZECI

Był to głos delikatnej, dobrze wychowanej damy z Południa. Damy lubiącej spędzać upalne popołudnia na leżaku w ogrodowej altanie, popijającej chłodzone napoje i spoglądającej melancholijnie na poruszone wietrzykiem warkocze płaczącej wierzby.

Osoba, którą ujrzał, w niczym tamtej nie przypominała. Kobieta, która zleciła recepcjoniście, aby dał mu tajemniczy apartament Jacksona, wyglądała jak modelka z paryskiego pokazu mody. Wyzywająca, gotowa do podboju.

Owalnej twarzy otaczała burza kręconych, fascynująco rudych włosów. Spojrzenie jej zielonych oczu o migdałowym kształcie pełne było życia, błąkający się zaś na ustach uśmiech mógł najodporniejszego mężczyznę przyprawić o zawrót głowy. Z jakiegoś nieznanego mu powodu kobieta uważnie mu się przypatrywała, jakby starała się go przejrzeć, czegoś się o nim dowiedzieć. Zarazem był przekonany, że kobiety o tak zachwycającej aparycji nie mają na ogół zwyczaju z tak szczególnym zainteresowaniem studiować mężczyzn jego typu.

Mogą co najwyżej szukać u niego porady prawnej. Natomiast z tak intensywnym zaciekawieniem spoglądały w całkiem inne strony, na zupełnie innych, uwodzicielsko przystojnych mężczyzn. Tylko raz w życiu jedna kobieta o podobnej urodzie raczyła zwrócić na niego uwagę. A stało się tak, kiedy został korepetytorem Donny. Poznał ją przez Blake'a, który jako jej opiekun naukowy na uniwersytecie Tulane doradził, aby wzięła lekcje u Jeffersona. Donna potrzebowała pomocy we wszystkich przedmiotach, oczywiście poza sztuką, która była jej pasją.

Zaczął udzielać jej korepetycji. Najpierw za pieniądze, bo w czasie studiów w ten sposób zarabiał na drobne wydatki, a potem za darmo. Ale zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Znacznie później, bo już po ślubie, spytał Donnę, dlaczego oddała serce właśnie jemu, a ona odparła, iż oczarował ją przede wszystkim swoją czułością i delikatnością. Niemniej przyznała, że nie od razu zaczęła na niego patrzeć "w ten sposób". Musiało upłynąć trzy lata, zanim korepetytor przeistoczył się dla niej w przyjaciela, a przyjaciel w ukochanego.

Dlatego Jeffersonowi tak trudno było zrozumieć, dlaczego rudowłosa piękność przygląda mu się z takim zainteresowaniem, jakby chciała przeniknąć go na wylot.

Uważaj, ostrzegł w duchu samego siebie. Nie pozwól, by poniosła cię wyobraźnia i dawne wspomnienia. Chyba ulegasz czarowi Nowego

Orleanu i zaczynasz tracić głowę. Tak czy inaczej, kim właściwie jest ta cudowna istota? Od-

powiedzią na to pytanie mogła być reakcja recepcjonisty, który lekko odchrząknął i nieśmiało zapytał:

- Mówi pani serio, panno Sylvie? Panna Charlotte każe zawsze trzymać apartament Jacksona dla niespodziewanych gości. - Młody człowiek był lekko speszony, jakby nie był pewny, czy nie pozwala sobie na zbyt wiele.

Jednakże "panna Sylvie" nie robiła wrażenia dotkniętej, może tylko trochę ubawionej.

- Na moje oko ten pan jest właśnie owym "niespodziewanym gościem" - oświadczyła wesoło, mierząc Jeffersona swymi fascynującymi zielonymi oczami. - Chociaż on sam zapewne się spodziewał, że po przyjeździe zostanie bez problemu zarezerwowany pokój.

Jeffersonowi zakręciło się w głowie, jakby zjeżdżał w dół pierwszym wagonikiem diabelskiej kolejki górskiej.

- To prawda - mruknął, zdając sobie sprawę, że jej imię nie jest mu obce. - Jeśli się nie przesłyszałem, powiedział do pani "panno Sylvie"?

- Dobrze pan usłyszał, David ma ten uroczy zwyczaj - odparła kobieta z promiennym uśmiechem, na co recepcjonista zaczerwienił się jak rak. - Czyż nie jest przyjemniej być nazywaną "panną", a nie po prostu "panią"? Daje to kobiecie złudzenie wiecznej młodości.

Jakby było jej ono potrzebne!

- Czyżbym miał przyjemność z Sylvie Marchand?

- A czemuż by nie? - odparła, potrząsając włosami.

Jefferson już dawno pożegnał się z młodością. Wejście do hotelu w pierwszej chwili jakby odjęło mu lat, lecz w rzeczywistości jego młodość minęła. Teraz zaś, patrząc na Sylvie Marchand, poczuł się starszy niż zwykle. Jego rozmówczyni nie była może w wieku Emily, ale musiała być ze dwadzieścia lat od niego młodsza.

Na dobrą sprawę mogłaby być jego córką. Nie należy jednak od razu tracić nadziei. Może istnieją dwie kobiety o tym samym imieniu i nazwisku, i jego rozmówczyni jest młodszą krewną pani, z którą ma się spotkać.

- Ale pani nie może być Sylvie Marchand, z którą jestem umówiony jutro wieczorem na kolację - odparł.

Co za staroświecki sposób nazwania randki w ciemno, zdziwiła się w duchu Sylvie. Zarazem jednak obdarzyła Jeffersona miłym uśmiechem, aby pokryć nim jego, i swoje, zmieszanie. Czuli się zbici z tropu kłębiącymi się w jej głowie pytaniami, na które nie umiała odpowiedzieć.

Oczywiście pozory mogą mylić. Niemniej Jefferson Lambert z wyglądu bardziej przypominał profesora niewielkiego uniwersytetu niż przebojowego adwokata specjalizującego się w trudnych sprawach kryminalnych, jakim miał być według podanych w formularzu informacji. I łatwiej było go sobie wyobrazić słuchającego w domowym zaciszu poważnej muzyki sprzed trzystu lat, niż spędzającego noce na tańcach w rytm rocka.

Zarazem jednak robi dziwnie sympatyczne wrażenie. Niezwykle sympatyczne. I jest wysoki. Sylvie lubiła wysokich mężczyzn. Czula się przy nich bardziej kobieca - dłobna i kobieca. Ponadto podobały się jej jego oczy. Były szaroniebieskie, a co jeszcze ważniejsze, wзираła z nich dobroć i uczciwość. Sylvie była dziś gotowa postawić raczej na dobroć niż seksowność. Jej dwaj ostatni kochankowie mieli nader seksowne oczy, a do tego, jak się okazało, puste serca i głowy.

Sylvie szczyliła się umiejętnością oceniania ludzi okiem artysty. Jej jutrzejszy partner był chyba nieźle zbudowany. Co prawda luźny garnitur niewiele ujawniał, ale, też nie widać było niepożądanych wypukłości ani z trudem dopinających się guzików w okolicach pasa. Ponadto nie uszło uwadze Sylvie, że jeśli marynarka nie była sztucznie wywatowana, jej posiadacz mógł się pochwalić imponująco szerokimi ramionami.

- A może już się pan z nią spotkał? - zauważyła, uśmiechając się figlarnie.

Jefferson jeszcze raz zlustrował Sylvie wzrokiem. Miała na sobie bufiastą bluzkę i osobliwą dwuczęściową spódnicę, złożoną ze spodniej, bardzo krótkiej warstwy, zaledwie zakrywającej najbardziej strategiczne partie ciała, na którą nałożono znacznie dłuższą i luźniejszą, niemal przezroczystą, fioletowo-niebieską materię. Była to kombinacja zdolna zawrócić w głowie najbardziej ortodoksyjnemu ascecie.

- Więc to pani - rzekł, nie ukrywając zaskoczema.

- Tak, to ja - odparła ze śmiechem. Kiedy się śmiała, w kącikach jej oczu tworzyły się drobne zmarszczki. - Naprawdę mam na imię Sylvia, ale wszyscy mówią do mnie Sylvie. Sylvia brzmi okropnie staroświecko.

Przy słowie "staroświecko" lekko zmarszczyła nos. Czy dawała w ten sposób wyraz pogardzie do wszystkiego, co staroświeckie? Poczul się zaniepokojony, ponieważ słowo to dokładnie opisywało jego własną osobę, gusta i sposób bycia. Niemniej pozostał wierny wpajanim mu od dzieciństwa zasadom.

- Wobec tego pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Jefferson Lambert - oświadczył z

ukłonem. Nie chcąc jednak, by uznała go za beznadziejnego ramola, dodał: - Pani zapewne już się tego domyśliła.

Wbrew jego obawom, Sylvie z serdecznym uśmiechem uściśniła mu dłoń.

- To prawda, mam w takich sprawach niezłą orientację.

- Nie wątpię - bezwiednie wymknęło się Jeffersonowi z ust. - Przepraszam, sam nie wiem, dlaczego tak powiedziałem - dodał szybko, z obawy, by nie poczuła się dotknięta.

- Nie ma za co. Wcale się nie obraziłam - rzekła zgodnie z prawdą, gdyż jego mimowolna odzywka wydała jej się na swój sposób ujmująca.

- Uhm, panno Sylvie, co do apartamentu ... - nieśmiało wtrącił recepcjonista.

Sylvie powstrzymała go gestem dłoni. Wiedziała z góry, co David zamierza powiedzieć. Życie w hotelu toczyło się na pozór powolnym, leniwym trybem, lecz było to jedynie złudzenie starannie podtrzymywane przez naj starszą z sióstr, Charlotte, której nikt nie śmiał się sprzeciwić. Tę jednak konkretną sprawę Sylvie postanowiła załatwić sama.

- Powiem ci, Davidzie, że powinieneś się nauczyć większej elastyczności. Skoro moja siostra nie kazała ci oddać życia W obronie pustego apartamentu, to mamy chyba prawo oddać go do dyspozycji pana Lamberta na czas jego pobytu w naszym pięknym mieście - oświadczyła. - Zwłaszcza iż wszystko wskazuje na to, że ktoś z hotelowego personelu zapomniał wpisać jego rezerwację do komputera.

- Skoro pani tak mówi - rzekł zrezygnowany David.

Sylvie wiedziała, iż Charlotte bywa niekiedy bardzo apodyktyczna, a David jest bojaźliwy i źle znosi dezaprobatę zwierzchników.

- Nie martw się - uspokoiła go. - Sama porozmawiam z Charlotte. Nie może mieć do nas pretensji, bo sama umówiła mnie z panem Lambertem.

Jefferson zaniemówił. Był kompletnie zbity z tropu.

- Co pani powiedziała? - wybąkał.

Sylvie odwróciła się i popatrzyła mu w oczy.

- Nie wiem, jak pan, ale ja uważam, że mówienie prawdy nikomu jeszcze nie zaszkodziło. I to niezależnie od okoliczności.

Jefferson był tego samego zdania. Za swój obowiązek jako prawnika uważał mówienie i obronę prawdy. Firma, w której pracował, słynęła z uczciwości i od swych pracowników wymagała jej na równi z umiejętnościami. Także w życiu prywatnym Jefferson nigdy, nawet w drobnych

sprawach, nie uciekał się do kłamstwa.

- Całkowicie się z panią zgadzam. Niemniej nie bardzo rozumiem, jaki to ma związek ...

Sylvie nie pozwoliła mu skończyć zdania.

- Bo musi pan wiedzieć, że nasze spotkanie zostało zaaranżowane przez moje trzy siostry, Charlotte, Melanie i Renee, które uznały, że potrzebuję odprężenia.

Pamiętając o machinacjach, jakie za jego plecami prowadzili Bmily i Blake, Jefferson w lot pojął sytuację, choć zarazem nie mógł zrozumieć, dlaczego tłum mężczyzn nie czeka na pierwszy znak przychylności ze strony kobiety tak olśniewającej jak ona.

- I to ja mam go pani dostarczyć? - spytał z niedowierzaniem.

Sylvie przygryzła wargi, by nie parsknąć śmiechem. Miał tak czarująco zdziwioną minę. Swoim zdumieniem wyraził jej największy komplement. Wydawał się przy tym absolutnie szczery. A do tego, w przeciwieństwie do znanych jej mężczyzn, zaskakująco skromny.

- Na to wygląda.

Jefferson przypomniał sobie, co było napisane w formularzu Sylvie, który Bmily dała mu do przeczytania. Jego treść zdawała się dotyczyć całkiem innej kobiety niż ta, którą miał teraz przed oczami. Kobiety, jak by tu powiedzieć - o znacznie bardziej staroświeckich, konserwatywnych upodobaniach. Chyba najlepiej z punktu położyć kres całej tej historii, zanim stanie się zbyt krępująca dla obu stron.

- Odnoszę wrażenie, że zaszło nieporozumienie - rzekł ostrożnie.

- Czemu? - spytała. Widząc jednak, iż zaciekawiony ich rozmową David coraz bardziej wyciąga uszy, odciągnęła Jeffersona na bok.

- Po pierwsze z powodu pani wieku - zaczął Jefferson, nieco zdziwiony jej pytaniem.

- Co ma do tego mój wiek?

- W formularzu było napisane, że ma pani trzydzieści cztery lata.

W pierwszej chwili chciała powiedzieć, że tyle właśnie ma, lecz przypomniawszy sobie własną deklarację na temat mówienia prawdy, przyznała:

- To pomyłka. - To na pewno Renee odjęła jej rok. Renee uważała, że po przekroczeniu trzydziestki kobiecie nie wolno się przyznawać do tego, ile ma lat. I tak dobrze, że nie zrobiła z niej dwudziestodwunastolatki.

- No właśnie.

- W rzeczywistości mam trzydzieści pięć.

Jefferson wybałuszył oczy. Pierwszy raz słyszał, by kobieta dodawała sobie lat.

- Ile? - wymamrotał.

- Trzydzieści pięć - powtórzyła. - To taka liczba, która następuje bezpośrednio po liczbie trzydzieści cztery.

- To niemożliwe - zawyrokował, udając, że nie słyszy żartobliwej kpiny w jej głosie.

Zdumiewająca kobieta, pomyślał. Nie tylko dodaje sobie lat, ale chce, żebym w to uwierzył.

- Jeśli 'pan nie wierzy, mogę przedstawić akt urodzenia - odrzekła tym samym żartobliwym tonem.

- Wygląda pani na dwadzieścia pięć.

Każda kobieta uwielbia komplementy, zwłaszcza szczere, przyznała w duchu Sylvie. A jego brzmiały szczerze. Ciekawe, czy nauczył się tego, uprawiając zawód prawnika.

- W pańskim formularzu, drogi Jeffersonie, zapomniano wspomnieć, że jest pan człowiekiem złotoustym.

- Tego nie byłbym pewny, mam za to bardzo dobry wzrok --:- odparł, przybierając za jej przykładem żartobliwy ton. Wolał nie dodawać, iż stan swoich oczu zawdzięcza niedawnej operacji, która uwolniła go od bólów głowy związanych z noszeniem okularów .. '

Sylvie milczała przez chwilę, próbując podsumować swe wrażenia. Mężczyzna wprawdzie na pierwszy rzut oka wydawał się sztywny, ale mógł to być po prostu efekt skrópowania sytuacją. Nie każdy ma jej łatwość nawiązywania kontaktu bez względu na okoliczności. Zresztą ona sama nie zawsze czuła się teraz wśród obcych tak swobodnie jak kiedyś.

Może jest to objaw pewnej dojrzałości, w każdym razie od jakiegoś czasu, a właściwie odkąd zaszła w ciążę, zaczęła się więcej zastanawiać nad własnym życiem i stała się mniej wylewna niż za dawnych czasów.

Zerknęła na stojącą obok Lamberta małą walizeczkę.

- Czy to cały pański bagaż? - zdziwiła się. Był pewien, że zabrał wszystko, co niezbędne. - Z zasady podróżuję tylko z ręcznym бага-

żem. Nie lubię czekać godzinami na lotnisku, kiedy moja walizka wyjedzie z dziury w ścianie, i denerwować się, czy nie poleciała przez pomyłkę w zupełnie innym kierunku.

Mówiąc to, obserwował, jak na jej twarzy rodzi się uśmiech. Zupełnie jakby widział słońce wyłaniające się zza horyzontu.

- Ja też lubię podróżować bez bagażu. - To powiedziawszy, ujęła go pod ramię, a jednocześnie

położyła drugą rękę na kontuarze i zwróciła się do recepcjonisty: - Czy mogę prosić o kartę do apartamentu Jacksona?

Jefferson dopiero teraz zauważył, że Sylvie Marchand ma nie tylko długie i bardzo zgrabne nogi, ale i długie, smukłe dłonie. Jej palce zdawały się być stworzone do gry na jakimś instrumencie. Albo do pieśczot.

Podobne myśli nigdy nie przychodziły mu do głowy. Widocznie Nowy Orlean tak na niego działa. Przypomina mu o minionej młodości, kiedy wszystko miał jeszcze przed sobą.

- Najpierw muszę pana prosić o wpisanie się do książki i podanie numeru karty kredytowej - odparł David.

- Och, przepraszam - mruknął speszony Jef-

ferson, biorąc pióro do ręki i podając recepcjoniście swoją kartę. Pomyślał, że przez tę kobietę zaczyna tracić głowę.

Odbierając kartę do drzwi pokoju, zauważył, że Sylvie nadal obserwuje go z uśmiechem.

- No to idziemy, odprowadzę pana do pokoju.

- Panno Sylvie, jaki mam wystawić rachunek? - zawołał za nimi David.

- Jak za zwykły pokój - odpowiedziała mu przez ramię. - Nie zapominaj, że to zamieszanie wynikło z naszej winy.

- Tak jest, panno Sylvie.

- Pani oczy dosłownie rzucają iskry - zauważył Jefferson, dając się prowadzić przez zatłoczony hol. Sylvie minęła szerokie schody i szła dalej, w kierunku wind. - Jeszcze u żadnej kobiety nie widziałem tak błyszczących oczu.

- W Nowym Orleanie wszystko może się zdarzyć - odparła, zwyczajem południowców przeciągając samogłoski. - Zwłaszcza w porze karnawału.

Drzwi windy właśnie zaczęły się zamykać i Jefferson sądził, 'iż poczekają na jej powrót, ale Sylvie w ostatniej chwili wcisnęła się do niemal pełnej kabiny, pociągając go za sobą. Ich ciała przylegały do siebie tak ciasno, że Jefferson bał się odetchnąć.

-:- Możesz spokojnie oddychać, to nie jest zabronione - doradziła Sylvie, a jednocześnie otarła się o niego, wspinając się na palce, by złapać powietrza.

Każdy oddech wzmagął poczucie bliskości jej ciała. Pomyślał, iż tak musi się czuć człowiek przekraczający po śmierci bramy raj.

Kiedy winda zatrzymała się na drugim piętrze, Sylvie chwyciła go pod ramię i przepchnęła się do

wyjścia, a Jefferson posłusznie podążył za nią, przepraszając pasażera, o którego nogi niechcący zawadził walizką.

- *Voilà!* - oświadczyła, otwierając drzwi apartamentu i odsuwając się na bok, by przepuścić go przodem.

W swych dotychczasowych, zresztą nieczęstych podróżach służbowych Jefferson przywykł do małych, niemal spartańskich pokoi hotelowych, w których znajdowała się kuchenna wnęka. Poza domem wolał sam sobie gotować, niż jadać samotnie w hałaśliwych restauracjach. Tymczasem zobaczył wielki, przestronny pokój z wiszącymi na ścianach olejnymi obrazami, a w głębi, między dwoma oknami wychodzącymi na wewnętrzny dziedziniec, ogromne łoże z baldachimem. Przeszedłszy przez pokój, wyjrzał na dwór, myśląc o zasypanym śniegiem Bostonie, który opuścił zaledwie parę godzin temu. Tu natomiast promienie słońca skrzyły się na powierzchni rozległego basenu. Zdążył już zapomnieć, że w domu panuje mroźna zima.

- Jak ci się podoba? - spytała Sylvie, bezceremonialnie przechodząc na "ty".

- Czy mi się podoba? - powtórzył, spoglądając na nią przez ramię. - Słów mi brak.

- No to do zobaczenia jutro. Przyjęcie zaczyna się o siódmej. Spotkamy się w holu na dole o wpół do siódmej.

Zdał sobie sprawę, że bezmyślnie kiwa głową, jak jakiś idiota, który z wrażenia zapomniał języka w gębie.

- Mieszkasz w hotelu? - zapytał.

- Nie. Mieszkam kawalek stąd, ale przyjadę po ciebie - odparła.

To kolejny dowód, jak bardzo się zmieniła w ciągu minionych kilku lat, przemknęło Sylvie przez głowę. Dawniej bez wahania podałaaby swój dokładny adres. Ale wtedy nie miała Daisy Rose. Dziś nie mogła sobie pozwolić na to, by nieoczekiwane wizyty zakłócały spokój jej dziecka.

Zerknęła na stojący na kominku staroświecki zegar. Robi się późno. Obiecała Maddy, że pomoże jej w przygotowaniach do jutrzejszego przyjęcia. -: A więc do jutra!

- Do jutra.

Po chwili już jej nie było. Jefferson stał przez chwilę, zastanawiając się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy tylko w jego wyobraźni. Czy rzeczywiście widział Sylvie Marchand, czy tylko mu się przyśniła?

Nie, wszystko to prawda, doszedł do wniosku.

Nigdy nie odznaczał się nadmiarem wyobraźni.

Po krótkim namyśle podszedł do telefonu, by zadzwonić do Blake'a i oznajmić mu, że doleciał zdrowy i żywy. Chyba bardziej żywy niż kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jefferson skinieniem głowy podziękował barmanowi, który postawił przed nim szklankę whisky z lodem i butelkę wody sodowej. Sterany życiem barman dyskretnie się wycofał.

Dwóm przyjaciołom udało się znaleźć dwa ostatnie wolne stołki przy kontuarze pękającego w szwach hotelowego baru. Wprawdzie uroczyste otwarcie karnawału miało nastąpić dopiero na-
zajutrz, ale zarówno turyści, jak i tubylcy zaczęli świętować już dziś.

Szaroniebieskie przyćmione światło odbijało się w szklance z napojem. Wychyliwszy spory łyk, Jefferson zwrócił się do Blake'a, aby podzielić się z nim wątpliwościami.

- Przede wszystkim jestem dla niej za stary. Blake ciężko westchnął. Po to z takim trudem
ściągnął przyjaciela do Nowego Orleanu, by go wyleczyć z kompleksu zbliżającej się starości.
Był zdania, iż dla dzisiejszego mężczyzny czterdzieści siedem lat to zaledwie dojrzały wiek albo
późna młodość.

Pokręciwszy szklanką, wychylił whisky do dna.

- To tylko kwestia subiektywnego nastawienia, Jeffy - oświadczył autorytatywnym tonem. - Raz
się żyje, stary. Nie warto tracić czasu, jaki nam jeszcze pozostał.

Jefferson pochylił z namysłem głowę:

- Ja już swoje przeżyłem, Blake - rzekł. - Ukończyłem studia i poślubiłem cudowną kobietę,
która dała mi równie cudowną córkę - Uśmiechnął się do wspomnień. - Na dobrą sprawę mogę
się uważać za wyjątkowo szczęśliwego człowieka.

Powiedział to, nie patrząc Blake'owi w oczy. Przyjaciel może sobie szukać coraz to nowych
rozrywek, bawić się i zmieniać kobiety jak rękawiczki, ale tak naprawdę to on, nudny Jefferson,
miał o wiele bogatsze życie. Ponieważ zaznał prawdziwej miłości i założył rodzinę, podczas gdy
Blake'owi niewiele pozostaje z jego nieustannych podróży, romansów i przesiadywania w
klubach.

- Człowieku, mówisz, jakbyś miał sto lat, a nie czterdzieści siedem. - Kiedy to mówił, uwagę

Blake'a przyciągnęła siedząca dwa stoliki dalej blondynka w czarnej sukience mini, ale zmusił się do oderwania od niej oczu. - Jeszcze nie leżysz w trumnie.

Sposób, w jaki Blake zerkał na wyzywającą blondynkę, nie uszedł uwadze Jeffersona. Nie bardzo go rozumiał. Nie pojmował, co może być atrakcyjnego w nawiązywaniu kontaktu z każdą napotkaną, niebrzydką kobietą.

- Słuchając ciebie, można by pomyśleć, że spędzam życie, siedząc w fotelu i gapiąc się w ścianę - obruszył się. - A tymczasem przez większość dni jestem zajęty od rana do nocy.

- To tylko praca - odparł Blake, lekceważąco wzruszając ramionami.

- Ale ważna i godna tego, żeby poświęcać jej czas. - Jefferson lubił i cenił swoją pracę, bez której świat interesów nie mógłby się obyć. Gdyby nie tacy jak on doradcy prawni, w biznesie zapanowałby chaos i rozprężenie.

Blake rozłożył ręce, nie był to jednak gest poddania się, lecz raczej zaproszenie do spojrzenia na sprawę z szerszej perspektywy.

- Chciałem tylko powiedzieć, że powinieneś również korzystać z przyjemności życia, póki jeszcze możesz. Nadal dobrze się prezentujesz ...

- Dzięki za łaskawe słowa - roześmiał się Jefferson.

- No cóż, nie każdy ma taki dar do kobiet jak ja - pół żartem, pół serio odciął się Blake.

Jefferson nie przejmował się przechwałkami Blake'a. Wprawdzie jego przyjaciel miał zawsze mnóstwo dziewczyn, ale w końcu to on zdobył tę jedyną, na której naprawdę mu zależało.

- Zmierzam do tego - podjął Blake - że zamiast martwić się swoim wiekiem, powinieneś raczej myśleć o tym, żeby przyjemnie spędzić czas, zwłaszcza podczas jutrzejszej randki z Sylvie Marchand. - Zawiesił głos, najwyraźniej przygotowując przyjaciela na sensacyjną wiadomość, po czym dodał: - Musisz wiedzieć, że ten hotel należy do jej rodziny.

Infofilacja ta nie zrobiła na Jeffersonie większego wrażenia. Bogactwo, albo jego brak, nie miały dla niego znaczenia. Żeniąc się z Donna, wziął na siebie obowiązek spłacenia uniwersytetowi jej stypendium.

- Czyżbyś na stare lata został żigolakiem? - zapytał.

Blake parsknął śmiechem.

- No cóż, zawsze przyjemniej jest się zakochać w kobiecie bogatej niż w biednej.

Jefferson gwałtownie odstawił szklankę. W co właściwie Blake i Emily próbują go wplątać?

- Zakochać się? Co ty w ogóle wiesz o miłości? I co to wszystko ma znaczyć?

Blake i tym razem nie próbował niczego odwoływać. Zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Lepiej się odpręż, Jeff, i spróbuj spojrzeć na to od zabawowej strony. Sylvie robi wrażenie osoby, która nawet ciebie potrafi rozruszać.

- Mnie? Mnie jest dobrze, tak jak jest.

- Doprawdy? A kiedy ostatni raz byłeś z kobietą?

Jefferson zdał sobie sprawę, że stary barman znowu pojawił się w ich zasięgu i choć jest na pozór zaprzątnięty przyrządzaniem koktajli, to jednocześnie przysłuchuje się ich rozmowie.

- Jestem stale wśród kobiet - odburknął.

- To nie to samo. Dobrze wiesz, co mam na myśli - nacierał nieustępliwy Blake.

- Za dużo gadasz - zirytował się Jefferson.

Pod wpływem nagłego impulsu podjął decyzję. Nagłą, ale na pewno słuszną. - Wiesz co, stary, chyba odwołam tę jutrzejszą randkę. Zamiast tego spotkamy się we dwóch i pogadamy. - Po czym dodał z uśmiechem: - Sądząc po tym, jak wiele się u ciebie dzieje, będziesz miał mi wiele do opowiedzenia.

- Nie ma mowy - odparł Blake. Nie pozwoli przyjacielowi urwać się z wędki. - Po pierwsze, nasza rozmowa byłaby zbyt jednostronna, a po drugie, jestem jutro zajęty.

Jefferson niemile się zdziwił. Umawiali się, że Blake będzie mu towarzyszył przez cały czas . pobytu w Nowym Orleanie.

- Jesteś zajęty?

- Obiecałem być na uroczystym wernisażu w galerii sztuki w dzielnicy Warehouse.

- To tam, gdzie i ja jestem umówiony - z właściwą sobie pedanterią poinformował Jefferson.

- Wiem. Właścicielka galerii to moja dobra znajoma. A nawet więcej - dodał Blake, przybierając szelmowski wyraz twarzy. - Spotykamy się od pewnego czasu.

- Mogłem się tego spodziewać - zauważył Jefferson z lekką ironią w głosie. Nigdy nie był w stanie spać przyjacielek swego najlepszego kolegi. Zbyt często się zmieniały.

Blake całkowicie zignorował ironiczny przytyk.

- Moja znajoma jest serdeczną przyjaciółką Sylvie Marchand. Widzisz więc, mój drogi, że nie możesz odwołać randki. Gdybyś się nie zjawił, miałbym zmarnowany wieczór.

Jefferson odstawił opróżnioną szklankę i w tej samej chwili, jakby za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki, po drugiej stronie kontuaru pojawił się barman ze świeżym drinkiem w rękę.

Jefferson chciał w pierwszej chwili odmówić, ale zmienił zdanie. Podziękował barmanowi

skinieniem głowy.

- Panna Sylvie to dobra kobieta, proszę dobrze ją traktować - nieoczekiwanie odezwał się barman, po czym znikł równie szybko, jak się pojawił.

Jefferson, nieco zbity z tropu, z trudem zebrał myśli, by wrócić do przerwanej wątku.

- Nie rozumiem, co ma jedno z drugim wspólnego - rzekł po chwili, zwracając się do przyjaciela.

- Maddy nie byłaby zachwycona, gdyby się okazało, że mój przyjaciel wystawił jej przyjaciółkę do wiatru - wyjaśnił Blake. - Zwłaszcza że to ja wszystko zaaranżowałem.

- Więc to twoja sprawka? - Jefferson zmarszczył czoło. - Ty mnie umówiłeś z tą smarkulą? Chyba nie widziałeś jej na oczy.

- Sylvie Marchand jest dorosłą kobietą, a nie żadną smarkulą. Jako prawnik powinieneś uważać, co mówisz - odpowiedział Blake, ponownie zapuszczając żurawia w stronę siedzącej nieopodal blondyny. - Ktoś mógłby usłyszeć i dać ci w mordę. A jeśli chcesz wiedzieć wszystko, to powiedziałem Emily, która sama zamierzała wysłać twój formularz do agencji, żeby nie wyrzucała pieniędzy, bo jestem zaprzyjaźniony z osobą, która prowadzi taką agencję, i poprosiłem ją ...

- Ją, to znaczy kogo?

- Glorię Conway - wyjaśnił Blake, zerkając wesoło na przyjaciela, który, jak na prawnika przystało, usiłował uporządkować w głowie świeżo otrzymane informacje. - No więc poprosiłem Glorię, żeby mi pokazała swoje aktualne kandydatki z Nowego Orleanu.

- Czy to etyczne? - surowo zapytał Jefferson. Blake, który też był prawnikiem, z nieco większą swobodą podchodził do kwestii etycznych. - Dobrze wiesz, Jeffy, że w miłości, podobnie jak na wojnie, wszelkie chwytaki są usprawiedliwione.

Jefferson był zdecydowanie innego zdania - zarówno gdy chodzi o wojnę, jak i miłość. W sprawie jutrzejszego spotkania też nie wszystko będzie dozwolone. Nie zamierzał jednak ciągnąć dłużej tej dyskusji, która mogłaby trwać do rana. Blake może nie był tak dobrym prawnikiem jak on, ale nigdy się nie poddawał. Był obdarzony niesłychanie silnym instynktem walki i zawsze musiał postawić na swoim.

- No dobrze, widzę, że muszę się zgodzić, bo inaczej nie dasz mi spokoju - odparł zrezygnowany. Zwycięstwo zawsze wprawiało Blake'a w pojednawczy nastrój.

- Dzięki, stary. Obiecuję, że nie będziesz żałował.

Co ty możesz wiedzieć? - pomyślał Jefferson. Miał niepokojące przeczucie, że wkracza na nieznaną teren, najeżony niebezpiecznymi, ukrytymi pułapkami. Wystarczy jeden nieopatrzny krok i

nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Postawiwszy na podłogę swój koniec stołu, Maddy O'N eill odgarnęła z oczu kosmyk krótko ostrzyżonych, czarnych włosów, aby lepiej się przyjrzeć pomagającej jej w ustawianiu stołów przyjaciółce.

- Rozmawiałaś z nim? - spytała.

- Spotkaliśmy się w hotelu. Przechodziłam przez hol i usłyszałam, jak rozmawia z recepcjonistą o pokoju, którego mu nie zarezerwowano wyjaśniła Sylvie, poprawiając bluzkę. - Kiedy usłyszałam, że nie mamy wolnych pokoi, kazałam go umieścić w apartamencie Jacksona. No to jak, niesiemy ten stół czy poczekamy, aż pójdzie na własnych nogach?

Burknąwszy coś pod nosem, Maddy chwyciła blat stołu, kierując się małymi kroczkami w upatrzone miejsce.

- Naprawdę umieściłaś go w apartamencie Jacksona? - spytała z nutą podziwu w głosie. - Ten cudowny apartament to podobno wierna replika pokoju zajmowanego przez państwa Jacksonów tuż przed jego śmiercią? - Upewniwszy się, iż stół trafił na przeznaczone mu miejsce, przystanęła. - Tak będzie dobrze.

Sylvie z ulgą wypuściła z ręki mebel.

- Wcale nie podobno, tylko naprawdę - rzekła z przekonaniem. - Przeprowadziłam dokładne badania istniejącej dokumentacji. Apartament jest urządony dokładnie tak, jak za czasów Jacksona. Oczywiście z wyjątkiem obrazów, które są moje.

- To znaczy z hotelowej galerii? - zapytała dla pewności Maddy, zabierając się do kolejnego stołu.

- Nie, samaje namalowałam - odparła Sylvie, a widząc pytające spojrzenie przyjaciółki, wyjaśniła: - Obiecałam siostrze i mamie, że małym kosztem unowocześnię część pokoi. - No, idziemy

- dodała, chwytając swój koniec stołu.

- Apartament Jacksona jest urządony z ogromnym smakiem - pochwaliła Maddy, oglądając się przez ramię, by nie wpaść na ustawiony wcześniej stół. - Masz dobry gust, a do tego zamiłowanie do grzebania w starych papierzyskach, o co nigdy bym cię nie podejrzewała. - Dotarłszy na miejsce, postawiła stół na ziemi. - Tak samo, jak nigdy nie przypuszczałam, że będziesz taką dobrą matką.

Sylvie aż zarumieniała się z zadowolenia. Ona też nigdy by dawniej nie pomyślała, że macierzyństwo przyniesie jej tyle szczęścia. A jednak po urodzeniu dziecka poczuła się, jakby

otrzymała od losu niezwykle cenny dar.

- Wychowywanie dziecka to wielkie doświadczenie. Ucząc małą, nieustannie wzbogacam samą siebie - powiedziała w zamyśleniu, przebiegając w myślach różne momenty składające się na jej życie z Daisy Rose.

Przyjaciółki kolejny raz przeszły przez salę, aby przenieść ostatni stół.

- A co się dzieje z tym nicponiem, ojcem Daisy? Daje o sobie znać? - zainteresowała się Maddy.

- Na szczęście nie. - Co nie było prawdą. Wiedziałyby, co dzieje się z Shane'em, gdyby reago-
wała na jego telefony. W ciągu minionego tygodnia dzwonił dwa razy, kiedy nie było jej w domu, i zostawił wiadomość, prosząc, by oddzwoniła. Ni z tego, ni z owego po paru latach milczenia nagle zachciało mu się z nią skontaktować. Ale ona nie chce mieć z nim więcej do czynienia.

W milczeniu kończyły ustawianie stołów.

- Shane jako ojciec nie wniósłby do życia Daisy Rose niczego poza kłopotami - podjęła Sylvie. -
Gdyby to było możliwe, sprzedałby własne dziecko, byle zdobyć pieniądze.

- Nigdy nie rozumiałam, co w nim widziałaś - mruknęła Maddy.

Maddy zawsze waliła prawdę prosto z mostu, ale tym razem Sylvie musiała się z nią zgodzić.

- Z dzisiejszego punktu widzenia, niewątpliwie masz rację - przyznała. - Ale wtedy ... Urwała,
przypominając sobie swoje pierwsze spotkanie ze słynnym gitarzystą i wokalistą Shane'em
Alexandrem, który swoją grą dosłownie zwałił ją z nóg. - W swoim czasie on i jego zespół byli
rozrywani. Kiedy go poznałam, ich sława zaczynała przygasać. Shane potrzebował potwier-
dzenia, że jest kimś, a ja chyba chciałam czuć się potrzebna. I tak się zaczęło.

Maddy wyjęła przygotowane na jutrzejszą uroczystość obrusy i obie zabrały się do rozkładania
ich na stołach.

- No i był świetny w łóżku - podjęła Sylvie.

- Na tym, niestety, kończyły się jego zalety. - Sylvie nawet przed sobą nie lubiła przyznawać się
do naiwności, niemniej przez pewien czas naprawdę wierzyła, że Shane ją kocha. Szybko jednak
nastąpiło bolesne przebudzenie. - Wkrótce wyszło na jaw, że pije na umór i podrywa każdą
napotkaną dziewczynę powyżej osiemnastego roku życia. Dlatego z nim zerwałam. Okazał się
najbardziej próżnym i powierzchownym, zapatrzonym we własny pępek facetem pod słońcem.

- Nigdy nie próbował nawiązać z tobą kontaktu? - współczującym tonem spytała Maddy.

Sylvie powściągnęła chęć wyznania prawdy. -

Nie - odparła, tłumacząc sobie w duchu, że jeszcze przed tygodniem jej odpowiedź byłaby zgodna z prawdą. - Po przyjściu Daisy Rose na świat wysłałam mu kartkę na adres zespołu, i następną, przed jej pierwszymi urodzinami. Nie odpowiedział ani na pierwszą, ani na drugą.

- Nie wiedział, że jesteś w ciąży?

- Oczywiście, że wiedział. - Zaśmiała się gorzko. - I wiesz, jak zareagował? "Pozbądź się bachora!" Dosłownie' tak. Wiesz, jeśli o mnie chodzi, to Daisy Rose równie dobrze mogłaby być dzieckiem z próbówki. I tak byłoby chyba najlepiej.

- No nie wiem. W końcu przekazał jej coś dobrego. Ma bardzo ładny głosik.

Sylvie uśmiechnęła się z dumą. Daisy Rose uwielbiała śpiewać swoim lalkom piosenki.

- To fakt, słuchu i głosu na pewno nie odziedziczyła po mnie - przyznała. - Kto wie, może zostanie kiedyś słynną piosenkarką.

Jednakże Maddy była zwolenniczką dawania dzieciom wolnego wyboru. Jej rodzice nigdy nie podejrzewali, że ich córka zostanie znawczynią sztuki.

- Jeszcze za wcześnie na planowanie jej przyszłości - ostrzegła przyjaciółkę. - Może cię zaskoczy i zostać, na przykład, słynnym naukowcem.

Po nakryciu obrusami wszystkich trzech stołów Sylvie zaczęła rozstawiać składane krzesła. - Nie musi być sławna, chcę jej przede wszystkim zapewnić szczęśliwe dzieciństwo. Do Nowego Orleanu wróciłam między innymi po to, żeby moja córka dorastała w otoczeniu rodziny. - Nie przejmowała się tym, że jej słowa mogły brzmieć sentymentalnie. - Sama wychowywałam się w kochającej się rodzinie i wiem, że takie dzieciństwo zaszczerpia człowiekowi na całe życie poczucie zaufania do świata i wiary w siebie.

- Posiadanie ojca też mogłoby jej to dać - zauważyła rzeczowo Maddy, wlokąc kolejne dwa krzesła.

- Może masz rację, ale nie zamierzam rozsyłać w jego poszukiwaniu specjalnych biuletynów. - To powiedziawszy, Sylvie zostawiła Maddy trud ustawienia reszty krzeseł, a sama zajęła się rozpakowywaniem dwóch obrazów z galerii, które sama tu przytargała. Płótna te, oba malowane przez artystów mieszkających w Luizjanie, stanowiły jej osobisty wkład w jutrzejszy wernisaż. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby moje dziecko miało ojca, ale mnie osobiście nie jest on do niczego potrzebny. Nie muszę mieć mężczyzny, żeby czuć się pełnym człowiekiem.

- Jesteś niezwykle samodzielna - przyznała Maddy.

- I ty to mówisz? - zdziwiła się Sylvie. - Ty, która jesteś najbardziej samodzielną i samowy-

starczalną kobietą, jaką znam?

- Staram się - z uśmiechem odparła Maddy. - Niemniej dobrze jest czuć obok siebie w łóżku męskie gorące ciało.

- Miałam ich aż nadto, jak na swoje potrzeby - nieco zgryźliwie zauważyła Sylvie. - Nie przeceniałabym wartości gorących męskich ciał w łóżku.

Niosąca kolejne dwa krzesła Maddy przystanąła, aby lepiej jej się przyjrzeć.

- Po co *W* takim razie się z nim umówiłaś? Sylvie ostrożnie wyjęła pierwszy obraz i delikatnie oparła go o ścianę. Potem, równie niespiesznie, zrobiła to samo z drugim.

- Bo jestem otwarta na różne możliwości. A poza tym, gdybym się wycofała, Charlotte, Melanie i Renee dobrałyby mi się na serio do skóry. Zresztą zrobił na mnie sympatyczne wrażenie, chociaż zupełnie inaczej go sobie wyobrażałam. Jest raczej w stylu Gregory'ego Pecka niż Johnny'ego Deppa. Co prawda lubię Gregory'ego Pecka, ale nie w tym sensie.

Zamiast rozłożyć następne krzesła, Maddy oparła je o stół.

- A widziałaś "Pojedynek w słońcu"? Gregory Peck też potrafił zagrać ostrego faceta.

- Ja już nie tęsknię za ostrymi facetami - rzekła Sylvie. - Prawdę mówiąc, sama nie wiem, kto mógłby mi się spodobać. Na razie wiem tylko, że Jefferson Lambert stanowczo nie jest w moim typie.

- A to dlaczego? - zdziwiła się Maddy. - Z tego, co podał w formularzu, powinniście mieć wiele wspólnego.

- A skąd ty znasz jego formularz? Charlotte powieliła go w stu egzemplarzach i rozesała po mieście?

- Blake mi go pokazał.

- Jaki Blake? - Przyjaciółka Sylvie zmieniała mężczyzn mniej więcej z taką częstotliwością, z jaką chory na katar zmienia chusteczki do nosa.

- To mój najnowszy nabytek - wyjaśniła Maddy. - Wysoki brunet, bardzo przystojny. I chyba zamożny. - Oczy Maddy rozbliły się. - Poznasz go na jutrzejszym przyjęciu. Tak się składa, że jest przyjacielem twojego Lamberta.

Sylvie lekko zeszywniała. Poczula się osaczona.

- Nie jest żadnym "moim" Lambertem - zaprotestowała.

- No dobrze, przyjacielem mężczyzny, z którym masz randkę - poprawiła się Maddy. - W którym razie on i Blake znają się od niepamiętnych czasów. Studiowali razem w Nowym Orleanie

i należeli do tej samej korporacji, która w tym tygodniu obchodzi swoją którąś tam rocznicę. Od tego wszystko się zaczęło.

Sylvie jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić dystyngowanego Lamberta z kuflem piwa w ręku, otoczonego gronem podpitych, rozochoconych młodzieńców. Ale ostatecznie skąd miałyby wiedzieć, jaki był za studenckich czasów.

- Byłoby zabawne zobaczyć gromadę dorosłych mężczyzn, którzy zbierają się, żeby powspominać szczeniące lata - zauważyła. Na twarzy Maddy dostrzegła wyraz głębokiego namysłu. - Co ci chodzi po głowie?

- Nic takiego - odrzekła Maddy, mierząc wewnątrz sali uważnym spojrzeniem. - Ale podsunęłaś mi pewną myśl.

Sylvie zastanowiła się, która z jej ostatnich kwestii mogła zainspirować przyjaciółkę, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

- Nie będę cię wypytywać, bo wiem, że niektóre twoje pomysły są zbyt zwariowane nawet jak na mój gust.

- Potraktuję to jak komplement - odparła Maddy, wpatrując się w ścianę w głębi sali. - Jak myślisz, czy nie jest za późno, żeby ją pomalować na pomarańczowy kolor?

- O wiele za późno - orzekła Sylvie. Poza tym jeden z przyniesionych przez nią obrazów źle by się prezentował na pomarańczowym tle. - Ale jest inny sposób na nadanie wnętrzu nowego charakteru - dodała po chwili. - Znam kogoś, kto mógłby nam pożyczyć coś w rodzaju tymczasowej tapety. - Oczami wyobraźni widziała już przetworzone wnętrze.

Maddy ją uściskała.

- Jesteś nieoceniona. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- I dlatego darzysz mnie przyjaźnią? - zaśmiała się Sylvie.

- Nie. Bo jesteś najmiłą, najlepszą i najbardziej bezinteresowną osobą, jaką znam - odrzekła Maddy, poważniejąc.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. - To mówiąc, Sylvie sięgnęła po młotek i zabrała się do zawieszania obrazów.

- Czasami żałuję, że nie jesteś mężczyzną - dodała Maddy.

- Gdyby jedna z nas była mężczyzną, nasza przyjaźń szybko by się skończyła. - Umieściwszy pierwszy obraz na haku, Sylvie cofnęła się, by sprawdzić, czy równo wisi. - Mężczyźni są dobrzy na chwilę, ale na ogół nie zagrzewają na długo miejsca u boku jednej kobiety.

- Nie mogę się doczekać jutrzejszego wernisażu. Mam przeczucie, że ty i twój partner staniecie się jedną z jego głównych atrakcji.

Sylvie zamarła ze wznieścionym młotkiem w ręku. W lot zrozumiała, co planuje jej pomysłowa przyjaciółka. Nie zawaha się narobić wokół niej szumu.

- Ani mi się waź! - ostrzegła.

- Nagle stałaś się nieśmiała? - zdziwiła się Maddy.

- Ja nie, ale podejrzewam, że Jefferson nie lubi rozgłosu.

-Widzę, że odezwał się w tobie opiekuńczy instynkt. Niezły początek.

- Nie chodzi o opiekuńczy instynkt - zaprotestowała Sylvie, bojąc się, że jeśli Maddy zbyt wiele wyobrazi sobie na ich temat, nazajutrz po wernisażu plotkarskie magazyny pełne będą spekulacji na temat nowego romansu jednej ze współwłaścielek "pewnego znanego hotelu". - Po prostu nie wiem, czy randka nie skończy się absolutnym fiaskiem.

- A co na siebie włożysz?

- Jeszcze się nie zastanawiałam.

Maddy pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Jak na kobietę, poświęcasz strojom wyjątkowo mało uwagi. No ale możesz sobie na to pozwolić. Z twoją figurą nawet w worku wyglądałabyś olśniewająco.

- Teraz już wiem, dlaczego tak cię lubię - roześmiała się Sylvie. - Za ślepą lojalność. - Odłożyła młotek i zawiesiła drugi obraz. - A teraz zadzwonię do tej pani od tapet. - Wyjęła telefon komórkowy.

Starła się wynajdywać sobie coraz to nowe zajęcia, aby nie myśleć o jutrzejszym wieczorze i utrzymać na wodzy nerwy, które z niezrozumiałych powodów były napięte jak chyba nigdy dotąd.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wszystko przez to, że od tak dawna z nikim się nie spotykała. Po prostu wyszła z wprawy. Tylko tym mogła wytłumaczyć nieznaną jej dotąd uczucie niepewności.

Następnego dnia rano, jadąc taksówką z domu do hotelu, obserwowała wąskie uliczki starej części miasta. Kierowca próbował zabawić ją rozmową, lecz zajęta własnymi myślami Sylvie odpowiadała monosylabami.

W drodze na spotkanie z Jeffersonem towarzyszył jej nietypowy dla niej brak pewności siebie. W

pewnym momencie była wręcz gotowa zawrócić. Co się z nią dzieje?

Dawniej każde wyjście z domu było zapowiedzią dobrej zabawy. Nie wiedziała, co to niespokojne bicie serca ani zwilgotniałe ze zdenerwowania dłonie. Owszem, niekiedy z wrażenia miękkły pod nią kolana, lecz to było wpisane w reguły dobrej zabawy. Uwielbiała przygody i nowe znajomości. Poznawanie nowych, ekscytujących mężczyzn.

Dziś po raz pierwszy trema ścisnęła jej żołądek. Matkowanie Daisy Rose pozbawiło ją dawnej bez troski.

Seria fajerwerków wyrwała ją z zamyślenia. Próbowwała coś zobaczyć przez szybę samochodu, ale jechali przez zatłoczoną Dzielnicę Francuską, której wysoka zabudowa ograniczała widoczność. Opadła na oparcie siedzenia i pogrążyła się na nowo w zadumie.

Życie bynajmniej nie przestało jej ekscytować.

Tyle że dziś pochłaniały ją takie sprawy, jak projekt nowej wystawy albo wygospodarowanie większej ilości czasu, który mogłaby poświęcić córce.

Do niedawna korzystanie z życia polegało na tym, by polecieć z przyjaciółmi prywatnym odrzutowcem do Paryża albo wypuścić się na parę dni do Acapulco. Słowem, na robieniu tego, na co w danej chwili przyszła jej ochota, bez zastanawiania się nad jutrem. Pojawienie się Daisy Rose nadało słowu "jutro" nieznaną dotąd sens.

W sumie, pomyślała z westchnieniem, stała się osobą znacznie rozważniejszą i nabrała niemal konserwatywnych nawyków. Stąd pewnie na myśl o czekającym ją wieczorze odczuwa graniczący z lękiem niepokój.

Poprawiła się na siedzeniu, by nie wygnieść sukienki. O swój wygląd była jednak spokojna. Wbrew temu, co wczoraj powiedziała Maddy, Sylvie pasjonowała się strojami. Dobierała je z artystycznym wyczuciem, wymyślając oryginalne ubiory zarówno dla siebie, jak i dla małej Daisy.

Miała dziś na sobie przylegającą do ciała, zielonkawo-żółtą, jedwabną sukienkę z głębokim dekoltem i rozkloszowanym dołem, który przy żywszym ruchu układał się w kształt tulipana. Bujne włosy upięła na czubku głowy.

- Śliczna jesteś, mamó - orzekła Daisy Rose, kiedy pół godziny temu wyłoniła się ze swej sypialni, by powiedzieć córeczce dobranoc.

Najważniejsze, że tobie się podobam, pomyślała, całując dziewczynkę w oba policzki.

- Dziękuję, kochany szkrabie - powiedziała czule.

- Mała ma rację - przyznała babcia dziewczynki, Anne Marchand. - Wyglądasz dzisiaj jak obrazek.

- Raczej jak zjawa. Kiedy ty nabierzesz trochę ciała? - odezwała się kwaśno usadowiona w głębokim fotelu babka Celeste Robichaux. Fotel kompletnie nie pasował do umeblowania salonu, ale Sylvie wstawiła go przez szacunek dla babuni. Osiemdziesięcioletnia Celeste była osobą wyjątkowo żwawą jak na swój wiek, niemniej wnuczka zauważyła, iż wstawanie ze zbyt miękkich i zbyt niskich foteli i kanap zaczyna jej sprawiać pewną trudność.

Sylvie rzuciła babce czułe spojrzenie. Za plecami babki ona i jej siostry nazywały ją Cesarzową. Bo też Celeste Robichaux miała wielkopańskie maniery, nie znosiła sprzeciwu i miała bardzo kąśliwy język. Ale wnuczki wiedziały; że pod

tą władczą surowością kryje się kochające serce. Niemniej przed okiem Cesarzowej nic nie mogło się ukryć.

- Wybierasz się na randkę? - Mimo pytającej formy, nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

Tego Sylvie się nie spodziewała. Matce i babce powiedziała, że idzie na uroczysty wernisaż u Maddy, czyli najedno z wiel~przyjęć, najakich często zdarzało się jej bywać. W pierwszYm odruchu chciała się jakimś kłamstewkiem wykręcić od odpowiedzi, lecz uznała, że nie miałyby to sensu.

- Można tak to nazwać, babciu - odparła lekkim tonem, sprawdzając zawartość małej torebki, aby się upewnić, czy czegoś nie zapomniała. - Moje siostry za moimi plecami umówiły mnie na randkę.

Celeste Robichaux bynajmniej nie zrobiła zgorzonej miny.

- Aha - mruknęła. I dodała, spoglądając znacząco na Daisy Rose: - Mam nadzieję, że nie zapomnisz o generalnej zasadzie, że z mężczyzn jest tylko jeden pożytek.

- A mój Remy? Nie powiesz, że nie był pożyteczny pod wieloma względami - gorąco zaprotestowała Anne. Zmarły przedwcześnie cztery lata temu, obdarzony wieloma zaletami mąż był jej wielką miłością. Remy cieszył się za życia powszechną sympatią, a nawet podbił serce teściowej, co było nie lada osiągnięciem.

Anne i jej matka ofiarowały się dzisiaj zaopiekować małą Daisy Rose. Pierwsza zgłosiła się do pomocy Anne, a jej matka postanowiła to-' warzyszyć córce, którą od czasu zawału wolała mieć stale na oku.

- Twój Remy był tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę - zawyrokowała nieprzejednana

Celeste.

Sylvie została jeszcze parę minut, aby uspokoić obie panie. Nie chciała, by babka, która potrafiła być dokuczliwa, zepsuła matce humor.

Tym razem jednak Anne nie straciła ducha.

Długie doświadczenie nauczyło ją zachowywać spokój wobec prowokacji ze strony kobiety, która dała jej życie i po której odziedziczyła umiejętność radzenia sobie z trudnościami.

Upewniwszy się, że spór między dwiema kobietami został zażegnany, Sylvie uściskała matkę i babkę, a na koniec jeszcze raz ucałowała Daisy Rose, przykazując jej dbać o swoje opiekunki.

- Możesz na mnie polegać, mamó - oświadczyła dziewczynka tonem niemal dorosłej osoby.

Boże, pomyślała Sylvie, jak ja mogłam egzystować bez mojej małej? Dziś nawet nie pamiętała, jak to było możliwe. Jeszcze raz uściskała dziewczynkę, złapała torebkę i skierowała się do wyjścia.

- Baw się dobrze! - powiedziała Anne na pożegnanie.

- Byle nie za dobrze - zgryźliwie dodała Celeste. - Daisy Rose obejdzie się bez młodszego rodzeństwa.

Nie ma obaw. Ani jej było w głowie wdawać się w romans z mężczyzną przypominającym Gregory'ego Pecka. W jej wypełnionym po brzegi życiu nie ma miejsca na dodatkową osobę.

Taksówka właśnie podjeżdżała pod hotel. Po chwili portier Paul otworzył przed nią drzwi.

- Dobry wieczór, panno Sylvie. Chyba nie zamierza pani dziś pracować? - powiedział na powitanie, obrzucając ją pełnym zachwyty spojrzeniem. Od dawna żonaty Paul, mający w domu trójkę dzieci i spodziewający się lada dzień czwartego, nie stracił upodobania do pięknych kobiet, które to upodobanie ograniczało się dziś jedynie do platonicznie wyrażanego podziwu. - Zwłaszcza w tym stroju. Cudownie pani wygląda.

Sylvie podziękowała mu uśmiechem.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy - zauważyła, wysiadając z taksówki. - Idę na przyjęcie z jednym z naszych gości.

- Szczęściarz z niego! - odparł Paul.

- To się dopiero okaże - mruknęła sama do siebie.

Ostatni raz był na randce za studenckich czasów, oczywiście z Donna. Od tamtej pory całe nowe pokolenie zdążyło się narodzić i dorosnąć. Był samotnym, starzejącym się mężczyzną. Jedynym

opiekunem córki jedynaczki. Mężczyznom w jego wieku i w jego sytuacji nie wypada umawiać się na randki.

Takie niespokojne myśli krążyły Jeffersonowi po głowie w trakcie ubierania się. Chyba po raz pierwszy od czasu egzaminów prawniczych był aż tak zdenerwowany.

Drzwi zamknęły się i winda nieubłaganie ruszyła w dół. Kości zostały rzucone. Jedyne sposob, by przetrwać z godnością dzisiejszy wieczór, to zachowywać się tak, jakby uczestniczył w oficjalnym przyjęciu, a Sylvie Marchand była po prostu osobą; której ma obowiązek towarzyszyć. Kłopot w tym, że jej uroda nie dodawała takiemu scenariuszowi prawdopodobieństwa, budząc w Jeffersonie poczucie wmy.

Czuł się winny wobec Donny. Fakt, iż zmarła osiem lat temu, nie miał znaczenia. Była jego żoną na zawsze. Przysięgając przed ołtarzem wierność małżeńską "póki śmierć nas nie rozłączy", myślał o swoim, a nie jej, odejściu z tego świata. Miał poczucie, że zachowuje się niewłaściwie. Jego towarzyskie kontakty powinny się ograniczać do grona dawnych znajomych i przyjaciół.

Dawnych znajomych i przyjaciół.

No tak, ale jednym z nich był Blake, główny winowajca zaistniałej sytuacji. Który, na domiar wszystkiego, zamiast przyjść i podtrzymać go na duchu, zadzwonił w ostatniej chwili, że "coś mu wypadło" i zobaczą się dopiero na miejscu, w galerii.

Zupełnie jakby chciał mu udowodnić, że jest tym samym co niegdyś, rozrywany przez kobie i y bawidamkiem, któremu żadna nie potrafiła się oprzeć i który dawno wyleciałby z uczelni, gdyby wierny Jefferson nie pomógł mu w nauce.

I oto, jak mi się za to wszystko odpłaca! - pomyślał ze złością Jefferson. W ostatniej chwili zostawia go na lodzie.

Zanim winda zatrzymała się na parterze, Jefferson miał ułożony plan. Poczekaj, aż wszyscy wysiądą, a potem wjedzie z powrotem na górę i zadzwoni do Sylvie na jej komórkę z przeprosinami. Przemówi jej ojcowskim tonem do rozumu, nie będzie udawał podstarzałego Romea. '

Winda stanęła i drzwi powoli zaczęły się otwierać. Odkąd wylądował w Nowym Orleanie, Jefferson miał dziwne wrażenie, jakby wszystko działało się w zwolnionym tempie. W ogóle czuł się nie na swoim miejscu. Dawne czasy minęły, odeszły w przeszłość. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Ktokolwiek to powiedział, miał po stokroć rację.

Nie wchodzi się ...

Jeffersonowi serce podeszło go gardła. Wszyscy wysiedli, tylko on stał pośrodku opustoszałej

windy. Stał z oczami wlepionymi w stojące naprzeciw niego zjawisko.

Winda zaczęła się zamykać. W ostatniej chwili przytrzymał drzwi ręką. Zaschło mu w gardle.

- Sylvie! - powiedział z trudem.

Zbliżyła się do niego z nieco zdziwioną miną. - Jeżeli chcesz pojeździć windą w górę i w dół, spóźnimy się na początek kolacji - ostrzegła go z uśmiechem.

Zafascynowany tworzącym się w jej prawym policzku dołeczkiem, dopiero po chwili się otrząsnął. Rozsunął zamykające się drzwi i wyszedł do holu, a ona wzięła go natychmiast pod ramię, jakby byli parą starych znajomych.

- Co to była za gra? - zapytała.

Nie mógł jej powiedzieć, że w ostatnim momencie obleciał go strach i chciał się wycofać. Później sam wolał nie pamiętać o tej chwili słabości.

- Hm, wydawało mi się, że czegoś zapomniałem - wybąkał.

Jej świetliste zielone oczy zdawały się przenikać go na wylot.

- I co?

Spojrzenie zielonych oczu wciągało w jakąś nieznaną toń, przed którą nie miał siły się bronić.

- Że co?

- Czy rzeczywiście czegoś zapomniałeś?

Jefferson z trudem zbierał myśli.

- Tak, to znaczy nie. Mam portfel przy sobie - powiedział w końcu, wstydząc się swego braku pomysowości.

Można by go wziąć za uczniaka, a nie starego sądowego wygę, który bez zmrużenia oka odpiera ataki wytrawnych adwersarzy, usiłujących wytknąć mu pomyłkę w rozumowaniu.

- No tak, ale żaden z nich nie miał twarzy ani figury tej kobiety. Dobrze, że całkiem nie zgłupiał i pamięta przynajmniej, jak się nazywa.

- Czyli możemy jechać?

Powiedziała to tonem sugerującym gotowość poddania się we wszystkim jego decyzji. Oto jeden z uroków kobiet z Południa, pomyślał. Zarazem nie wątpił, iż pod tymi czarownicami pozorami całkowitej uległości kryje się żelazna wola. Na tym również polega jeden z uroków właściwych mieszkankom Południa.

Musi się opamiętać, zanim będzie za późno.

- Tak, jestem gotowy - odparł dzielnie.

- Znakomicie. - Przerzuciwszy przez ramię srebrzysty szal, Sylvie ponownie ujęła Jeffersona pod ramię i poprowadziła przez hol.

Bliskość jej ciała sprawiła, iż Jeffersonowi kolejny raz zaschło w gardle.

- Czy mam wezwać taksówkę? - zapytał Paul, zwracając się niby to do Lamberta, lecz wpatrzony przede wszystkim w jego partnerkę.

- O tak! - zawołała Sylvie, po czym, spoglądając na Jeffersona, dodała: - Chyba że wolisz się przejść?

Jefferson nie miał pojęcia, dokąd się udają.

Normalnie sprawdziłby dokładnie na mapie, gdzie odbywa się przyjęcie, jednakże dzisiaj miał uczucie, że wszystko będzie się działo inaczej niż normalnie.

- Jak daleko mamy do galerii? - zapytał.

- Nie wiem dokładnie, ale pewnie kilka kilometrów. Mieści się w dzielnicy Warehouse.

Pokonanie takiej odległości w nowych, niezbyt wygodnych butach, które kupił przed wyjazdem na wyraźne żądanie Emily, nie wchodziło w grę. - W takim razie lepiej weźmy taksówkę - powiedział.

Paulowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Już po paru chwilach przed hotelem zatrzymała się taksówka. Sylvie pierwsza wsunęła się do środka, a Jefferson wsiadł po niej, uważając, by zaledwie się do niej nie zbliżyć. Niemniej poczuł, jak jej noga muska jego nogę.

Sylvie wychyliła się do przodu, podając kierowcy adres galerii, a gdy opadła z powrotem na oparcie, Jefferson odniósł wrażenie, iż siedzi nieco bliżej niego niż przed chwilą.

Przebywanie z nią- w zamkniętej przestrzeni nie ułatwiało Jeffersonowi utrzymania wspólnej przygody na wyłącznie przyjacielskim gruncie. Odnosił wrażenie, że atmosfera w ciemnym wnętrzu taksówki staje się coraz bardziej napięta, jakby naładowana elektrycznością. Do tego odurzał go działający na zmysły zapach jej perfum. Powtarzał sobie wprawdzie, iż nie wolno mu stracić głowy, lecz jego odporność na pokusy wyraźnie słabła.

Kiedy rozpaczliwie próbował wymyślić jakiś obojętny temat rozmowy, zdał sobie sprawę, że Sylvie zadała mu pytanie.

-c Bardzo się zmienił? - powtórzyła.

- Strasznie przepraszam, ale nie dosłyszałem, o co pytałaś - odparł, nie mając pojęcia, o czym mówi.

Sylvie uśmiechnęła się, słysząc jego wyszukane przeprosiny. Najwidoczniej ma do czynienia z

najlepiej wychowanym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Od pewnego czasu wpajała Daisy Rose dobre maniere i dziewczynka starała się, jak mogła, spełnić matczyne oczekiwania, niemniej Jefferson był w tej dziedzinie nie do pobicia.

- Mówiłam o Nowym Orleanie - odparła. Pytałam, czy od twoich czasów miasto bardzo się zmieniło.

- Trochę, ale nie bardzo. - Po wczorajszym pierwszym telefonie do Blake'a wybrał się po południu na samotny spacer po mieście. Mógł poczekać, aż przyjaciel się do niego przyłączy, ale postanowił zrobić to sam. Odkąd Donna odeszła, przywykł obywać się bez towarzystwa. Zresztą wolał, aby nikt mu nie przeszkadzał w nawiązaniu pierwszego kontaktu z miastem młodości. - Zauważyłem, że znikło trochę dawnych sklepów, a za to powstały nowe, których nie było za moich czasów. W sumie jednak jest chyba wiele prawdy w powiedzeniu, że o charakterze miasta decyduje nie zmienny duch miejsca.

Sylvie nie bardzo wiedziała, jak zareagować na tę dosyć banalną uwagę. Zaczynała podejrzewać, iż jej towarzysz ma w zapasie wiele równie mało oryginalnych powiedzeń. Na razie wieczór nie zapowiadał się zbyt ciekawie, lecz nie traciła nadziei, że jej partner jeszcze się rozrusza.

Taksówka w żółtym tempie przebiegała się przez wąskie, zatłoczone uliczki. Wyglądało na to, że nigdy nie dotrą na miejs-ce. Jednakże w pewnej chwili zatrzymali się przed budynkiem przypominającym gigantyczną stodołę. Z wnętrza dochodziło stłumione, rytmiczne walenie perkusyjnych instrumentów. Jefferson miał wrażenie, że wprawiają w drzenie auto razem z całą ulicą.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Sylvie, dodając w duchu: "nareszcie". Chyba jeszcze nigdy nie przeżyła równie długich dziesięciu minut.

O mój Boże! - z przerażeniem pomyślał Jefferson. Czy oni przez cały wieczór będą tak głośno grać? Już teraz, zanim jeszcze weszli do środka, prawie nie słyszał, co Sylvie do niego mówi. Po raz kolejny doszedł do wniosku, iż umówienie go na randkę z nieznaną było pomysłem poronionym.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Minął dobry kwadrans, zanim Jefferson oswoił się jako tako z nowym, dziwacznym otoczeniem. Czuł się, jakby po przekroczeniu drzwi znalazł się w innym, obcym mu wymiarze. We wnętrzu galerii wszystko, łącznie ze światłami, zdawało się pulsować w oszalamiającym tempie.

Najwidoczniej w nowym Nowym Orleanie nie wszystko toczy się leniwym, apatycznym trybem.

Jego oczy spoczywały na kroczącej przed nim kobiecie, która prowadziła go za sobą od samego progu. Zdawała się być w swoim żywiole wśród ogłuszającego hałasu, migających świateł i kłębiącego się tłumu. Wyraźnie rozkwitała pod wpływem buchającej zewsząd, przenikającej całe wnętrze nieokiełznanej energii.

Podczas jazdy taksówką Sylvie była wyciszona. Teraz nagle ożywiła się i nabrała energii. Widać znalazła się w swym naturalnym środowisku, pomyślał Jefferson, i niby kwiat wstawiony do wody w jednej chwili rozkwitła.

Czego, niestety, nie mógł powiedzieć o sobie. Szkoda, że jedyne, na co ma ochotę wobec tak brutalnego ataku na jego zmysły, to odwrócić się na pięcie, wybiec najbliższymi drzwiami na ulicę i taksówką wrócić do hotelu.

Za dużo tego wszystkiego: hałasu, migotania świateł, ludzi. Sylvie uzna go pewnie za nudziarza. Lubił spokojne wieczory, spacerować brzegiem morza, długie, leniwie celebrowane kolacje, kameralne rozmowy w cztery oczy. W zatłoczonej galerii nie sposób z nikim porozmawiać. Jefferson nie wiedział, jak można nawiązać kontakt z setką osób naraz. Zresztą w tym hałasie i tak nikt nikogo nie był w stanie usłyszeć.

Jednakże było już za późno, aby się wycofać.

Skoro raz się tu znalazł, skoro wyraził zgodę, musi robić dobrą minę do złej gry. Zrobi, co będzie mógł, by nie sprawić Sylvie zbyt wielkiego zawodu. Szkoda tylko, że w galerii jest tak gorąco. To pewnie przez te światła.

Rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. Sylvie obejrzała się, ujęła go za rękę i pociągnęła za sobą w głąb najgęstszego tłumu. Rzuciła przy tym uśmiech, który niesłychanie poprawił mu samopoczucie. Ma naprawdę cudowny uśmiech, przemknęło mu przez głowę. Uśmiech zdolny skłonić zwaśnione strony do złożenia broni, albo najmniej odważnych do wyruszenia na niebezpieczną wyprawę.

- Chodź za mną! - zawołała. - Widzę Maddy.

- Co mówisz?

- Maddy! - zawołała jeszcze głośniejszym głosem. - Widzę ją. Jest tam - dodała, wskazując kierunek.

Maddy? Aha, to pewnie kobieta odpowiedzialna za cały ten nie ludzki harmider. A także ostatnia konkieta Blake'a. A zatem istnieje duże prawdopodobieństwo, że idąc w jej stronę, spotka się z przyjacielem. Taką miał nadzieję. Myśl o ujrzaniu znajomej twarzy dodała Jeffersonowi ducha.

- Dobrze. Prowadź! - odkrzyknął. „Nagrodziła go kolejnym olśniewającym uśmiechem.

Długo przebijali się przez tłum. Na przeszkodzie stały wystające pod najdziwniejszymi kątami łokcie, nogi, kolana. Ludzie nieustannie przesuwali się, rozmawiali, niektórzy, o dziwo! - nawet usiłowali tańczyć, chociaż Jefferson nie' potrafił w ogłuszającym hałasie wyłowić bodaj cienia melodii.

Kiedy po długich zmaganiach znaleźli się wreszcie obok Maddy i Blake'a, Jefferson poczuł się jak admirał Perry w chwili osiągnięcia bieguna południowego.

W przeciwieństwie do niego Blake był w rozkoszonym humorze. Jego wesołość nasunęła Jeffersonowi przypuszczenie, że przyjaciel jest już pod dobrą datą. Sam chętnie by się czegoś napił. Normalnie dobrze reagował na alkohol, co przypisywał swemu genetycznemu wyposażeniu i wysokiemu wzrostowi.

Blake powitał przyjaciela szerokim uśmiechem.

- Cieszę się, że jednak do nas dotarłeś, stary - powiedział, klepiąc Jeffersona po plecach, jakby ten wygrał jakiś wyścig albo konkurs.

- Czy na wasze przyjęcia zawsze przychodzą takie tłumy? - zapytał Jefferson, starając się nie krzyknąć zbyt głośno.

Sylvie pokręciła głową.

- Różnie bywa - odparła. - Ale kiedy robi się naprawdę tłoczno, część ludzi po prostu wypływa na ulicę. - Pamiętała niedawny wernisaz odbywający się w znacznie mniejszej sali, gdzie ludzie dosłownie siadali sobie na kolanach, co dodatkowo ożywiało konwersację. - Nie, tym razem Maddy bardzo ograniczyła listę zaproszonych.

Chcąc zrozumieć, co Sylvie mówi, musiał uważnie wpatrywać się w jej wargi. Był to jednak wysiłek dość przyjemny.

- Więc ci wszyscy ludzie dostali się tu bez zaproszenia? - zapytał, wskazując oczami kłębiący się tłum.

- Nie miej mojemu przyjacielowi za złe - roześmiał się Blake, obejmując Jeffersona i spoglądając na Sylvie. - Nie jest dzikusiem, tylko przywykł do kameralnych spotkań.

Ku zdziwieniu Jeffersona, Sylvie zwróciła się ku niemu i długo patrzyła mu w oczy, jakby chciała go przejrzeć.

- Dwoje ludzi może sobie całkowicie wystarczyć. Jeśli są dobrze dobrani - powiedziała z lekkim uśmiechem.

Stanęła w jego obronie. Jefferson sam nie wiedział, czy ma być jej za to wdzięczny, czy też czuć się dotkniętym. Czyżby uważała go za fajtlapę, którego trzeba bronić? Chyba jednak zbyt poważnie podchodzi do całej tej przygody. Otaczający go ludzie zachowywali się tak, jakby ich jedynym celem było dobrze się bawić.

Rozluźnij się, powiedział sobie. W swym pracowitym, pełnym obowiązków życiu zatracił zdolność bezinteresownego cieszenia się chwilą. Nagle rozjaśniło mu się w głowie i zdał sobie sprawę, że chyba już wie, dlaczego Emily tak bardzo namawiała go na wyjazd do Nowego Orleanu. Robiła to "dla jego dobra", pomyślał z uśmiechem, przywołując znane powiedzenie, którym rodzice zwykle starają się przekonać swoje oporne dzieci. Postaram się zachowywać najswobodniej, jak tylko potrafię, obiecał córce w duchu.

Zobaczył przedzierającą się przez tłum kelnerkę z tacą zastawioną kieliszkami. Miała na sobie białą męską koszulę z czarną muszką pod szyją, czarne spodnie i czarną kamizelkę. Drinki szybko znikaly, niemniej Jeffersonowi udało się pochwycić dla siebie i Sylvie dwa ostatnie kieliszki szampana.

- Za dzisiejszy wieczór! -.- powiedziała wesoło.

- Za dzisiejszy wieczór! - powtórzył, patrząc jej głęboko w oczy.

- Amen - rzekła na to Maddy, jednym haustem wychylając musujący płyn. Stała przez chwilę z zamkniętymi oczami, po czym odetchnęła głęboko i rozejrzała się po sali, jakby starając się dodać sobie odwagi. - Dzięki, że jesteś - powiedziała, spoglądając na Sylvie. - Wam również bardzo dziękuję - dodała, przypominając sobie poniewczasie o obecności obu panów. - Na początku każdego przyjęcia okropnie się denerwuję.

- Po co je urządzasz, skoro tyle cię kosztują? - naiwnie zdziwił się Jefferson. Nie rozumiał, po co ktoś miałby robić coś, czego robić nie musi, a co na dodatek przysparza mu niewygod. Przecież nikt nie zmusza tej kobiety do wyprawiania hucznych przyjęć.

Tymczasem Sylvie popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby nie pojmowała, jak można zadać podobne pytanie.

- Przecież na tym w dużym stopniu polega cała zabawa - odparła za Maddy. - Nerwy, niepewność, podniecenie, o to właśnie chodzi. Bez ryzyka nie ma prawdziwej radości. Prawda, Maddy? Powiedziała to takim tonem, jakby chodziło o wielką emocjonującą przygodę, a nie zwykłe przyjęcie. Co prawda dzisiejsze przyjęcie samemu Jeffersonowi wydawało się dosyć niezwykle. Ostatni raz uczestniczył w równie licznych zgromadzeniach z okazji charytatywnej gali na rzecz

znanej na cały kraj organizacji dobroczynnej. Tam jednak goście nie robili aż takiego hałasu, a na parkiecie nie tańczono z aż tak wielkim zapamiętaniem. Zresztą muzyka była spokojniejsza, a orkiestra bardziej dostojna.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - przy tak nęła Maddy, wychylając kolejny kieliszek szampana.

- Prawda, że jest zachwycająca? - szepnął Blake Jeffersonowi do ucha.

- Która? - spytał zagadnięty, starając się mówić nie za głośno, ale tak', by przyjaciel go usłyszał.

Na wszelki wypadek odwrócił się do Sylvie plecami. - Maddy czy Sylvie?

- Maddy - odparł Blake, przekonany o oczywistości swej oceny. Zaraz jednak pokręcił głową i dodał: - Chociaż muszę przyznać, że twojej pani też niczego nie brakuje.

- Nie jest "moja panią" - pedantycznie sprostował Jefferson. Był przekonany, że on i Sylvie widzą się dzisiaj pierwszy i ostatni raz w życiu. - Ale poza tym całkowicie się z tobą zgadzam

- uzupełnił swoją odpowiedź, mierząc Sylvie pełnym podziwu spojrzeniem.

Blake z oburzeniem popatrzył na przyjaciela. - Zlituj się, Jeff, mówisz o niej tonem analityka oceniającego naj świeższy raport o stanie amerykańskiej waluty. Nie masz do czynienia z wartością dolara, tylko żywą kobietą z krwi i kości. Docień ją, na litość boską! Z tego, co słyszałem, tłurny mężczyzn zawsze ubiegały się o jej łaski!

Obserwując rozmawiającą z jednym z gości Sylvie, Jefferson wcale się temu nie dziwił. Łączyła w sobie niepokromiony temperament z wielką delikatnością. Pół diabła, pół anioła. Swoim spojrzeniem potrafiła rozpałić serce każdego mężczyzny. Coś się tu jednak nie zgadza.

- Ale skoro tak, to dlaczego skorzystała z usług agencji kojarzenia par? - zapytał rzeczowo.

Blake jakby się zawahał.

- Właściwie to nie ona - odparł w końcu.

- Jak to? - zdumiał się Jefferson.

Blake namyślał się chwilę, nim odrzekł:

- To siostry Sylvie umówiły ją bez jej wiedzy. Jefferson zaniemówił. A zatem Sylvie, tak samo jak on, jest tutaj nie z własnej woli. Została, tak samo jak on, skłoniona do tego przez inne osoby. Mają więc jednak coś ze sobą wspólnego. Sylvie również uległa intrydze bliskich.

Ta myśl tak go rozweseliła, że Sylvie, która w tej akurat chwili spojrzała na Jeffersona, zobaczyła uśmiech na jego twarzy. Może mimo złych początków wieczór nie będzie stracony, pomys-

łała. Może Jefferson potrzebuje czasu, by się rozkręcić. Był przy swojej nieco sztywnej elegancji wcale pociągającym mężczyzną.

- Ściągnęłam tu dzisiaj całą miejscową śmietankę - mówiła tymczasem Maddy, rozglądając się po sali błyszczącymi z podniecenia oczami.

- Ci wszyscy ludzie to pani znajomi? - zainteresował się Jefferson. Trudno mu było uwierzyć, by jedna osoba mogła mieć aż tak szeroki krąg znajomych. Ale, z drugiej strony, po co miałyby zapraszać nieznajomych? Była nadal bardzo atrakcyjna, ale dawno miała za sobą wiek, kiedy na szkolne albo uniwersyteckie imprezy zwołuje się kogo popadnie.

Jednakże odpowiedź Maddy w pewnym sensie potwierdziła takie przypuszczenie.

- Są tu moi przyjaciele i znajomi, ludzie odwiedzający galerię, a reszta to po prostu turyści. - Ona mówi poważnie - z uśmiechem dodała Sylvie, widząc niedowierzające spojrzenie Jeffersona.

Poczuł na szyi jej oddech i ciarki przeszły mu po plecach. Opanował się jednak, słuchając jej dalszych wyjaśnień. Otóż okazało się, że większość gości to ludzie, których Maddy zna równie mało jak on. Jeffersonowi podobny pomysł nie mieścił się jednak w głowie. Nie mógł sobie wyobrazić siebie zapraszającego na przyjęcie nieznajome osoby. Po co człowiek przy zdrowych zmysłach miałby to robić? Może dzisiaj są takie zwyczaje. Zresztą niewiele wiedział o urządzeniu przyjęć. Tym zajmowała się Donna, a po jej śmierci zapraszanie gości straciło sens.

Maddy albo nie dostrzegła wątpliwości Jeffersona, albo udała, że niczego nie zauważa.

- A naj wspanialsze jest to, że udało mi się ściągnąć tylu wybitnych krytyków - oznajmiła triumfalnym tonem, wymieniając jednym tchem serię znanych nazwisk. Wynikało stąd, że w sali znajduje się dwóch krytyków teatralnych, w tym jeden z Nowego Jorku, kilku głośnych publicystów piszących do najpoczytniejszych gazet, a nawet pewien słynny weteran krytyki filmowej.

Jeffersona szczególnie zdziwiła obecność tego ostatniego, człowieka starej daty, który był mniej więcej w jego wieku.

- Wśród obecnych mogłabym wskazać paru krytyków, którzy w każdej sprawie mają zawsze diametralnie odmienne zdanie - ciągnęła Maddy takim tonem, jakby mówiła o nader pozytywnym zjawisku.

- I pani to się podoba? - zapytał, usiłując pojąć przyczynę jej zadowolenia.

Maddy była wyraźnie zdziwiona jego pytaniem.

- Oczywiście! - wykrzyknęła z entuzjazmem. Jefferson postanowił jednak drażnić niezrozumiały dla niego dylemat. Obracał się dotąd wśród ludzi, którzy uważali, że wszelkie spory należy rozwiązywać polubownie, a już na pewno nie należy ich zaogniać.

- Lubi pani kłótnie?

Maddy energicznie pokręciła głową.

- Nie chodzi o kłótnie, tylko wymianę zdań. O gorące dyskusje - wyjaśniła.

W jego rozumieniu były to synonimy kłótni albo sporów. Zaniechał jednak dalszych dociekań, ponieważ czuł, że nie znajdzie wokół siebie sojuszników. Znajdował się w obcym sobie, nieznanym świecie.

_ Masz do tego prawo - szepnęła mu do ucha Sylvie.

Znowu ten jej oddech na jego szyi! Jeffersona ponownie przeszedł dreszcz. Nie ma co udawać, pomyślał. Sylvie niewątpliwie robi na nim coraz silniejsze wrażenie.

- Mam prawo? Do czego? - zapytał, odwracając się ku niej. Nie był pewien, co chce mu powiedzieć. W ogóle czuł się coraz bardziej jak Alicja w Krainie Czarów albo po drugiej stronie lustra.

_ Mieć inne zdanie niż ona - wyjaśniła Sylvie. N adal nie bardzo rozumiał.

- Na jaki temat? - zapytał.

Sylvie rozłożyła ręce.

_ Każdy - odparła. - I nie tylko z Maddy. Taki jest przecież cel dzisiejszego wieczoru. Zebranie w jednym miejscu ludzi reprezentujących naj różniejsze poglądy i zawody. Aby wspólnie coś przeżywali i reagowali, każdy na swój sposób, na podobne bodźce.

Przechyliwszy w bok głowę, studiowała przez chwilę wyraz jego twarzy, a widząc, że nie udało jej się Jeffersona przekonać, postanowiła dotrzeć do niego w inny sposób.

_ Poczekaj, coś ci pokażę. - Wziąwszy Jeffersona pod ramię, poprowadziła go w miejsce, skąd mógł zobaczyć całą przeciwległą ścianę. Wyciągnąwszy rękę przed siebie, powiedziała: - Przyjrzyj się tamtym trzem obrazom.

Bliskość jej ciepłego ciała, to, że czuł każde jego zagłębienie i każdą krągłość, poważnie utrudniały skupienie się na wskazanych obiektach. . Wysiłkiem woli zmusił się do skoncentrowania uwagi.

- Tak, widzę. I co? - bąknął.

Sylvie przyglądała mu się bez słowa, oczekując jakiejś żywszej reakcji. Celowo powiesiła obraz Jacksona Pollocka pomiędzy dwoma przywiezionymi z własnej galerii spokojnymi, sielankowymi pejzażami.

- Co czujesz, kiedy na nie patrzysz? - zapytała.

Jefferson nie był znawcą sztuki. Pomijając dzieła najslynniejszych malarzy, nie musiał znać nazwiska artysty ani okresu czy stylu, w jakim malował, żeby wiedzieć, czy dana rzecz podoba mu się, czy nie.

- Co czuję? - powtórzył.

Sylvie nie brakowało cierpliwości. Niemniej czuła się jak pasterka, poganiająca oporną owieczkę na zielone pastwisko.

- Tak, co czujesz, widząc zestawienie tych trzech obrazów. Jak na ciebie działają?

Jefferson był pewien, że nie tego się po nim spodziewa, niemniej udzielił jej jedynej odpowiedzi, jaka przychodziła mu do głowy:

- Mam uczucie, jakby za dużo się działo na tak małej przestrzeni.

Popatrzyła na niego z miną, której znaczenia nie umiał odgadnąć. Domyślał się tylko, co chodzi jej po głowie. Że niepotrzebnie zgodziła się na dzisiejszą randkę i wykorzysta pierwszą okazję, by się od niego uwolnić.

Ku wielkiemu jego zdziwieniu Sylvie ni stąd, ni zowąd roześmiała się i położyła mu głowę na ramieniu.

- To nadzwyczajne! Jesteś szczery aż do bólu. - Potem podniosła głowę i spytała: - Ale czy naprawdę nic więcej nie czujesz? O tu - dodała, dotykając palcem jego piersi.

O tak, czuł, i to niemało, tyle że jego odczucia nie miały nic wspólnego z wiszącymi na ścianie obrazami. Ich jedynym źródłem była bliska obecność Sylvie. To, że stała obok niego, oddychała tym samym powietrzem i była tak zachwycającym zjawiskiem.

- Owszem - rzekł tak cicho, że musiała się nachylić, aby go usłyszeć. - Coś czuję.

Przez moment patrzyli sobie w oczy. Sylvie wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że czas zatrzymał się na jeden krótki moment. Było to dla niej całkiem nowe przeżycie, gdyż na ogół jej czas pędził przed siebie bez chwili spoczynku.

Działo się coś dziwnego. Sama nie bardzo wiedziała co, ale nie miała nic przeciwko temu, by trwało tak dalej.

Uśmiech Sylvie najpierw rozjaśniał jej oczy, po czym błyskawicznie ogarniał całą twarz.

- Ja chyba też - odparła.

Nastrój nagle przysł, ponieważ jakiś mężczyzna pojawił się za plecami Sylvie, bezceremonialnie objął ją w pasie i pocałował w szyję.

- Cześć, Sylvie. Byłem pewien, że cię tu spotkam - oświadczył. - Sylvie Marchand nie mogło tu dziś zabraknąć.

W sercu Jeffersona odezwał się nieznany mu dotąd pierwotny instynkt. Był wściekły na siebie i na sytuację, w jakiej się znajdował. Normalnie nikogo pochopnie nie osądzał, ale tym razem poczuł do nieznanego żywiołową niechęć. Miał ochotę odepchnąć go od Sylvie i, stanąwszy przed nią, zabronić mu do niej dostępu.

Zdał sobie sprawę, iż reaguje jak zwierzę broniące swego terytorium. Popatrzył na swoje ręce, by się upewnić, czy nie pokryły się sierścią. Ocknął się dopiero, słysząc głos Sylvie.

- Cześć, Bryce, poznaj Jeffersona Lamberta - powiedziała. - Jest znanym obrońcą w sprawach kryminalnych, i przyjechał do nas aż z Bostonu.

Jefferson miał dość przytomności umysłu, by nie okazać zdumienia, w jakie wprawiły go jej słowa. Znanym obrońcą w sprawach kryminalnych? Skąd ona to wzięła?

Kiedy otwierał usta, by z właściwą sobie prawdomównością sprostować tę informację, otrzymał silnego kuksańca w bok. Odwróciwszy głowę, zobaczył Blake'a, który znacząco patrzył mu w oczy. Wyraźnie chciał go uciszyć.

- Ja i Lambert studiowaliśmy razem w Nowym Orleanie - oświadczył Blake, podając Bruce'owi rękę na powitanie. - Jestem Blake Randall.

- Pan też broni przestępców? - zaciekawiał się Bryce, wymieniając uścisk dłoni.

- A co, potrzebuje pan obrońcy? - zażartował Blake.

Bryce roześmiał się, nie zdając sobie sprawy, że nowo poznany mężczyzna zręcznie uciął temat. Blake tymczasem dał Jeffersonowi znać oczami, aby nie psuł mu gry. Jefferson nie umiał kłamać, toteż świadomość, iż Sylvie uważa go za znanego obrońcę sądowego, okropnie mu doskwierała. A co gorsza, zaczął się zastanawiać, czy Sylvie nie podano innych jeszcze nieprawdziwych informacji na jego temat.

Spojrzał nowym okiem na dzisiejsze wydarzenia. Po powrocie do domu będzie musiał poważnie rozmówić się z córką. Dobre intencje dobrymi intencjami, ale wszystko ma granice. Emily chciała go zapewne przedstawić w jak najlepszym świetle, ale skutek był taki, że wyszedł na oszusta podającego się za kogoś innego, niż jest.

W następnej chwili Sylvie ujęła go pod ramię i poprowadziła w głąb sali.

_ Chwała Bogu, że twój przyjaciel zagadał Bryce' a. W przeciwnym razie nigdy byśmy się od niego nie uwolnili - powiedziała.

_ Sama też dałabyś sobie z nim radę - odparł z uśmiechem Jefferson. Nabierał przekonania, że delikatna na pozór Sylvie jest osobą o silnej woli, a już na pewno w potyczkach słownych trudno ją pokonać.

Sylvie uznała te słowa za komplement i skwitowała je śmiechem. Był to śmiech tak czarujący, że Jefferson znowu poczuł w głębi serca dziwne drżenie.

I pomyślał sobie, że planowana rozprawa z Emily chyba nie musi być aż tak sroga, jak to sobie wyobrażał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Lubisz tańczyć?

Jefferson spojrzał ze zdziwieniem na swoją towarzyszkę. Nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

Od trzech kwadransów poddawał się woli Sylvie, która z niezrozumiałym dla niego entuzjazmem oprowadzała go po galerii, pokazując kolejne aranżacje złożone z różnych dzieł sztuki. Przed każdą z nich stała rozdyktowana grupka ludzi, starających się rozszyfrować sens danej kompozycji.

Jefferson nie potrafił brać w tych dociekaniach udziału. Na jego oko obrazy pogrupowano tak a nie inaczej wyłącznie po to, by zaskoczyć widza i wprawić go w stan oszołomienia. Nie rozumiał tych, którzy głowili się nad wyluskaniem celu, jaki przyświecał autorom poszczególnych aranżacji.

Zachował jednak tę opinię dla siebie. Nie chciał wdawać się bez potrzeby w spór ze swą uroczą przewodniczką. Nic nie wskazywało na to, by istniał bodaj cień szansy na wspólną przyszłość. Dzisiejsze spotkanie, niewątpliwie ciekawe i pouczające, zapewne nie będzie miało dalszego ciągu i jakkolwiek nigdy go nie zapomni, to za parę miesięcy pozostanie jedynie miłym, egzotycznym wspomnieniem.

Zarazem musiał przyznać, iż od wielu lat nie przeżył podobnie interesującego wieczoru. Sylvie Marchand była bez wątpienia niezwykła, a przebywanie z nią dostarczało wielu wrażeń. I oto nagle, w chwili gdy Jefferson, znudzony wywodami małego pretensjonalnego człowieczka z

tupecikiem na głowie, bliski był zaśnięcia na stojąco, Sylvie zapytała go ni stąd, ni zowąd, czy lubi tańczyć. Nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

- Przepraszam, co mówiłaś? - zapytał.

- Pytałam, czy lubisz tańczyć? - powtórzyła, odwracając się plecami do irytującego krytyka z czasopisma "Art Today", który perorował od dziesięciu minut, nie dopuszczając nikogo do głosu.

- No wiesz, to taki specjalny rodzaj poruszania się po parkiecie w rytm muzyki - wyjaśniła z lekką kpina w głosie.

- Dziękuję za wyjaśnienie - odparł pogodnie. Kiedy indziej poczułby się dotknięty jej ironiczną uwagą, ale w spojrzeniu Sylvie było tyle nieodpartego uroku, a jej głos mówiący z melodyjnym, typowym dla południowców zaśpiewem tak mile brzmiał w jego uchu, że nie potrafił się na nią gniewać. - Wyobraź sobie, że wiem, na czym taniec polega, tylko nie miałem pewności, czy dobrze usłyszałem. - Rozejrzał się wokół. W trakcie swoich podróży po kraju widywał miasteczka znacznie słabiej zaludnione niż pomieszczenie, w którym się znajdowali. - W końcu nawet ja widzę, że nie jesteśmy w publicznej czytelnicy.

Sylvie zaproponowała Jeffersonowi taniec, ponieważ widziała, jaką ma nieszczęśliwą minę. Podczas zwiedzania galerii prawie się nie odzywał. Nie skomentował żadnego obrazu ani nie ustosunkował się do wygłaszanych opinii.

- Nie podoba ci się ten wernisaż? - zapytała.

- Sądziłam, że interesujesz się sztuką. - W jego charakterystyce napisano, że pasjonuje się, między innymi, sztuką współczesną i lubi prowadzić gorące, inspirujące dyskusje. A tymczasem Jefferson zachowywał się niczym pastuszek, który trafił przypadkiem na elegancki bal.

- Lubię sztukę - odparł wymijająco, nie chcąc powiedzieć, iż jego zdaniem duża część zgromadzonych w galerii przedmiotów. nie zasługuje na to miano. - Ale nie lubię takich dyskusji.

Ona tymczasem znowu zaczęła go dokądś prowadzić, nie wyjaśniając, dokąd zmierza. Dobrze przynajmniej, że nie idzie za nimi ten mały nadęty mądrała z tupecikiem na głowie.

Sylvie podążała w jasno określonym kierunku. Tym razem prowadziła Jeffersona w kąt galerii, gdzie kilkanaście par tańczyło, albo raczej udawało, że tańczy. ·Bowiern widoczne na parkiecie przyklejone do siebie pary jedynie chybotwały się w miejscu, od czasu do czasu wykonując dla

niepoznaki parę tanecznych kroków. Jefferson miał zupełnie inne wyobrażenie o istocie tańca, niemniej odnotował z ulgą, że muzyka jest teraz nieco cichsza i bardziej melodyjna.

- Nie będziemy się spierać ani wymieniać opinii - oświadczyła nagle Sylvie, odwracając się i stając twarzą do niego. - Zatańczymy?

Uznała chyba, że na jej postawione wcześniej pytanie odpowiedział twierdząco. Może Emily i Blake napisali w formularzu, iż lubi tańczyć. W każdym razie na parkiecie czuł się o wiele lepiej, niż stercząc przez obrazami, które nic mu nie mówiły. Lewą ręką objął Sylvie w pasie, a drugą ujął jej dłoń i przycisnął ją do piersi. Poruszając się w rytm muzyki, czuł, jak wraz z nim kołyszą się jej biodra. Było to porażające doznanie. W świadomości Jeffersona zapaliły się czerwone, ostrzegawcze światełka.

Sylvie podniosła ku niemu twarz i uśmiechnęła się.

- Czuję, jak bije ci serce - szepnęła.

- Cieszę się, bo to znaczy, że nadal żyję - odparł, wyprowadzając ją z tłumu tańczących w miejsce, gdzie było nieco luźniej. - Zwłoki na przyjęciu bardzo psują zabawę.

Sylvie roześmiała się litościwie z nie najlepszego dowcipu.

- Wciąż mnie zaskakujesz - powiedziała. _ Nie pasujesz do obrazu, jaki sobie wytworzyłam na podstawie formularza.

Wcale ci się nie dziwię, pomyślał Jefferson. Emily miała bujną wyobraźnię. Powinien był wziąć to pod uwagę, godząc się na jej plan.

- Bo pisała go osoba szesnastoletnia.

- Masz na myśli swoje niedorośle "ja"? - spytała Sylvie. Jeśli tak, to byłby wyjątkiem wśród mężczyzn, którzy z reguły nie przyznają się do tkwiącego w nich 9:16iecka.

- Nie, moja szesnastoletnia córka - odrzekł. - Po powrocie do Bostonu nie omieszkać jej natrzeć uszu.

To coś nowego. W formularzu nie wspomniano o dziecku.

- Ach, więc masz córkę.

Z twarzy Sylvie nie umiał wyczytać, czy jest niezadowolona, czy też chciała się po prostu upewnić, że dobrze go zrozumiała.

- Tak. Ma na imię Emily.

Sylvie tymczasem zadała sobie pytanie, jakich jeszcze informacji zapomniano uwzględnić w formularzu. Jefferson Lambert robił wrażenie człowieka uczciwego, ale pozory czasami mylą. O

tym, że jeden z jej byłych kochanków ma żonę i dzieci, dowiedziała się dopiero, gdy spotkała go spacerującego z rodziną w parku.

- To może masz również żonę?

Jak zawsze, gdy wracał myślą do Donny, po twarzy Jeffersona przebiegł cień smutku.

- Miałem - odparł.

- Ach. - Sylvie dostrzegła zmianę na jego twarzy. Czy nadal ją kocha? Nie może się pogodzić z jej odejściem? - Jesteś rozwiedziony? - Pokręcił głową. - Więc?

- Świetnie tańczysz - powiedział, jakby nie usłyszał jej pytania.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zdarzyło mu się tańczyć. Kiedyś, bardzo dawno temu, taniec przychodził mu z łatwością i sprawiał wiele przyjemności. Zawdzięczał to matce, która podczas wakacji przed wstąpieniem syna do gimnazjum nauczyła go podstawowych kroków. Teraz, widząc, z jaką zręcznością Sylvie porusza się na parkiecie, przypomniał sobie z czułością o swych niefortunnych przygodach z Donna w podobnych sytuacjach. Donna umiała zrobić wiele rzeczy, lecz natura nie obdarzyła jej talentem do tańca. Na parkiecie poruszała się sztywno i nieporadnie. Nie potrafiła się rozluźnić, poddać rytmowi muzyki. Kobieta, którą teraz trzymał w ramionach, była pod tym względem przeciwieństwem zmarłej żony.

- A wracając do twojego pytania, to nie, nie jestem rozwiedziony - podjął po chwili, manewrując zręcznie między tłumem tańczących par.

Sylvie spojrzała mu w oczy i nagle zrozumiała.

- Jesteś wdowcem, tak?

Dziwne, jak to słowo nadal potrafiło go zranić.

- Tak.

- Od niedawna? - spytała, ogarnięta falą współczucia.

Uśmiechnął się lekko, autoironicznie.

- Tak się czuję, chociaż w rzeczywistości od dawna. Upłynęło osiem lat, odkąd Donna zginęła w wypadku samochodowym, jadąc do pracy. Zderzyło się osiem aut. Pisały o tym wszystkie lokalne gazety. - Nadal miał przed oczami obraz zmiążdżonego bmw. Ale jej zmasakrowanego ciała wolał nie oglądać. - Też była prawnikiem.

- Od spraw kryminalnych?

- Nie, zajmowała się prawem rodzinnym.

Tańczyli przez chwilę w milczeniu. Zastanawiając się, czy powinien coś dodać, Jefferson

postanowił wyznać Sylvie prawdę. Nie potrafił kłamać, ciążyła mu świadomość, iż coś uktywa, i zdawał sobie sprawę, że niewyjaśnione kłamstewka urastają niekiedy do nieproporcjonalnie wielkich rozmiarów. Jeśli nawet on i Sylvie więcej się nie spotkają, rozstając się z nią nie chce mieć poczucia, że dopuścił się wobec niej oszustwa.

- Ja też nie zajmuję się sprawami kryminalnymi.

- Jak to? - zdziwiła się. - Ale w formularzu ... _urwała, by po sekundzie dodać ze śmiechem: - To pomysł Emily?

Ona naprawdę słucha, pomyślał. Zapamiętała nawet, jak jego córka ma na imię.

- Na pewno.

Sylvie potrzebowała czasu, by z jego wyznania wyciągnąć wnioski. Skoro nie jest obrońcą, to kim jest?

- Możesz mi powiedzieć, ile jest w końcu prawdy w twoim formularzu?

- No cóż, rzeczywiście jestem prawnikiem.

Tyle że moja specjalność to prawo o przedsiębiorstwach. A co do reszty, to szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Emily nie pokazała mi formularza. Nie wiedziałem nawet, że coś takiego wypełniła i wysłała. Gdybym wiedział ...

- Nie pozwoliłbyś go wysłać - dokończyła.

Nie trzeba było być Einsteinem, by się tego domyślić.

- Tak. - Nie mógł jednak tak sprawy zostawić. Ostatecznie zgodził się na to spotkanie z własnej i nieprzymuszonej woli. - W każdym razie nie pozwoliłbym zrobić z siebie głośnego adwokata.

Ku jego zdziwieniu Sylvie nie robiła wrażenia zawiedzionej. Przeciwnie, uśmiechała się. Dokładnie mówiąc, śmiały się jej oczy. Patrzył w nie jak urzeczony, nie zważając na wielokolorowe, migające światła zalewające salę smugami czerwieni, złota, zieleni i fioletu. Urzekło go spojrzenie Sylvie, wyraz jej twarzy.

Nadal trzymał ją w ramionach. To też było urzekające. Skończył się wolniejszy kawałek i natychmiast rozpoczął się następny, dziki i szalony. Jefferson znieruchomiał na moment, po czym zrobił krok wstecz i opuścił ręce.

Pewnie nie wie, jak to się tańczy, pomyślała. Ale nie szkodzi. Jego wcześniejszy występ był wystarczająco dobry.

- Tańczmy dalej - powiedziała, kładąc z powrotem jego dłoń na swym biodrze i przesuwając się

na nieco luźniejszy kawałek parkietu. Znowu zaczęła poruszać biodrami, jakby nadal tańczyli w rytm poprzedniej melodii. Z wyrazu jej twarzy domyślił się, iż zamierza kontynuować wcześniejszy taniec, poddając się własnej, wewnętrznej muzyce.

Nie od razu zareagował. Stał chwilę ze spuszczoną głową, wsłuchując się w gwałtowną, rytmiczną muzykę, wchłaniając ją w siebie. Potem z lekkim skinieniem głowy ujął rękę Sylvie i zaczął tańczyć to, co grano.

Niespodziewająca się tego Sylvie zachwiała się w pierwszej chwili, lecz szybko chwyciła właściwy rytm. Jefferson znowu ją zaskoczył.

- To nie jest ten sam taniec - zauważyła.

- Masz rację - zgodził się. - To nie ten sam taniec. - Rzeczywiście nie znał ani tytułu piosenki; ani nie wiedział, do jakiej kategorii nowomodnej muzyki należałoby ją zaliczyć. Ale miał dobry słuch i wycucie rytmu, a krótka obserwacja innych tańczących par dokonała reszty.

Naśladował ich tak udatnie, że sąsiednie pary zaczęły odsuwać się na boki i obserwować z uznaniem jego poczynania na parkiecie. Sylvie też wpadła w rodzaj transu. Wyczuwając jego intencje, śmiała się wesoło, improwizując nowe kroki, to znów poddawała się jego prowadzeniu. Kiedy melodia dobiegła końca, zdała sobie sprawę, że brakuje jej tchu, choć nie umiałaby powiedzieć, czy sprawił to sam taniec, czy też towarzystwo prawie nieznanego mężczyzny. W każdym razie krew od dawna nie pulsowała w jej żyłach tak szybko, jak w tej chwili.

Otaczający parkiet goście głośno bili im brawo.

- To było fantastyczne! - zawołała z całej duszy. - Jesteś mężczyzną pełnym niespodzianek. Co chwilę czymś mnie zaskakujesz. - Urwała dla nabrania tchu, po czym niewiele myśląc, wspięła się na palce i szybko go pocałowała.

Tu jednak czekała ją kolejna niespodzianka.

Zamierzała tylko musnąć ustami jego wargi, lecz Jefferson nie pozostał jej dłużny. Odpowiedział pocałunkiem raz, potem jeszcze raz, i jeszcze raz. A każdy kolejny pocałunek stawał się coraz dłuższy i gorętszy. Sylvie, w pierwszej chwili zdziwiona, poddała się ich magii.

Niewiele myśląc, nie zastanawiając się, co może z tego wynikać, kierując się jedynie nagłym odruchem, zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Seria pocałunków zmieniła się w jeden długi pocałunek, który zdawał się nie mieć początku ani końca. A im dłużej trwał, tym bardziej pragnęła, aby nigdy się nie kończył.

Wreszcie opuściła ręce i cofnęła się o krok. Szumiało jej w głowie, serce biło jak szalone, nie

pojmwowała, co się z nią dzieje. Od lat nie przeżywała niczego podobnego. Chyba od czasu poczęcia Daisy Rose, mimo że Jefferson był absolutnym przeciwieństwem Shane'a. Niczym nie usiłował jej zaimponować, dowieść swojej męskiej przewagi. Tylko namiętnie ją całował.

Tylko?

Czy to mało? A może bardzo dużo?

_ Nie przestajesz mnie zadziwiać - usłyszała własne słowa, wypowiedziane lekko zdyszonym głosem. Zdała sobie jednocześnie sprawę, że przesuwa końcem języka po wargach, przywołując smak jego pocałunku.

Natomiast Jefferson stał jak skamieniały, absolutnie zaskoczony tym, co się stało. Każdy nerw jego ciała był do ostateczności napięty. Jakby miał lada moment pęknąć. Przemknęło mu przez głowę, że czuje się jak przepisowo zasłane żołnierskie łóżko, na którym koc musi być tak naciągnięty, by rzucona nań moneta mogła podskoczyć.

Zarazem od lat nie czuł się tak pełen życia.

Nie spodziewał się jej pocałunku. A już na pewno nie spodziewał się swojej reakcji. Od czasu poznania Donny nie całował się z żadną kobietą. Donna była dla niego wszystkim, poza nią nie widział świata. A kiedy los odebrał mu ukochaną żonę, nie przyszło mu nawet do głowy, by szukać pociechy w ramionach innej. Całkowicie obce mu były pokusy, o których jego koledzy lubili się rozwodzić w poniedziałkowe poranki przed rozpoczęciem kolejnego tygodnia pracy. Jeśli myślał o seksie, to wyłącznie w związku z Emily, w chwilach, gdy z pewnym niepokojem obserwował jej dorastanie. W każdym razie tak było do dzisiaj.

Oprzytomniawszy trochę, Sylvie uśmiechnęła się i wzięła go za rękę, wskazując wzrokiem stoły, które pomagała wczoraj rozstawiać. Znajdowały się one w głębi sali, z dala od głównej, wystawowej części galerii. Obok kolorowych wymyślnych talerzy i nakryć na stołach połyskiwały wysmukłe kieliszki. U Maddy wszystko musiało być niezwykle i oryginalne.

- Chodźmy - rzekła, prowadząc Jeffersona w tamtym kierunku. - Chyba słyszałam, jak Maddy zapraszała gości na kolację.

Skoro mówi, to pewnie tak było, pomyślał Jefferson. On osobiście słyszał jedynie głośny łomot własnego serca. Dla uspokojenia nerwów wstrzymał na chwilę oddech, aby w ten sposób doprowadzić swój puls do bardziej normalnego stanu. A tymczasem pozwolił się prowadzić w nadziei, iż nikt nie zauważy, jak bardzo jest wstrząśnięty pocałunkiem, który prawie zwałił go z nóg.

Zbliżywszy się do części jadalnej, zauważył Blake'a, patrzącego ze znaczącym uśmiechem w jego kierunku, jakby chciał powiedzieć: "A nie mówiłem, że tak będzie?". Blake nie mógłby być bardziej z siebie zadowolony, gdyby w ciągu jednego dnia wymyślił koło i podarował ludzkości ogień.

To, że zatańczył z Sylvie i ją pocałował - ściśle biorąc, inicjatorem pocałunku był nie on, tylko ona - nie czyniło z nich jeszcze dobranej pary. Zdaniem Jeffersona, zupełnie do siebie nie pasowali, a incydent na parkiecie był jedynie skutkiem naturalnego przyciągania się przeciwnych płci. Zmysłowego, fizycznego zauroczenia.

_ Zająłem wam miejsca przy naszym stole - zawołał Blake, machając ręką.

Patrząc wciąż Jeffersonowi w oczy, wskazał dwa wolne krzesła po swojej prawej stronie. Jednakże Jefferson, pragnąc sobie oszczędzić jego uwag, celowo posadził obok niego Sylvie, sam zaś zajął dalsze miejsce.

Blake odpowiedział na to spojrzeniem dającym przyjacielowi do zrozumienia, że co się odwlecze, to nie uciecze.

- Okazuje się, że w sprawie tańca formularz mówił prawdę, choć też nie do końca - odezwała się Sylvie, siadając przy stole. Widząc zaś nieco zaskoczone spojrzenie Jeffersona, dodała: - Napisałeś ... - Urwała, przypomniawszy sobie, iż nie on wypełniał formularz, i dodała: - To znaczy, w formularzu napisano tylko, że umiesz tańczyć.

Zdziwiła go jej dokładność. Zdziwiła i zmieszła.

- Czy nauczyłaś się całego formularza na pamięć? - zapytał. Czuł się coraz bardziej skrępowany, nie mając pojęcia, co jeszcze Emily mogła o nim napisać. Tego tylko brakowało, by z powodu pomysłowości swojej córki wyszedł na idiotę albo oszusta!

- Zapamiętałam tylko najciekawsze fragmenty - odparła z nieprawdopodobnie seksownym, figlarnym uśmiechem.

W tym momencie po jej lewej stronie pojawił się kelner z półmiskiem dymiącej potrawy z ryżu i owoców morza. Kiedy Sylvia nałożyła na swój talerz porcję, natychmiast pochylił się nad nią kolejny młodzian, niosący półmisek pełen smakowicie pachnących jarzyn. Tym razem odmownie pokręciła głową.

- Nie cierpię jarzyn - zwierzyła się Jeffersonowi. Odczekawszy, aż para kelnerów obsłuży jej sąsiada, wróciła do poprzedniego wątku. - Niemniej sędzę, że teraz powinniśmy zacząć wszystko od początku.

- To znaczy, co? - zapytał, nie bardzo rozumiejąc.

- Wszystko - odparła, biorąc do rąk widelec i nóż i zabierając się do jedzenia. - Powiedziałeś, że informacje z formularza są wymyślone, więc spodziewam się, że teraz sam opowiesz mi, jak jest naprawdę.

Jefferson nie bardzo umiał o sobie opowiadać. Uniósł lekko ramiona, nie wiedząc; od czego zacząć. Od Blake'a nie mógł oczekiwać pomocy. Jego przyjaciel był zanadto pochłonięty rozmową z Maddy. Z pochylonymi głowami szeptali do siebie, od czasu do czasu wybuchając wesołym śmiechem.

- Nie mam o sobie nic ciekawego do powiedzenia - odparł Jefferson po namyśle.

Sylvie miała co do tego wątpliwości. Przed tańcem i tym, co się potem wydarzyło, byłaby pewnie skłonna uwierzyć, że ma do czynienia z mężczyzną dosyć banalnym, raczej pozbawionym wyobraźni. Teraz jednak zmieniła zdanie. Mężczyzna zdolny do takich wolt na pewno nie jest zwyczajnym nudziarzem.

- Jakoś nie mogę w to uwierzyć - odparła z tak ujmującym uśmiechem, że Jeffersonowi zrobiło się ciepło na sercu. - No, rozruszaj się i mów. Jeśli chodzi o twój wzrost i wagę, córka podała prawdę. I zakładam, że wie, kiedy się urodziłeś.

W pierwszej chwili chciał zapytać, jaką podała datę, ale zawahał się. Emily mogła go odmłodzić, zwłaszcza gdyby wiedziała, ile lat ma jego potencjalna partnerka. Tym bardziej powinien się upewnić, pamiętając o przestrzeganiu zasady mówienia prawdy i tylko prawdy. Nawet w tak delikatnej sprawie jak jego zaawansowany wiek.

- No nie wiem - rzekł ostrożnie.

- A to dlaczego?

- Bo nie wiem, jaką podała datę.

- Napisała, że urodziłeś się w tysiąc dziewięćset...

W tym momencie w galerii pogasły światła i w sali rozległ się ogólny jęk, zagłuszając dwie ostatnie cyfry.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po chwili w egipskich ciemnościach, jakie ogarnęły galerię, zapadła cisza, przerywana jedynie nerwowym chichotem gości, którzy zakładając, że zgaszenie światła należy do programu wieczoru, czekali, co będzie dalej. Sylvie niespokojnie poruszyła się na krześle.

- Hej, Maddy, myślałam, że chodziło o to, żeby ludzie z sobą dyskutowali, a nie szukali się w ciemnościach - wyraziła na głos swoje niezadowolenie. - Nie widzę końca własnego nosa.

- Ani ja - poparł ją czyjś głos.

W chwilę później Sylvie dostrzegła po swojej prawej stronie wąski, ale bardzo wyraźny promień światła, a gdy się odwróciła, zobaczyła, że Jefferson trzyma w ręku przytroczoną do kluczy, maleńką latareczkę. Biorąc pod uwagę jej nikłe rozmiary, dawała sporo światła.

Od razu poczuła się lepiej. Jakby u jej boku pojawił się opiekuńczy rycerz na białym koniu. - Widzę, że w każdej sytuacji można na ciebie liczyć - szepnęła, pochylając się w jego stronę.

Nie sądził, że ton uznania w jej głosie tak miło połechtą jego dumę.

- Emily dała mi ją w prezencie na Dzień Ojca

dwa lata temu. Na wypadek, gdybym wracając późno do domu, zastał zgaszoną lampę nad wejściowymi drzwiami - wyjaśnił.

- Przypomnij mi, żebym jej wysłała kartkę z podziękowaniem. - W półmroku Jefferson wygląda jeszcze bardziej seksownie niż przy zapalonych światłach, przemknęło jej przez głowę. A może szampan tak na nią działa? Wprawdzie normalnie dwa kieliszki nie zmieniały jej widzenia świata, ale tym razem mogło być inaczej. Jefferson w zasadzie nie był w jej typie, a tymczasem ... Tu Sylvie uznała, że najwyższy czas wrócić do bardziej prozaicznych aspektów rzeczywistości. - Proszę cię, Maddy, każ wreszcie włączyć światło - oznajmiła, zwracając się w kierunku, gdzie powinna się znajdować jej przyjaciółka.

Ta jednak zdążyła już poderwać się na nogi.

- Nie omieszka - odparła zirytowanym tonem, z którego Sylvie wywnioskowała, iż zaciemnienie nie było zaplanowane.

W jadalni zaczęły tu i ówdzie błyskać migotliwe światełka. Goście przyświecali sobie zapalniczkami albo zapalkami. A jednocześnie narastało napięcie.

Jeszcze chwila i wybuchnie panika, przestraszyła się Sylvie. Zwykle nie miała skłonności do histerycznych reakcji, niemniej i ona czuła podszyty lękiem niepokój. Widząc, iż Jefferson wstaje, pomyślała, że zamierza opuścić galerię, zanim goście wpadną w panikę i być może rzucają się do wyjścia.

I nie byłaby zdziwiona, gdyby awarię światła uznał za dobry pretekst do opuszczenia przyjęcia, na którym od początku czuł się nieswojo. Jakież było jej zdziwienie, kiedy jej towarzysz podniósł latarkę powyżej głowy i oświadczył:

- Szanowni państwo! - zaczął, a zorientowawszy się, że nie wszyscy go słuchają, donośnym głosem dodał: - Proszę państwa o uwagę! Jak wszyscy mogli się zorientować, w galerii doszło do awarii.

- Rewelacyjne odkrycie! - odezwał się w mroku czyjś ironiczny głos. Z różnych stron dobiegały kąśliwe uwagi. Jednakże Jefferson nie dał się zbić z tropu i mówił dalej opanowanym tonem: - Ochrona poszła już sprawdzić, co się stało. Miejmy nadzieję, że to nic poważnego. Na ogół wystarczy zmienić po prostu bezpieczniki. Toteż proszę o cierpliwość i zachowanie spokoju.

- . Mamy zaczekać z paniką do odkrycia przyczyny awarii? - zapytał niewidoczny dowcipniś.

Żarcik przyjęto chichotami, lecz Jefferson i tym razem nie stracił głowy.

- To będzie· zależało od jej natury - odparł. Dowcipnisiowi naj widoczniej zabrakło konceptu, bo zamilkł, natomiast osoby znajdujące w najbliższym sąsiedztwie jakby odetchnęły. Zaś Maddy O'Neill obrzuciła Jeffersona pełnym wdzięczności spojrzeniem.

Natomiast wyraz malujący się na twarzy Sylvie wydał się naszemu bohaterowi o wiele trudniejszy do rozszyfrowania.

Okazuje się, myślała Sylvie, przyglądając się Jeffersonowi z rosnącym zainteresowaniem, że nie ma nic bardziej mylnego jak pierwsze wrażenie. Jefferson zaimponował jej przytomnością umysłu i nie zamierzała tego ukrywać. Zamiast skorzystać z okazji i uciec z niemiłego mu przyjęcia, jako jedyny w sali zmierzył się z nieoczekiwaną sytuacją· Z własnej woli, bo nikt tego od niego nie wymagał, spróbował ją opanować. Nie wiedząc, czy ochrona rzeczywiście szuka przyczyny awarii, powiedział to wyłącznie dla uspokojenia zdenerwowanych ludzi. Ma głowę na karku i szybki refleks, pomyślała z uznaniem.

Nie tak szybko, Sylvie, nie spiesz się z kreowaniem go na bohatera. Na głos zaś powiedziała: - Widzę, że należysz do ludzi, którzy w trudnych sytuacjach nie tracą głowy.

A siedzący po jej drugiej stronie Blake dodał: - Jefferson to prawdziwy ścicachapęk. Nigdy nie wiadomo, czym człowieka zaskoczy.

Jefferson lekceważąco wzruszył ramionami. - Chciałem tylko nie dopuścić do paniki.

Przestraszeni ludzie tracą niekiedy zdolność panowania nad swoim zachowaniem.

- Nie umiem powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna - rzekła Maddy, ściskając mu rękę przez stół. - Ale czy mogę cię prosić o jeszcze jedną przysługę?

W pierwszym odruchu dżentelmenerii miał już powiedzieć "oczywiście" ,ale ponieważ życie nauczyło go ostrożności, więc na wszelki wypadek zapytał:

- A na czym miałyby ona polegać?

- Czy możesz mi poświęcić chwilę czasu, bo chciałabym dostać się na zaplecze i poprosić ochroniarzy, żeby zaczęli robić to, co zapowiedziałeś?

- Z przyjemnością - .qdparł, ponownie wstając z krzesła.

Przedzierając się w ciemnościach ku drzwiom, zdał sobie sprawę, iż Sylvie nie odstępował go na krok. Pozostawało jednak pytanie, czy robi to, ponieważ dobrze się czuje w jego towarzystwie, czy po prostu boi się zostać sama. Tak czy tak, nie miał nic przeciwko jej obecności, pomyślał Jefferson, uśmiechając się do siebie.

Jak się okazało, była to awaria elektryczności na ogromną skalę. Objęła nie tylko całą Dzielnicę Francuską, ale i wiele sąsiednich ulic.

Media bardzo szybko zwietrzyły sensację i już po kwadransie w telewizji zaczęły się pojawiać pierwsze złowróżbne wieści, prorokujące wielką katastrofę mogącą zagrozić karnawałowym uciechom. Rywalizujące stacje podawały coraz to nowe, niekiedy sprzeczne ze sobą informacje. Bo tak naprawdę nikt nie potrafił określić prawdziwego obszaru zaciemnienia, a tym bardziej jego przyczyny.

Luc Carter miał powód do zadowolenia. Sytuacja rozwija się po jego myśli. Zaplanowana awaria prądu spełniła oczekiwania. Cukier, który wsypał do pompy paliwowej generatora prądu, zakłóci uroczystości karnawałowe i tym samym poważnie zaszkodzi interesom Hotelu Marchand. Bracia Richard i Daniel Corbinowie, którzy zlecili mu tę robotę, będą usatysfakcjonowani.

Niemniej Luc wziął na siebie spore ryzyko.

Kiedy Charlotte posłała go po latarki, ruszył najpierw w kierunku pomieszczenia, w którym mieścił się generator. Nie powinien był tego robić. Hotelowy elektryk już tam był, próbując ustalić przyczynę awarii, wobec czego Luc szybko się oddalił, narzekając na trudności ze znalezieniem odpowiedniej ilości ręcznych latarek. Wracając na miejsce zbrodni, postąpił jak typowy przestępca amator.

Bracia Corbinowie uważali go za swojego człowieka. Obiecali, że w nagrodę za doprowadzenie hotelu do ruiny i zmuszenie Anne Marchand do wystawienia go na sprzedaż uczynią go swoim współnikiem. Nie wiedzieli jednak wszystkiego, a mianowicie tego, iż Luc Carter zamierza załatwić przy okazji swoje osobiste porachunki z rodziną Marchandów . Miał więc powody do zadowolenia, ale jednocześnie cała akcja budziła w nim coraz większe wątpliwości, które zresztą

miał nie od dzisiaj. Od dawna pielęgnowany zamiar doprowadzenia hotelu do bankructwa od pewnego czasu słabł, w miarę jak poznawał bliżej siostry Marchand, nie mające pojęcia o łączącym je z Lukiem bliskim pokrewieństwie, a także ich sympatyczną, nobliwą matkę, która była starszą siostrą jego własnego ojca.

Zastanawiał się czasami, jak zachowałyby się Anne Marchand, gdyby się dowiedziała, że Luc jest synem Pierre'a. Czy okazałaby mu serce, czy też odwrotnie - odepchnęłaby go od siebie? Wolał tego nie sprawdzać. Nie mógł narażać na szwank wypracowanego wspólnie z braćmi Corbinarni planu działania.

. Luc od dzieciństwa nosił w sercu wyidealizowany obraz ojca. Ojca, którego prawie nie znał. Pierre Robichaux porzucił syna i jego matkę, gdy Luc miał pięć lat. Zdążył jednak utrwalić w pamięci chłopca wspomnienie człowieka o zniewalającym uroku, który potrafił rozpalać wyobraźnię znajomych fascynującymi opowieściami o swej pełnej przygód młodości w Nowym Orleanie. Luc Carter dopiero po latach dowiedział się, iż jego ojciec był w istocie człowiekiem słabym, nałogowym hazardzistą i alkoholikiem. A do tego kobieciarzem. Mimo tych przykrych odkryć Luc nadal pielęgnował w sercu pełne uwielbienia wspomnienie człowieka, który dał mu życie.

Kiedy Pierre wrócił w końcu do żony i syna jako wrak człowieka, zrozpaczony Luc zaczął hołubić w sercu chęć wywarcia zemsty na sprawcach ojcowskiego nieszczęścia. Odpowiedni obiekt znalazł w osobie własnej babki, niecnej Celeste Robichaux, która według opowiadań ojca, bezlitośnie wyrzekła się swego jedyne go syna.

Pierre na łożu śmierci wymógł na synu przyrzeczenie, iż zrobi wszystko, aby odzyskać należną mu część fortuny. Prosił również syna o przekazanie Anne wyrazów swego serdecznego, braterskiego przywiązania. Syn jednak poprzysiął w duchu zemstę nie tylko babce, ale całej jej rodzinie. Matka Luca czuła intuicyjnie, co się z synem dzieje, i usiłowała przywołać go do rozsądku. Próbowwała mu wytłumaczyć, że ojciec przez całe życie kłamał i oszukiwał, nie kalając się nigdy uczciwą pracą.

Jednakże Luc nie chciał słuchać niczego, co mogłoby zaćmić wyidealizowany obraz ukochanego ojca. Głęboko nieszczęśliwy, postanowił uciec jak najdalej od rodzinnego kraju. Błąkając się po świecie, trafił do Tajlandii, gdzie pracował przez pewien czas w hotelach należących do braci Corbinów. Dan i Richard, dwaj wytrawni kanciarze, posiadali hotele w różnych częściach świata. Dowiedziawszy się, że Luc chętnie wróciłby do Nowego Orleanu, przenieśli go do swego hotelu

w pobliskim mieście Lafayette.

Bracia chcieli tanim kosztem wejść w posiadanie pierwszorzędного hotelu w samym Nowym Orleanie. Wywąchali, że Hotel Marchand jest w trudnej sytuacji finansowej, i postanowili go przejąć. Po to, by jak najbardziej zbić cenę, należało popsuć mu opinię. Ułożyli w tym celu plan działań podważających wiarygodność hotelu, by odstraszyć klientelę i w efekcie uniemożliwić Anne spłacanie hipotecznego długu, o którego istnieniu dowiedzieli się przez swoich szpiegów. A gdy zostałaby zmuszona do sprzedania hotelu, bracia kupiliby go za bezcen.

W ramach tego planu Luc zdobył w Hotelu Marchand posadę animatorem wolnego czasu. Był na tyle sprytny, że wkrótce stał się człowiekiem niezastąpionym. Tak zaczęła się jego gra w kotka i myszkę. Dopuszczał się najrozmaitszych aktów sabotażu, takich jak wkładanie odłamków szkła w poskładane ręczniki czy usuwanie rezerwacji z hotelowego komputera. Szkło w ręcznikach zostało wprawdzie odkryte, ale znikające rezerwacje zaczęły podważać zaufanie gości. A teraz dalsze szkody wynikną z powodu awarii prądu.

Luc powinien odczuwać satysfakcję. Cóż, kiedy przed jego oczami uparcie pojawiała się życzliwie uśmiechnięta twarz Anne albo wesoła buzia małej Daisy Rose.

Tylko myśl o złej babce na nowo rozniecała w sercu Luca dawną żądzę zemsty. Celeste Robichaux rzeczywiście przypominała potwora, o którego okrutnym postępowaniu opowiadał mu ojciec. W hotelu bywała bardzo rzadko, a gdy się tam zjawiała, kroczyła wyniośle niczym carowa Katarzyna, traktując wszystkich jak niewolników. Luca w ogóle nie zauważała, traktowała go jak powietrze. Nic dziwnego, myślał Luc, że ojciec uciekł przed nią z Nowego Orleanu.

Z dziedzińca dobiegły go dźwięki muzyki i wesołe nawoływania. Luc poprawił niesiony na lewym ramieniu stos latarek i skierował się w tamtą stronę. Chyba nie docenił magicznej atmosfery Nowego Orleanu. Egipskie ciemności najwyraźniej nie przeszkadzały gościom w zabawie.

Po wyjściu z galerii na ulicę Sylvie momentalnie zdała sobie sprawę, że zdarzyło się coś znacznie poważniejszego niż lokalna awaria prądu. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie paliła się ani jedna latarnia i wszystkie okna były ciemne. Poczula przerażenie na myśl o wielkiej, niewiadomej katastrofie.

Kiedy uczepliła się kurczowo jego ręki, Jefferson wyczuł jej strach. Sylvie była z wizytą w Nowym Jorku w dniu ataku na wieżę WTC. Znajdowała się wprawdzie na drugim końcu miasta,

lecz straszne wspomnienie tamtego dnia na długo wryło się w jej pamięć. Jeśli nawet upływ czasu nieco je łagodził, to jednak nie na tyle, by przy pierwszej okazji nie ożyło z całą siłą.

- Czy nie sądzisz, że to może być ... ? - wyszeptała przez ściśnięte gardło.

Nie musiała kończyć zdania.

- Raczej nie - odparł. Jego zdaniem nic nie wskazywało na atak terrorystyczny, niemniej trudno było wykluczyć najgorsze. - Na wszelki wypadek zadzwoń do domu.

Sylvie nie przywykła na nikim polegać. Normalnie to ona stawiała trudnościom czoło i dodawała innym otuchy. To, iż wszechogarniające ciemności pozbawiły ją zwykłej pewności siebie, odebrała jako osobiste upokorzenie.

Szybko wyciągnęła komórkę i wybrała numer.

W napięciu liczyła kolejne sygnały: pierwszy, drugi, trzeci ...

- Mamo, to ty? - zapytała.

- Dlaczego mówisz takim zdyszonym głosem, moje złotko? Czyżbyś uciekała przed swoim kochaniem?

To nie mama. Anne nie miała tak ciętego języka. - Powiedz, babciu, czy u was wszystko w porządku?

- W jak najlepszym, oczywiście pomijając fakt, że twoja matka zanudza mnie na śmierć swoją marną grą w szachy. Poza tym nie dzieje się nic godnego uwagi. Dlaczego pytasz?

- Sylvie, czy coś się stało? - Tym razem była to jej matka, która naj widoczniej odebrała babci słuchawkę.

- Nic takiego, mamu - odparła. Od czasu zawału Sylvie starała się chronić matkę przed gwałtownymi emocjami. - Po prostu w galerii Maddy, gdzie odbywa się przyjęcie, przed chwilą wysiadł prąd, więc chciałam się upewnić, czy wy nie siedzicie również w ciemnościach.

- Jakiś czas temu światła rzeczywiście zaczęły mrugać, ale potem wszystko się uspokoilo - odparła Anne, lecz w następnej chwili z jej gardła wyrwało się ciche: - Ach!

- Mamu? Co się dzieje? U was też zgasło światło?

- Nie, u nas nie, ale pomyślałam, że zaciemnienie mogło osiągnąć hotelu, który jest położony znacznie bliżej galerii Maddy niż my. Pojadę sprawdzić, co się tam dzieje.

- Nie, mamu, nigdzie nie pojedziesz - zaprotestowała Sylvie. - Nie możesz zostawić Daisy Rose bez opieki. Ja tam pojedę jak najszybciej. Bo jeżeli w hotelu też zgasło światło, muszę się osobiście upewnić, czy coś nie grozi moim obrazom w galerii, zwłaszcza wypożyczonym z mu-

zeum. Nie mówiąc już o pożyczonym od babci płótnie Wyetha. - Sylvie nie posiadała się z radości, gdy Celeste wyraziła zgodę na to, by wnuczka przez kilka miesięcy eksponowała jej bezcenny obraz w hotelowej galerii.

- O mój Boże, obrazy! - jęknęła Anne. Sylvie ugryzła się w język, ale było już za późno. Kiedy nauczy się ważyć słowa, żeby matki nie denerwować!

- Nie martw się, mam, w razie czego prześpię się w galerii na kanapie, żeby ich pilnować - uspokoiła ją Sylvie. Kończąc rozmowę, dodała: - U całuj ode mnie Daisy Rose i śpij spokojnie.

- Daisy Rose? - pytającym tonem odezwał się Jefferson, który słyszał jej rozmowę.

- To moja córeczka - wyjaśniła Sylvie. A co? - dodała, gdy zrobił zdziwioną minę.

Wziąwszy Sylvie za łokieć, odprowadził ją na bok, aby zejść z drogi wysypującemu się z galerii tłumowi gości. Nie było wśród nich Blake'a, którego zostawili razem z Maddy na zapleczu budynku. Znając przyjaciela, nie miał wątpliwości, iż Blake wykorzysta sytuację do własnych celów.

- Zdaje się, że w wiadomych formularzach zapomniano wspomnieć nie tylko o mojej córce.

- Jak to? - zdumiała się Sylvie, przeklinając w duchu swoje niemądre siostry. - Nie wiedziałeś, że mam córeczkę?

- Ano nie - odparł, kręcąc głową. I zaraz zapytał: - A ile ma lat? - Było mu żal, że Emily tak szybko dorasta i staje się coraz bardziej samodzielna. Trochę tęsknił do lat, kiedy była małą dziewczynką wsłuchaną w każde słowo tatusia.

Na chodniku zbierało się coraz więcej zdezorientowanych ludzi. Mało brakowało, a wpadłby na nich mężczyzna, który, sądząc z ubioru, bardziej przypominał amatora futbolowego meczu niż wernisażu.

- Trzy lata i dwa miesiące - odparła Sylvie. Zostawiłam ją pod opieką mojej matki i babki.

Przypomniał sobie, jakie miewał kiedyś problemy ze znalezieniem cierpliwej babysitterki dla Emily, kiedy była w tym wieku.

- Myślisz, że wyjdą z tego bez szwanku? Sylvie roześmiała się. Czując chłód wieczoru, owinęła się ciasniej babcinym szalem.

- Od razu widać, że nie znasz mojej babki.

Mimo dość podeszłego wieku poradziłaby sobie z całą zgrają rozwydrzonych maluchów. - Rozmawiając z Jeffersonem, raz po raz usiłowała się połączyć z recepcją hotelową, ale nikt nie

podnosił słuchawki. Coraz bardziej niespokojna, zadzwoniła na komórkę Charlotte. Usłyszała, że abonent jest poza zasięgiem. - Dlaczego nikt nie odbiera?

- No to pojedźmy zobaczyć na miejscu, co się tam dzieje - zaproponował Jefferson.

- To moja sprawa, po co miałbyś mi towarzyszyć?

- Zapomniałaś, że tam mieszkam?

- Racja. Przepraszam, jestem dziwnie rozkojarzona.

- Według mnie wyglądasz na osobę bardzo pozbieraną - odparł, obrzucając jej postać pełnym uznania spojrzeniem. - Chodźmy poszukać taksówki - dodał, podając jej ramię.

Jednakże znalezienie taksówki okazało się praktycznie niewykonalne. Widać błąkający się po ulicy goście wcześniej niż oni wpadli na ten sam pomysł.

Sylvie była coraz bardziej zdenerwowana. Co tu robić? Nie może przecież zadzwonić znowu do matki i poprosić, by jednak wzięła samochód

i jechała do hotelu zamiast niej.

- Może pójdziemy piechotą - zaproponowała, spoglądając jednocześnie na swoje pantofelki na wysokim obcasie, które podwyższały ją o dobre dziesięć centymetrów. - Lepiej odbyć długi spacer, niż czekać beczynn timer nie wiadomo na co.

Jefferson nie był tego pewien. Nie sądził, aby Sylvie zdołała pokonać taki szmat drogi w swoich sandałkach. Rozglądając się po ulicy, zobaczył stojący po drugiej stronie jezdni pojazd konny. Niewiele myśląc, chwycił Sylvie za rękę i pobiegł w jego kierunku.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała, biegnąc bez tchu u jego boku. Wokół nich z piskiem opon hamowały samochody.

- Korzystam z okazji - odkrzyknął. Już miała zawołać, że jest odpowiedzialna za hotel i nie ma czasu na zabawy, kiedy dostrzegła powóz. Ze zdumienia otworzyła szeroko oczy. - Ile pan weźmie za kurs do Hotelu Marchand? - zwrócił się do starego woźnicy, którego twarzy prawie nie było widać znad podniesionego kołnierza kurtki.

Stary łypnął okiem.

- Wracam do stajni. Najwyższy czas dać Kasztanowi odsapnąć - odburknął. - Zresztą nie wiem, gdzie jest ten wasz hotel.

Sylvie, nieco zdziwiona tym, że stary woźnica nie wie o istniejącym od kilkudziesięciu lat hotelu, podała mu adres. Mężczyzna potrząsnął głową.

- Przepraszam, paniusiu, ale stary jestem, pamięć już nie ta - odparł, poprawiając chudą ręką

nakrycie głowy. - My z Kasztanem jeździmy tera tylko po najbliższej okolicy, gdzie mniejsza konkurencja.

Jefferson nie zamierzał dać za wygraną.

- Co pan na to, żebym to ja siadł na koźle, a pan pojedzie w środku razem z panną Marchand? - spytał.

W starym obudziła się nieufność. - Chce mi pan ukraść pojazd?

- Nikt nie dybie na pański powóz, po prostu ja i ta pani musimy jak najszybciej dotrzeć do hotelu

- przekonywał. - Pan pojedzie z nami i zapamięta drogę, a potem spokojnie wróci do stajni. Cóż to trudnego dla takiego mądrego człowieka jak pan! No jak, zgoda?

- Czy ja wiem - odparł stary, nadal niezupełnie przekonany. Sięgnąwszy po portfel, Jefferson wcisnął mu do ręki kilka banknotów. Woźnica łypnął na nie okiem i trochę się rozpogodził. Po krótkim namyśle wsunął pieniądze do kieszeni. - No dobra - rzekł w końcu. - Tylko bez żadnych popisów

- dodał ostrzegawczo. - Kasztanek nie lubi fantazyjnej jazdy.

- Zgoda, żadnych popisów - obiecał Jefferson, podając Sylvie rękę z zamiarem usadowienia jej we wnętrzu powozu. Ona jednak pokręciła głową.

- Usiądę z tobą na koźle. - Odczekawszy, aż woźnica przesiądzie się na tylne siedzenie, szeptem zapytała: - Jesteś pewien, że umiesz powozić?

Jefferson wspiął się bez słowa na kozioł, po czym wyciągnął rękę, by jej pomóc, a kiedy już siedziała obok niego, odparł:

- Mój dziadek hodował konie w Wyoming. Jako chłopiec spędzałem wakacje na jego ranczu.

- A więc jesteś nie tylko prawnikiem i poskramiaczem tłumów, ale i kowbojem - skomentowała.

- No, no, Jefferson, coraz bardziej mnie zadziwiasz.

Ten komplement sprawił mu przyjemność, a zwłaszcza miękki ton głosu, jakim wypowie. działa jego imię.

- Nie przesadzajmy - odrzekł jakby zawstydzony.

Jest nie tylko przedsiębiorczy, ale i skromny, pomyślała Sylvie z uznaniem. Niezwykle połączenie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rozchodzące się echem w nocnym powietrzu kłaskanie końskich kopyt na brukowanej ulicy

wiodącej do Hotelu Marchand wprawiało Sylvie w romantyczny nastrój. Skarciła się za to w duchu. Nie bądź niemądra, nie trzeba się poddawać dziecinnyim emocjom, mówiła sobie. To tylko jednorazowa randka, nic więcej. Jefferson wkrótce wyjedzie do odległego stanu i zniknie raz na zawsze z twojego życia.

Rozsądne argumenty nie pomagały. Uczucie, że dzieje się coś niezwykle go, . bynajmniej nie ustępowało.

Zdarzył się podczas jazdy jeden niebezpieczny moment, kiedy kierowca szybkiego sportowego wozu gwałtownie nacisnął na klakson i Kasztanek prawie stanął dęba. Sylvie kurczowo uchwyciła się siedzenia, bojąc się, że za chwilę wyląduje na chodniku. Jednakże Jefferson w mgnieniu oka opanował sytuację. Ściągnąwszy lejce, wychylił się do przodu i przemawiając do konia, zdołał go uspokoić.

Sylvie patrzyła na Jeffersona z coraz większym podziwem. Może urodą przypomina raczej Gregory' ego Pecka niż współczesnego gwiazdora, ale nie można mu odmówić rzadkich zalet.

- Do listy twoich talentów dochodzi jeszcze sztuka zaklinania koni - zauważyła.

- To żadna sztuka - odparł lekceważącym tonem.

Dziś już nie ma takich mężczyzn, przemknęło Sylvie przez głowę. Szybko jednak jej uwagę przykuł widok hotelu, do którego się zbliżali. Normalnie jasno oświetlony, teraz niemal całkowicie tonął w mroku. Jedyne w jego oknach migotały słabe płomyki świec, a przed frontem paliły się stare latarnie sztormowe, które normalnie służyły głównie do dekoracji. Charlotte nie straciła głowy. Ale dlaczego nie działa zapasowy generator?

~ Goście nie będą zachwyceni - powiedziała bardziej do siebie niż do siedzącego obok Jeffersona.

- Przecież nie mogą winić hotelu i jego właścicieli za ogólną awarię prądu - zauważył rozsądnie jej towarzysz.

Sylvie nie była jednak pewna, czy goście będą się kierować rozsądkiem. Ludzie, którzy wydali ciężko zarobione pieniądze, licząc na miłe i wygodne wakacje, winą za wszelkie niedociągnięcia skłonni są obarczać osoby znajdujące się w ich najbliższym zasięgu.

- Może masz rację, ale to my zapłacimy za złe wrażenie, jakie wyniosą z pobytu w hotelu - odparła, przypominając sobie, iż nie dalej jak wczoraj Charlotte mówiła o nadziejach, jakie wiąże z początkiem karnawału. Dobrze zapamiętała jej słowa: "Najbliższy tydzień to nasza największa szansa na odkucie się po stratach spowodowanych huraganem".

Jefferson zajechał z fasonem przed główne wejście. Drzwi pilnował nadal Paul, który podszedł wolno, mierząc pojazd konny sceptycznym wzrokiem.

- Przepraszam, panienko, ale nie przywykłem do parkowania konnych pojazdów - zażartował, podając Sylvie rękę i pomagając jej zejść z wysokiego siedzenia na koźle.

- Nie bój się, nie będziesz musiał go parkować - odparła, a znalazłszy się bezpiecznie na ziemi, dodała: - Okazało się, że wszystkie taksówki gdzieś znikły, wobec czego pan Lambert zarekwirował powóz.

Jefferson mógłby przysiąc, że usłyszał w jej głosie nutę podziwu. Uśmiechnął się do siebie. Poczucie, że piękna kobieta uważa go za rycerza w srebrzystej zbroi, mile polectało jego próżność. Obróciwszy się na koźle, podał lejce siedzącemu w powozie człowiekowi.

- Nieźle pan powozi - pochwalił woźnica, gramoląc się z trudem na swoje miejsce.

- Dziękuję, będę o tym pamiętał na wypadek, gdyby przyszło mi zmienić zawód - odparł z uśmiechem Jefferson.

Na te słowa chudy woźnica nagle pogonił konia, jakby się bał, że Jefferson znowu odbierze mu lejce.

- Dziwny człowiek - zauważyła Sylvie, obserwując odjeżdżający powóz.

- Trudno mu się dziwić, pewnie jest przywiązany do konia i nie było mu przyjemnie oddawać wodze obcemu - wyrozumiale odparł Jefferson, ujmując ją za łokieć i ruszając w stronę wejścia.

Cały westybul został zastawiony świecami i sztormowymi lampami. W innych okolicznościach Sylvie uznałaby, że wygląda wcale atrakcyjnie. Jednakże w tej chwili miała na głowie ważniejszą sprawę niż poddawanie się romantycznym nastrojom.

- Nie musisz mi dłużej asystować - rzekła do Jeffersona. Jego opiekuńczy instynkt był jej miły, nie chciała jednak, by czuł się zobowiązany do udzielania jej dalszej pomocy.

- Chcesz się mnie pozbyć? - spytał przekornym tonem.

Sylvie przyznała w duchu, iż niezależnie od jego przytomności umysłu towarzystwo Jeffersona zaczyna sprawiać jej przyjemność. Nie tylko radził sobie znakomicie w trudnych okolicznościach, ale i zdradzał duże poczucie humoru.

- Skądże. Ale palniętam, że byliśmy umówieni na randkę, a nie na ratowanie mnie z opresji. Mam swoje obowiązki, którymi muszę się teraz zająć.

Zaczęła się bezskutecznie rozglądać za Charlotte. W niemal opustoszałym holu kręciło się tylko parę osób. Natomiast z dziedzińca dochodziły dźwięki muzyki, co nasunęło Sylvie dosyć smętną

myśl o orkiestrze grającej na pokładzie tonącego Titanica.

- Moim zdaniem, wernisaż też nie przypominał zwyczajowej randki - zauważył Jefferson.

W jego głosie usłyszała wyraźną nutę dezaprobaty.

- Zdaje się, że nie jesteś wielbicielem nowoczesnej sztuki. Szczerłość, i tylko szczerłość, przypomniał sobie. - Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem, na czym owa nowoczesna sztuka miałaby polegać - wyznał, robiąc poważną minę.

Z tą pionową zmarszczką na czole jest mu bardzo do twarzy, pomyślała. Może trochę go postarza, ale zarazem dodaje uroku. Roześmiała się wesoło.

- Więc to też był wymysł Emily? - spytała.

- Chyba tak - odparł, ucieszony wyrozumiałym podejściem Sylvie. Nie miał już córce za złe, że namówiła go na eskapadę do Nowego Orleanu.

Zadzwońiła jego komórka, a Sylvie w tym samym momencie dostrzegła Charlotte. Przeprósiwszy swoją towarzyszkę, Jefferson odszedł na bok.

- Sylvie! Skąd się tu wzięłaś? - wykrzyknęła Charlotte.

- Przybyłam na ratunek - odparła Sylvie. - Pomyślałam, że możesz potrzebować pomocy.

Na twarzy Charlotte odmalowała się nieklamana ulga. Biedaczka czuła się jak zongler, który-nie ma pewności, jak długo jeszcze zdoła utrzymać w powietrzu wszystkie kule.

- Chyba tak - przyznała, obejmując siostrę.

Częścią świadomości odnotowała obecność towarzyszącego Sylvie, rozmawiającego przez komórkę mężczyzny. - 'Nie możemy uruchomić awaryjnego generatora. Sytuacja w hotelu została jako tako opanowana, ale niepokoję się o galerię.

W telefonie nikt się nie odzywał. Uznawszy, że przerwano połączenie z powodu przeciążenia linii, Jefferson wcisnął pierwszy lepszy guzik i schował komórkę do kieszeni.

- Czy zdarzały się już włamania do hotelu? - zwrócił się z pytaniem do Charlotte, usłyszawszy jej ostatnie zdanie.

Ta zmierzyła go wzrokiem.

- Przepraszam? - zapytała ostro. Nie przywykła odpowiadać na pytania nieznajomych.

- Pozwól, Charlotte, że was sobie przedstawię - wtrąciła Sylvie, zdając sobie sprawę, iż siostra nie wie, z kim ma do czynienia. - To jest właśnie pan Jefferson Lambert, z którym ty, Malanie i Renee postanowiłyście mnie umówić. - A zwracając się do niego, dodała: - Jeffersonie, to moja siostra, Charlotte Marchand.

Jefferson ujął dłoń Charlotte, która nadal niewiele rozumiała. Widać troska o hotel wymiotła z jej głowy wszelkie inne myśli.

- Zna mnie pani tylko z agencji kojarzenia par - wyjaśnił.

- Och! - wykrzyknęła, otwierając szeroko oczy i mierząc Jeffersona uważnym spojrzeniem. - Och! - powtórzyła.

To drugie "Och!" pełne było niekłamanego uznania. Charlotte, z racji swojego zajęcia, musiała umieć oceniać ludzi, a stojący przed nią mężczyzna robił jak najlepsze wrażenie. Gdyby miała określić go jednym słowem, powiedziałaaby: chodząca solidność. Nic podobnego nie przychodziło jej nigdy do głowy na widok dawnych sympatii Sylvie. Byli to na ogół rozwichrzeni, mocno niechlujni młodzieńcy wyglądający, jakby spadli przed chwilą z platformy wiozącej uczestników ulicznej demonstracji. Zwłaszcza ten ostatni, za którego sprawą urodziła się Daisy Rose. Natomiast Jefferson wyglądał na szacownego członka społeczeństwa. Pogratulowała sobie i siostrze wyboru.

Sylvie natomiast aż się skręcała. Czy Charlotte może zdaje sobie sprawy, że wszystko, co myśli, można wyczytać z jej twarzy? I skąd w niej, osobie niezbyt szczęśliwej w 'sprawach sercowych, taka namiętność do swatania innych?

- Zaczęłaś mówić, że niepokoisz się o obrazy - przypomniała siostrze.

- Ach tak - rzekła Charlotte. - Byłabym naprawdę wdzięczna, gdybyś wspólnie z kimś z personelu zorganizowała nocny dyżur w galerii. Ochroniarze i bez tego mają pełne ręce roboty. W dodatku Mac gdzieś przepadł, a Julie też zniknęła - dodała, mając na myśli szefa ochrony i swoją osobistą asystentkę. - W pokoiku przy galerii jest kanapa, więc będziesz mogła się zdrzemnąć.

- Wiem, kochanie, że w b"ocznym pokoju jest kanapa - odparła Sylvie, z trudem hamując zniecierpliwienie. - Codziennie bywam w galerii.

Tymczasem Charlotte przysła do głowy nowa myśl. A mianowicie, by awarię prądu wykorzystać w dobrej sprawie. Ponownie zmierzyła Jeffersona wzrokiem.

- Niestety, nie mogę oddelegować ci do pomocy nikogo z personelu. Po zastanowieniu uważam,

że wszyscy są mi potrzebni. Może pan Lambert byłby tak uprzejmy ... ?

- Nie ma mowy - impulsywnie przerwała Sylvie, zanim Charlotte zdążyła ją ostatecznie upokorzyć. Tylko idiota nie zrozumiałby, do czego zmierzają jej chytne manewry.

- Z największą przyjemnością pomogę pani w nocnym dyżurze w galerii - wtrącił Jefferson, widząc, że między siostrami może lada moment dojść do ostrego spięcia.

- Od razu wiedziałam, że można na panu polegać - z promiennym uśmiechem podziękowała mu Charlotte.

- A wszyscy wiedzą, jak świetnie umiesz oceniać ludzkie charaktery - zgryźliwie zauważyła Sylvie. Wiedziała, że siostra ma jak najlepsze intencje, ale w tym przypadku wykazała wręcz porażający brak taktu.

Tymczasem Charlotte potraktowała słowa Sylvie jako przytyk do jej nieudanego małżeństwa.

- Każdy może się kiedyś pomylić - rzekła urażonym tonem. Ale zaraz z uśmiechem dodała: - Ale w przypadku pana Lamberta na pewno nie mogę się mylić.

- Niechętnie muszę przyznać ci rację - rzekła nieco udobruchana Sylvie. - Otóż musisz wiedzieć, że w trakcie awarii Jefferson zdążył już dwukrotnie zasłużyć na specjalny medal. Najpierw, kiedy w galerii Maddy zapobiegł panice, a potem rekwirując pojazd konny, gdy na próżno szukaliśmy taksówki, żeby wrócić do hotelu.

Charlotte przyjrzała się siostrze, niepewna, czy ta nie żartuje, a upewniwszy się, że chyba nie, odparła:

- To mi się podoba. Lubię, kiedy mężczyzna chodzi po ziemi i z byle powodu nie traci głowy.

Ale czy nie straci głowy, kiedy przestanie chodzić po ziemi? - zadała sobie w duchu pytanie Sylvie, wyobrażając sobie gorącą kąpiel z bąbelkami i kolację przy świecach.

- Proszę bardzo, jutro chętnie ci go odstąpię - powiedziała, potrząsając głową. - Ale dziś należy wyłącznie do mnie. Chodźmy, Jefferson!

Pożegnawszy Charlotte skinieniem głowy, Jefferson ruszył w ślad za Sylvie.

- Macie zamiar podawać mnie sobie z ręki do ręki?

~ Co mówisz? - spytała, omijając szerokim łukiem grupę głośno rozmawiających turystów. Zaraz jednak zadała sobie sprawę, że Jefferson mógł niewłaściwie zrozumieć jej ostatnie słowa. - Nie,

nie, przepraszam, wiem jak to zabrzmiało, ale...

On jednak nie pozwolił jej skończyć.

- Nie tłumacz się. Tylko żartowałem. Chciałem poprawić ci nastrój.

- Ach! - westchnęła Sylvie z głębi serca. - Czekam od przeszło roku na poprawienie sobie nastroju.

- Jest aż tak źle? - przejął się Jefferson.

- No, może nie aż tak - przyznała. Ostatecznie nie powinna narzekać na swój los. - Właściwie nie mam prawa się skarżyć. Tylko czasami mam uczucie, jakbym przestała być sobą.

- To znaczy kim?

Mieli właśnie wejść do galerii, lecz Sylvie zatrzymała się z ręką na klamce. Nie mogła puścić jego pytania mimo uszu. W dodatku Jefferson stał o wiele za blisko i patrzył jej prosto w oczy. Normalnie przyjęłaby takie pytanie ze spokojem, zwłaszcza z ust mężczyzny, który coraz bardziej jej się podobał. Ale dziś nie była sobą. Czuła się niepewnie, co było sprzeczne z jej naturą. Miała niepokojące wrażenie, że stoi na progu zupełnie nowego doświadczenia.

Nie, nie, kobieta w jej wieku nie powinna bezmyślnie rzucać się w przygodę. Tak mogą postępować osoby bez zobowiązań, ale nie matka trzyletniego dziecka.

- Kobieta, która musi się dostać do galerii i zainstalować w niej na całą noc - odparła zdecydowanym tonem. - Nie jesteś głodny?

Podczas przyjęcia u Maddy nie zdążyli nawet spróbować podawanych tam smakołyków. Przeżycia związane z awarią prądu pozwoliły na jakiś czas zapomnieć o głodzie, który jednak dawał teraz o sobie znać.

- Owszem, jestem.

- Dowiem się w kuchni, co mogą dla nas zrobić, ale najpierw muszę uprzedzić mamę, że zostaję na noc w hotelu - odrzekła Sylvie, wyjmując komórkę. Rozmowa z Anne zabrała jej dobre pięć minut. Po zapewnieniu matki, iż mimo braku światła w hotelu nie dzieje się nic złego, dodała na zakończenie: - Nie martw się, mamó, zostaję tu tylko na wszelki wypadek. Ucałuj ode mnie Daisy Rose i nie daj się babci wyprowadzić z równowagi.

- Tego nie mogę ci obiecać - roześmiała się Anne. - Ale czy jesteś pewna ... ?

- Jak najpewniej sza, dobranoc - przerwała jej Sylvie, kładąc kres rozmowie. - A teraz jedzenie - mruknęła.

Podeszła do wewnętrznego telefonu i nacisnęła odpowiedni guzik. Czekając, aż ktoś podniesie

słuchawkę, rozejrzała się po holu. Dotąd nikt z gości ani obsługi nie zdradzał zdenerwowania, dochodzące zaś z dziedzińca muzyka i odgłosy wesołych rozmów wskazywały, że zabawa trwa w najlepsze.

- Tu obsługa - odezwał się po chwili zmęczony głos.

- To ty, Allison? - zawołała Sylvie, rozpoznając sympatyczną pomocnicę głównego cukiernika, specjalizującą się w nadzwyczajnie smakowitych deserach.

- Tak, to ja.

- Allison, tu Sylvie Marchand. Mam ogromną prośbę. Czy mogę cię prosić o dostarczenie do galerii dwóch sandwiczów z szynką, dwóch porcji twojego niezrównanego jabłecznika i paru puszek wody sodowej?

- Do galerii? - zdziwiła się Allison. - Myślałam, że o tej porze jest nieczynna.

- Zwykle tak - przyznała Sylvie. - Ale Charlotte kazała mi pilnować obrazów, na wypadek gdyby w ciemnościach zakradli się tam złodzieje.

Powiedziała to na pozór niefrasobliwym tonem, niemniej na myśl o złodziejach wynoszących obrazy ciarki przeszły jej po plecach. Hotel był dla niej zawsze rodzajem drugiego domu, toteż kradzież w jego obrębie odczułaby jako pogwałcenie osobistego schronienia.

Jednakże w świetle tego, co działo się w Nowym Orleanie po przejściu huraganu, lepiej było się zabezpieczyć. Spędzi noc w galerii, aby przynajmniej w ten sposób ulżyć Charlotte, która zrobiła na siostrze wrażenie osoby na granicy wytrzymałości nerwowej. W końcu nawet jej dzielna siostra ma ograniczone zasoby odporności na trudy życia. Chcąc jej pomóc, chętnie spędzi noc w galerii.

Zresztą nie musiała się zbytnio poświęcać, po-nieważ towarzysz nocnego dyżuru budził w sercu Sylvie coraz więcej przyjaznych uczuć.

- Zaraz wszystko przyniosę - zapewniła ją Allison.

- Naprawdę nie musisz, mogę sama zajrzeć do kuchni.

- Lepiej nie - uznała Allison. - Tutaj i tak za dużo się dzieje, ponieważ część gości uznała wyłączenie prądu w restauracji za świetną zabawę. Ja już dwa razy dzwoniłam do elektrowni, żeby się dowiedzieć, kiedy znowu będzie światło, ale telefon jest zajęty. Pewnie wszyscy mieszkańcy Dzielnicy Francuskiej dzwonią z tym samym pytaniem.

- Trzeba po prostu spokojnie czekać. Denerwowanie się nic tutaj nie pomoże - filozoficznie. skonstatowała Sylvie.

Odkładając słuchawkę, zauważyła, że Jefferson przygląda się jej z uwagą, a zarazem lekkim rozbawieniem. W sumie wyglądał z tą miną szczególnie interesująco. Zadała sobie pytanie, czy robi to świadomie, ale uznała, że jednak nie. On chyba nie ma zwyczaju udawać ani robić niczego na pokaz. Pod tym względem był całkowitym przeciwieństwem ojca Daisy Rose. Skąd przyszedł jej głowy? O Shanie Alexandrze nie myślała od dawien dawna.

- Ty i Charlotte naptawdę jesteście siostrami? - usłyszała głos Jeffersona.

- Tak, ale Charlotte reprezentuje inny wątek rodzinny. To znaczy wdała się w mamę. - Ona i Charlotte potrafiłyby poprowadzić hotel własnymi siłami, oczywiście pod warunkiem, że reszta rodziny przystałaby na to szaleństwo.

- A ty odziedziczyłaś charakter po ojcu?

- Mam taką nadzieję. - Pochlebilo jej samo przypuszczenie, iż wdała się w ukochanego ojca, człowieka, który był za życia powszechnie lubiany i podziwiany. - W każdym razie za nic bym nie chciała przypominać własnej babki.

- A to dlaczego?

Tylko ktoś, kto nie miał okazji spotkać Celeste Robichaux, mógł zadać tak naiwne pytanie.

- Dlaczego? - powtórzyła. - Bo ma język jak żmija.

Wyjąwszy z torebki klucze, otworzyła szklane drzwi prowadzące do galerii. Nie musiała wyłączać alarmu - wyręczył ją 'w tym brak elektryczności.

Długie i wąskie pomieszczenie galerii zajmowało parter i piętro, połączone kręconymi schodami. Brak ścianek działowych zwiększał poczucie przestronności.

Rozejrzała się po ścianach, przyświecając sobie latarką. Wszystko było na swoim miejscu, nigdzie też nie dostrzegła śladu czyjejś niepożądanego obecności.

- Myślę, że Charlotte przesadza z ostrożnością. Na pewno za parę minut włączą światło - oświadczyła, na wszelki wypadek wypróbując kontakt, co jednak nie dało spodziewanego rezultatu. Wobec tego poustawiała świece, których używała podczas uroczystych wernisaży w celach dekoracyjnych, a gdy je zapaliła, w pomieszczeniu zapanował prawdziwie romantyczny nastrój. Sylvie jednak starała się nie poddawać atmosferze chwili. Weszła do niewielkiego gabinetu w głębi galerii, po czym, zdjęwszy z ramion szal, jeszcze raz zwróciła się do Jeffersona: - Naprawdę nie musisz ze mną zostawać!

- Jak to? - wykrzyknął z udanym oburzeniem. - Chcesz mnie pozbawić kanapek z szynką i najlepszej w świecie szarlotki?

- Kanapki też nie są od macochy - odrzekła, wpadając w podobny ton. - Jestem przekonana, że od dawna nie jadłeś takiej cudownej szynki. Zupełnie jakby niebo spływało człowiekowi do ust.

- A często zdarza ci się kosztować nieba? - zapytał.

- Hm, czasami - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

Co się z nią dzisiaj dzieje? Dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, by mieć towarzystwo? A zwłaszcza, żeby być w jego towarzystwie? Czyżby ostatnimi czasy doskwierała jej samotność? Czy odczuwała niezadowolenie z życia, jakie sobie ułożyła? Od trzech lat lista jej obowiązków faktycznie stale się wydłuża. Najpierw postanowiła być odpowiedzialną matką, potem została odpowiedzialną córką, a teraz na domiar wszystkiego chce zadowolić swą nadobowiązkową siostrę. Na pozór nic wielkiego, niemniej trudno zaprzeczyć, iż czuje się niekiedy jak ptak, któremu przycięto skrzydła.

Sylvie nadal patrzyła Jeffersonowi w oczy, czując lekką suchość w gardle. Dziwna rzecz, ale w tej chwili przyszyty skrzydła w niczym jej nie przeszkadzały, bo nie miała najmniejszej ochoty donikąd odlatywać.

Usta Sylvie też mają smak nieba, myślał tymczasem Jefferson, przypominając sobie, jak opisała te kanapki z szynką. Dziwne, jakie wrażenie robi na nim kobieta, którą chyba samo przeznaczenie postawiło na jego drodze.

Czy dlatego tak silnie na nią reaguje, ponieważ nie był z kobietą od śmierci Donny? Do tej pory asceza mu nie przeszkadzała, i tak powinno zostać! Tłumaczenie lekkomyślnych postępów długą abstynencją to usprawiedliwienie godne nastolatka, a nie dojrzałego mężczyzny. No, chyba że mężczyzna jest Blakiem, ale Blake to zupełnie inna sprawa. On, Jefferson, zawsze, nawet w młodości, postępował drogą obowiązku i cnoty i nie zamierza akurat dziś sprzeniewierzyć się swoim zasadom. Pozostanie wiemy sobie i swojej zmarłej żonie. Jeden nieopatrzny pocałunek nie może tego zmienić.

Albo raczej nie mógłby, gdyby był zwykłym pocałunkiem. Na nieszczęście Jeffersona pocałunek, jakim obdarzyła go Sylvie Marchand na zakończenie tańców w galerii Maddy, wstrząsnął całym jego jestestwem. Jeszcze teraz na samo jego wspomnienie poczuł nieznaną do.tąd słabość w kolanach.

Stał i patrzył na Sylvie, zdając sobie sprawę z targających nim coraz mocniej pragnień i namiętności. Czy tylko mu się wydaje, czy wokół nich rzeczywiście zapada coraz głębszy mrok? I czy mały pokoik staje się coraz mniejszy, a wraz z pokojem maleje dzieląca ich odległość?

W tym momencie zapukano do drzwi galerii. Obsługa dostarczyła kolację.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Proszę tutaj, jesteśmy w gabinecie! - zawołała Sylvie.

Jefferson cofnął się o krok z miną człowieka przyłapanego na zdrożnym uczynku. Jeśli nawet młodszy kelner Rick, którego Allison przysłała z kolacją, coś zauważył, to nie dał tego po sobie poznać.

- Niesamowity wieczór! - oświadczył dziarskim głosem, wchodząc do gabinetu. Rozejrzawszy się po pokoju, szybko zbliżył się do biurka, na którym, chociaż było zarzucone papierami i zastawione komputerem, zdołał jakimś cudem postawić tacę. - Szkoda, że to nie Halloween. Można by udawać, że brak światła należy do programu zabawy. Nie powiem, większość gości zachowuje się po sportowemu, ale niektórzy okropnie narzekają.

Biedna Charlotte, pomyślała Sylvie. Narzekania gości to nie tylko przykreść, ale i potencjalna utrata klienteli.

- A jak radzicie sobie w kuchni? - spytała, zaglądając pod pokrywkę talerza z sandwiczami. - Piece są na gaz, więc z gotowaniem nie ma problemu - wyjaśnił Rick. - Ale Robert niepokoi się o lodówki.

Wcale mu się nie dziwię, pomyślała Sylvie. Robert LeSoeur, szef restauracji, był znakomitym kucharzem, dbającym o wie 10 gwiazdkowy status prowadzonego przez niego lokalu.

- Podziękuj Allison, że tak szybko przysłała nam kolację - powiedziała Sylvie. Uznawszy to za delikatną odprawę, Rick uklonił się i opuścił mały gabinet. Słyszeli jego oddalające się kroki, a potem dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi.

Jefferson skorzystał z wizyty kelnera, by znaleźć sobie w gabinecie miejsce jak najbardziej oddalone od Sylvie. Zważywszy rozmiary pomieszczenia, w którym zmieściły się kanapa, biurko i fotel, jego wysiłki nie mogły przynieść zadowalającego rezultatu. Pokoik nie był stworzony do tego, by dwie osoby mogły się w nim swobodnie poruszać, nie wchodząc sobie w drogę.

Podchodząc do biurka, aby sięgnąć po kanapkę, zauważył oprawne w ładną ramkę zdjęcie

ślicznej rudowłosej dziewczynki o niezwykle intensywnym spojrzeniu i zaraźliwym uśmiechu. Gdyby Sylvie nie wspomniała wcześniej o córce, uznałby zdjęcie za jej podobiznę z dzieciństwa. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślał, biorąc fotografię do ręki.

- To twoja córeczka? - zapytał.

Usłyszawszy jego pytanie, Sylvie cofnęła się od drzwi. Zamierzała obejść galerię, aby jeszcze raz dokładnie sprawdzić, czy niczego nie brakuje. Zamiast tego zbliżyła się do biurka, wzięła z rąk Jeffersona ramkę z fotografią i przyjrzała się swemu ukochanemu dziecku z takim wzruszeniem, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu. Czasami, kiedy była szczególnie przytłoczona codziennymi obowiązkami, istnienie córeczki powszedniało w jej odczuciu. Zapominała, ile szczęścia i radości wniosła do jej życia i jakim jest nieocenionym skarbem.

- Tak, to Daisy Rose - szepnęła.

Każde z czterech słów przepojone było czułością. Kobieta okazująca swemu dziecku tyle miłości wydała się Jeffersonowi niezwykle ujmująca. A jednocześnie poczuł, że powstaje między nimi nowa więź.

- Jestrówniepiękna jak jej mama - zauważył. Sylvie podziękowała mu uśmiechem.

- Jeśli się nie mylę, mówiłeś, że twoja córka jest nastolatką, prawda? - zapytała, odstawiając zdjęcie.

- Tak. Ma szesnaście lat, ale czasami zachowuje się, jakby miała czterdzieści - odparł z krzywym uśmiechem. - Ciesz się każdą chwilą, dopóki twoja mała jest dzieckiem i słucha, co do niej mówisz - dodał, wskazując oczami odstawione zdjęcie. - Lata szybko lecą i zanim się obejrzysz, jajo stanie się mądrzejsze od kury. Teraz przynajmniej nie kwestionuje twoich decyzji.

Sylvie roześmiała się. Daisy Rose już dziś zachowywała się niekiedy jak kapryśna i apodyktyczna starsza pani, która wszystko wie najlepiej.

- Od razu widać, że nie miałeś do czynienia z Daisy Rose - powiedziała, biorąc z tacy serwetkę i rozkładając ją na biurku po stronie Jeffersona. Czowała z nim bliskość. Oboje żeglowali po równie niebezpiecznych wodach. - Nie jest łatwo samotnie wychowywać dziecko.

Oj, nie jest łatwo, westchnął w duchu, chociaż podejrzewał, że Sylvie jest nieco łatwiej niżjemu, ponieważ ona i córka są tej samej płci, a ponadto może zawsze liczyć na pomoc i wsparcie rodziny. Co prawda w szczególnie trudnych sytuacjach teściowa chętnie szła mu z pomocą, ale na co dzień musiał sobie radzić o własnych siłach. Dobrze pamiętał momenty, w których był bliski załamania, uważał, że dłużej nie pociągnie, zawsze jednak znajdowało się jakieś wyjście,

głównie dlatego, że Emily była takim dobrym i mądrym dzieckiem.

Z zaciekawieniem obserwował nakrywającą do kolacji Sylvie. W opisującym ją formularzu nie było wzmianki o małżeństwie. Napisano tylko, że jest osobą samotną.

Może jest wdową, tak jak on? I nadal nosi w sercu niezagojoną ranę?

- Kiedy straciłaś ojca Daisy Rose? - zapytał ze współczuciem.

Podniosła na niego oczy, w których igrały ironiczne iskierki.

- Nie mogłam go stracić, bo nigdy do mnie nie należał - odparła, podając mu kanapkę.

Jefferson jednak nawet nie spojrzał na jedzenie. Wprawdzie odruchowo wziął do ręki talerz, ale nie oderwał od Sylvie oczu.

- Nie bardzo rozumiem.

- Jesteś najdelikatniejszym i najlepiej wychowanym mężczyzną, jakiego spotkałam - rzekła ze śmiechem. - Nie ma nic do rozumienia - dodała. - Po prostu ja i ojciec Daisy Rose nie byliśmy małżeństwem.

- Och, przepraszam. Nic mi do tego, to twoja prywatna sprawa - pospiesznie wycofał się Jefferson, sprawiając wrażenie człowieka, który zbyt późno dostrzegł tabliczkę z napisem "Wstęp wzbroniony" .

Większość mężczyzn zażądałaby w tym momencie dalszych wyjaśnień, uważając, iż fakt umówienia się na randkę daje im do tego prawo. Dlatego dyskrecja Jeffersona zrobiła na Sylvie szczególnie miłe wrażenie.

- Zgadza się, że to moja prywatna sprawa, niemniej powiem ci, jak było - odparła z uśmiechem.

- Był znanym muzykiem rockowym, ale spotkaliśmy się w okresie, kiedy jego gwiazda zaczynała błędnąć. Jeśli to ci coś mówi, nazywa się Shane Alexander i należał do zespołu Lynx. - Odniosła wrażenie, iż nazwisko Shane'a nie jest Jeffersonowi obce. - Kiedy chciał, potrafił być czarujący, a ja byłam za głupia, żeby przejrzeć jego gierki. - W tym momencie uznała, że nie powinna potępiać w czambuł mężczyzny, któremu zawdzięcza Daisy Rose, i nieco zmieniła ton. - Shane może nie stał w pierwszym rzędzie, kiedy rozdawano rozum, ale był za to świetnym kochankiem.

- Już miała podnieść do ust kanapkę, kiedy Jefferson odstawił swój talerz. - Jesteś zażenowany? - zapytała.

Tak, czuł się zażenowany, a ponadto zezłościło go, że Sylvie tak łatwo odgadła jego myśli. W sali sądowej potrafił zachować nieprzenikniony wyraz twarzy, a tu tymczasem nie potrafi niczego ukryć. A ostatnia uwaga Sylvie pokazała aż nadto wyraźnie, z jak różnych pochodzą

światów.

- Jesteś niezwykle szczerą - odparł wymijająco.

- Nie o to pytałam - zwróciła mu uwagę.

- Nie przywykłem słuchać aż tak szczerych wyznań. Nie zapominaj, że jestem prawnikiem - wyjaśnił, uśmiechając się kącikiem ust. Chyba starał się obrócić wszystko w żart.

Jest naprawdę fajny, pomyślała. Zaczynam go lubić, i coraz bardziej mi się podoba. Powinna w jakiś sposób odwdziaczyć się siostrze, ale zachowując umiar, bo w przeciwnym razie gotowe całkiem wejść jej na głowę.

- To prawnicy nie mówią prawdy? - zapytała.

- Owszem, jakąś wersję prawdy - odparł. Otworzył puszkę wody sodowej, która spieniła się z szumem.

- Nie wiedziałam, że mogą istnieć różne wersje prawdy - zauważyła Sylvie, odstawiając opróżniony talerz na biurko.

- O wszystkim można powiedzieć, że ma różne wersje.

A w tej chwili prawda była taka, że jedzenie zaczęło stawać mu w gardle. Zaspokoił wprawdzie pierwszy głód, ale na jego miejsce pojawił się całkiem inny rodzaj apetytu. Ten, którego nie zaspokajał od wielu lat i o którym sądził, iż nigdy więcej nie zakłóci mu spokoju.

Seks dla samego seksu nigdy go nie interesował. Musiał obdarzyć kobietę uczuciem, aby pójść z nią do łóżka. Najpierw budziła się jego wyobraźnia, a dopiero potem ciało i zmysły.

- Och, to ciekawe! - Sylvie rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie, odnotowując z zadowoleniem jego reakcję na siebie, a także własną reakcję na jego podliwienie. - A gdybym teraz powiedziała, że bardzo mi się podobasz, też byś uważał, że moje słowa można interpretować na wiele różnych sposobów?

Jefferson nie mógł oderwać od niej oczu ani się poruszyć. W dodatku wcale nie był pewien, czy naprawdę chce się od niej odsunąć. Miał wrażenie, że pędzi w przepaść rozpędzonym pociągiem, którym nikt nie kieruje.

- Tak - usłyszał własną odpowiedź.

Uśmiech najpierw rozświetlił oczy Sylvie, a dopiero potem z wolna ogarnął całą jej twarz.

- Na przykład jak? - spytała.

Widział falowanie jej piersi przy każdym oddechu. Narastała w nim coraz silniejsza namiętność.

- Nie wiem.

Sylvie miała ochotę roześmiać się na cały głos.

Z trudem panowała nad pragnieniem, aby zarzucić mu ręce na szyję i zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Jak to, nie wiesz? - powiedziała na głos.

- Nie potrafię zebrać myśli. Mój mózg przestał funkcjonować - wybąkał po chwili.

- Jesteś niezrównany - rzekła radośnie. - Czy wiesz, że chyba jeszcze nikt nie uraczył mnie równie pięknym komplementem?

- To nie miał być komplement - odparł z pedantyczną szczerością. - Naprawdę tak się czuję.

Sylvie miała do czynienia z wieloma bardzo różnymi typami mężczyzn i wiedziała, że każdy, nawet najmniej elokwentny, ulega nieodpartej pokusie pochwalenia się przed kobietą, która mu się podoba. W świetle tych doświadczeń Jefferson wydawał się absolutnym wyjątkiem.

- Nie umiesz schlebiać kobietom, prawda? Nie wiedział, co powiedzieć. Był niby w czarodziejskim śnie. Opuścił ręce, obejmując nimi jej kuszące biodra. Zrobił to odruchowo, jakby chciał się upewnić, że ona naprawdę istnieje, a nie jest jedynie wytworem jego rozszalałej wyobraźni.

- To prawda, nie umiem - przyznał.

Nigdy nie podejrzewałam, że szczerość może być tak seksowna, pomyślała Sylvie, czując przechodzący jej po plecach dreszcz podniecenia.

- To mi się podoba - mruknęła cicho. - Żadnych złych nawyków. Wszystko jasne, niczego nie muszę się domyślać.

Bardziej niż treść jej słów przemawiał do niego ruch jej ust i płynący z nich oddech. Nie ulegało wątpliwości, że coraz bardziej jej pragnie. Ale wciąż nie był pewien, czy może się odważyć. Tak mało wie o kobietach. Zdawało mu się, że ona też go pragnie, ale co będzie, jeżeli się myli, jeżeli z braku doświadczenia przypisuje jej to, czego ona bynajmniej nie czuje?

Kto pyta, nie błądzi, przypomniał sobie. - Sylvie? - bąknął.

- Tak? - odparła, myśląc sobie jednocześnie, że jeżeli Jefferson nie wykaże natychmiast większej inicjatywy, będzie musiała sama się na niego rzucić.

- Czy chcesz się ze mną kochać?

Omam nie parsknęła śmiechem. Był tak uroczo naiwny! A przy tym niesłychanie męski. Wyraźnie wyczuwała jego podniecenie.

- A jak myślisz? - odparła, patrząc mu wyzywająco w oczy.

Miał ochotę zmiążyć ją w ramionach.

- Jesteś kobietą, której trudno się oprzeć - wyznał przez zaciśnięte wargi.

- Skoro tak, to sama coś ci zaproponuję - rzekła, nie przestając patrzeć mu w oczy.

- Mam przestać się opierać? - zapytał z nieśmiałym uśmiechem, nadal nie całkiem pewny, czy dobrze ją zrozumiał.

- Zgadłeś - roześmiała się na to Sylvie. Jefferson przyciągnął ją do siebie. Znaleźli się tak blisko, że zmieszały się ich oddechy. Sylvie przechyliła głowę i patrzyła na niego z wyrazem wyczekiwania, a Jefferson znowu zadał sobie pytanie, czy ona tylko udaje spokój, bo jest w głębi duszy nie mniej poruszona tym, co się między nimi dzieje, niż on.

- To ja powinienem podjąć inicjatywę - zapowiedział.

Co za czarująco staroświeckie maniery, przemknęło Sylvie przez myśl. Zachowuje się nie jak mieszkaniec współczesnego Bostonu, ale dawny dżentelmen z Południa.

- N o wiesz, dzisiaj mężczyzna nie musi przejmować inicjatywy.

- Może inni tak uważają, ale moim zdaniem pewnych rzeczy lepiej nie zmieniać - odparł, zbliżając wargi do jej ust.

Nagle wszystko stało się jasne. Nie, to nie było złudzenie. Drzenie, w jakie wprawił ją pierwszy pocałunek na parkiecie, nie było wynikiem podniecenia tańcem. To Jefferson tak na nią działał niemal od pierwszej chwili.

Niewątpliwie należał do typu powściągliwych mężczyzn, którzy nie obnoszą się ze swoją siłą. Przypominał bohatera jakiegoś dawnego filmu, który wjeżdża spokojnie do miasteczka, starając się nie wchodzić nikomu w drogę, dopóki okoliczności nie zmuszą go do podjęcia inicjatywy, ale z chwilą, gdy zacznie działać, nikt nie potrafi go pokonać. Nie ulega wątpliwości, że Jefferson zdecydował się przystąpić do działania.

Sylvie zakręciło się w głowie. Słodka niemoc ogarnęła jej ciało. Zarzuciwszy mu ręce na szyję, odwzajemniła pocałunek. Podkpiwała sobie w duchu z jego ascezy, a przecież sama od paru lat odgrywała rolę niemal dziewiczej westalki. Zajęta' wychowywaniem Daisy Rose, prowadzeniem galerii i nawiązywaniem kontaktów z miejscowymi artystami, nie miała czasu na bodaj przelotny romans, nie mówiąc już o bardziej trwałym związku.

Bo Jefferson był z całą pewnością mężczyzną nasuwającym myśl o trwałym związku.

Poznała to choćby po tym, w jaki sposób mówił o swej córce albo pytał ją o Daisy

Rose. Był mężczyzną, którego nie przerażają słowa "na zawsze". Człowiekiem, na którym można polegać.

Sylvie już po chwili płonęła zmysłowym ogniem, którego płomienie wznosiły się coraz wyżej. Jak na spokojnego i poważnego mężczyznę Jefferson zdumiewająco dobrze całował. Jego pocałunki momentalnie rozbudziły i wydobyły na jaw wszystkie pragnienia i namiętności, które spoczywały w stanie uśpienia od chwili, gdy została matką i poświęciła się wyłącznie dziecku.

Rozpierała ją radość. Nadal jednak nie odstępowała jej trema. Pocałunki stawały się coraz gorętsze, gwałtowniejsze. Kusily, drażniły, obiecywały. Kiedy pochyliwszy głowę, zaczął okrywać pocałunkami jej szyję i dekolt, Sylvie była gotowa na wszystko.

A potem palce Jeffersona delikatnie zsunęły suknię z jej ramion. Musiała zmobilizować wszystkie siły, by drzeniem ciała nie pokazać, jak bardzo czeka na to, co ma nadejść. A jednocześnie sama nie rozumiała, dlaczego czuła się, jakby miał to być jej pierwszy raz. Zaczęła gorączkowo zdejmować z niego ubranie. Uwolniwszy go z marynarki, trzęsącymi się z przejęcia palcami rozpięła guziki koszuli i wyciągnęła ją ze spodni, po czym zabrała się za dolne części odzieży. Miała rację, konserwatywnie uszyty garnitur nie oddawał mu sprawiedliwości. Jefferson miał wspaniałe, niemal atletyczne ciało. Teraz pragnęła ponad wszystko poczuć dotyk tego ciała. I pieszczotę jego rąk, biorących w posiadanie to, co z góry mu oddała.

Jej oddech stał się głośniejszy. To zdumiewa ją, że taki na pozór zwykły dźwięk potrafi rozpalic pożądanie do czerwoności, pomyślał Jefferson. Zarazem ogarnęły go dwa sprzeczne uczucia - miał wrażenie, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, a zarazem czuł w sobie straszliwą siłę. Niemal jednym ruchem zerwał z niej bieliznę.

Parę godzin wcześniej nie przyszłoby mu do głowy, że jego randka z Sylvie może się skończyć w ten sposób. A teraz nie myślał o niczym innym. Z nieodpartym pragnieniem wzięcia jej w posiadanie łączyło się pragnienie dania jej rozkoszy. Te dwa pragnienia stanowiły dla Jeffersona nierozdzielalną całość. Tylko ich suma mogła mu dać prawdziwą satysfakcję. Taką już miał psychiczną konstrukcję. Kiedy jeszcze Donna żyła, kochając się z nią, nigdy, nawet w chwilach największego zapamiętania, nie zapominał o jej przyjemności.

Jednakże od tamtego czasu na świecie wiele się zmieniło. Zapanowały całkiem inne obyczaje. Jefferson podejrzewał, iż kobieta, która tak bardzo rozpałała jego zmysły, może mieć w sprawach miłości o wiele większe doświadczenie niż on. Czy nie sprawi jej zawodu?

Było już jednak za późno na tego rodzaju wątpliwości. Pieszcząc jej ciało, zdał się całkowicie na

własny instynkt i intuicję. Delikatnie muskał jej ciało, odkrywając kolejno każde jego wgłębienie i każdą wypukłość. Mimo tej subtelności, a może właśnie dzięki niej, każde dotknięcie jego palców wzmagało siłę wzajemnego pożądania. Z obawy, by przedwcześnie nie stracić nad sobą panowania, Jefferson ostrożnie położył Sylvie na kanapie.

- Ojej!! - syknęła cicho, a on znieruchomiał, spoglądając na nią z niepokojem. - Ziębi. Skórzane obicie - mruknęła.

- Zaraz coś na to poradzimy - odparł z uśmiechem, obejmując ją szczelnie ramionami.

Kiedy wyprężyła się i cicho jęknęła, Jeffersonowi krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Rozsunął jej uda, a ona opasała nogami jego biodra. Czuł straszliwe podniecenie, a zarazem dziwny spokój, pogodzenie z samym sobą. Wszystkie jego zmysły były zajęte jednym - odbieraniem i przeżywaniem jedności z Sylvie. Przestał myśleć, niczego już nie oceniał, nie zastanawiał się, czy odebrało mu rozum. Rozum może nawet stracił, ale w zamian zyskał chyba coś jeszcze bardziej cennego.

Kochając się, ani przez moment nie zapominał o niej. Powściągał własną żądzę, każdy swój ruch uzależniał od jej reakcji. A kiedy oboje w tej samej chwili wspięli się na szczyt rozkoszy, Sylvie wygięła się w łuk i wykrzyknęła jego imię. Opadłszy obok niej na kanapę, Jefferson objął ją i długo tulił w ramionach, jakby chciał na zawsze zapamiętać moment, kiedy znowu stał się mężczyzną.

Będzie do tego tęsknił. Będzie mu brakowało jej bliskości, narastającego podniecenia, cielesnego zespolenia i tego wielkiego, ostatecznego wyzwolenia.

Starał się ten moment jak najbardziej przedłużyć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sylvie uniosła głowę znad kanapy i jej ogniste rude włosy omiotły tors Jeffersona. On dostał z wrażenia gęsiej skórki i przeszło go nerwowe drżenie. Rozsądek podpowiadał, że powinien przeciwstawić się tej nowej inwazji, ale czuł jednocześnie, iż nie ma już siły się bronić. Został zdecydowanie pokonany.

O rany! Nic innego nie przychodziło wygadnemu prawnikowi do głowy na określenie tego, co właśnie przeżył.

O rany! Uśmiechając się w duchu do swoich myśli, delikatnie przeczesał palcami kaskadę rudych włosów. Ich jedwabisty dotyk rozbudził na nowo ledwo zaspokojoną żądzę.

Nie był nowicjuszem w dziedzinie miłości, a jednak doznawał dzisiaj całkiem nowych przeżyć. Tymczasem Sylvie, nieświadoma tego, co się z nim dzieje, podniosła nagle głowę i nadstawiła uszu. Miała wrażenie, że słyszy dochodzący z galerii szmer.

- Co się dzieje? - zapytał Jefferson, przesuając wskazującym palcem po jej dolnej wardze.

- Słyszałeś jakiś hałas?

Posłusznie nadstawił uszu, ale usłyszał tylko ... jej oddech. Milcząco pokręcił głową.

Owszem, z ulicy dochodził stłumiony gwar, ale w galerii panowała głucha cisza. Z rozbawieniem pomyślał, iż na przekór otaczającej go martwocie on sam czuje się żywy jak nigdy dotąd.

- Chyba to moje serce tak głośno bije - zażartował.

Jego odpowiedź rozbawiła ją i sprawiła, że zrobiło się jej ciepło na sercu. Od dawna nie doznała takiego uczucia. W jednej chwili zapomniała o nieokreślonym hałasie, który zakłócił przed chwilą jej spokój. Coś mi się wydawało, uznała. Tak jak parę sekund temu wydało jej się, że ziemia nagle się poruszyła.

- Pewnie masz rację - odrzekła, przykładając dłoń do jego piersi. Czują pod palcami gwałtowne bicie jego serca. Gwałtowne, a zarazem cudownie uspokajające. Sylvie oparła głowę na dłoni i popatrzyła mu w oczy. - Przysłowia nie kłamią - dodała nieoczekiwanie.

Jefferson przeżywał wiele różnych doznań równocześnie, próbował je nazwać, określić i ocenić, chociaż zarazem pragnął się w nich biernie zatopić.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Mówią, że cicha woda brzegi rwie - odparła. I pomyślała: Dziękuję wam, moje siostry! - Kiedy cię poznałam, nie przypuszczałam ... - Urwała, nie kończąc zdania. Była pewna, że Jefferson zrozumie. - Masz wiele ukrytych talentów - dodała z figlarnym uśmiechem.

Przyszło mu do głowy, że o niektóre z nich sam nigdy by się nie podejrzewał. Dzisiejszy wieczór był dla niego samego największą niespodzianką.

Objął ją ramionami i najdelikatniej jak potrafił przewrócił się na plecy, pociągając ją za sobą tak, że znalazła się nad nim. W oczach Sylvie dostrzegł błysk zadowolenia i niemal natychmiast poczuł, że i jej udziela się przebiegająca jego ciało fala rozbudzonego na nowo podniecenia. Dzięki niej stał się ponownie niezniszczalnym, wiecznie młodym mężczyzną.

- No, no - mruknęła z podziwem, składając na jego ustach namiętny pocałunek.

W parę chwil później znalazła się ponownie w świecie niesamowitych doznań, które dzięki niemu uczyła się poznawać. W szelka rzeczywistość poza tym, co działo się między nimi, prze-

stała istnieć.

Dwa piętra wyżej, w przeciwległym skrzydle hotelu, Lucowi w tym samym czasie serce waliło tak gwałtownie, jakby miało lada, chwila wyskoczyć z piersi. Z zupełnie innego powodu. Oparłszy się ciężko plecami o drzwi, wpatrywał się niewidzącymi oczyma w nieprzeniknioną ciemność. Na wszelki wypadek nie zapalił latarki. Odzianymi w rękawiczki rękami przyciskał do siebie kurczowo prostokątny przedmiot. Podejrzewał, iż w tej chwili nie byłby w stanie wypuścić go z rąk, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Miał uczucie, jakby jego ręce przyrosły do wykradzonego obrazu.

Ogłuszający łomot własnego serca był jedynym dźwiękiem docierającym do jego uszu. Oddychał głęboko, na próżno usiłując się uspokoić. Nadal nie rozumiał, jakim cudem nie został przyłapany na gorącym uczynku. Jego plan był niesłychanie ryzykowny i na dobrą sprawę nie miał szans powodzenia. A jednak się udało. Jakimś cudem zdołał nie tylko wkraść się do galerii, co było stosunkowo łatwe, ale także zdjąć obraz ze ściany i przedostać się z nim do swego pokoju, nie napotykając nikogo po drodze.

Kapryśne szczęście, które odwróciło się od ojca w ostatnich latach życia, postanowiło widocznie uśmiechnąć się do niego. Musiało mu towarzyszyć podczas dzisiejszej eskapady, bo inaczej nie wyszedłby z niej cało.

Luc odwrócił obraz ku sobie, usiłując mu się przyjrzeć w padającym z okna bladym świetle . świtu. W pierwszej chwili nie był w stanie niczego dojrzeć. Niespokojne myśli mąciły mu wzrok. Weź się w garść, do cholery! - mruknął.

Rozejrzał się po pokoju. Pęknięta rura zniszczyła dywan, więc pomieszczenie zostanie puste do poniedziałku, kiedy przyjdą położyć nową wykładzinę. Ale gdzie ukryje obraz?

Czuł się rozdarty. Nie podobało mu się to, co zrobił. Nie mógł się dłużej uważać za anonimowego mściciela, wymierzającego bezosobowym siłom karę za wyrządzone ojcu krzywdy. Marchandowie stanowią rodzinę - rodzinę ojca, a więc i jego własną. Kradnąc obraz, wyrządza krzywdę kobietom, które zdążył nie tylko poznać, ale i polubić. A to, że przez niego mogą stracić hotel, nie przywróci ojcu życia.

Ręce zaczęły mu drżeć. Postąpił źle. Samo patrzenie na skradziony obraz sprawiało mu przykrość. Powinien odnieść go na miejsce. Uchylił drzwi i wyjrzał, wstrzymując oddech. Szybko jednak zamknął je z powrotem, usłyszawszy dochodzące z holu odgłosy rozmowy. Szczęście, które

sprzyjało mu do tej pory, może się odwrócić. Kamery monitorujące korytarze nie działają z braku prądu, ale co będzie, jeżeli zostanie nagle włączony? Przez cały czas pobytu w galerii towarzyszyło mu niejasne wrażenie, że w małym gabinecie ktoś jest, ale uznał to wytwór własnej imaginacji. A jeśli dobrze słyszał i zostanie przyłapany?

Nie powinien był podejmować się tak niebezpiecznego zadania. Ojciec był ryzykantem i wiadomo, jak skończył. Trzeba to jeszcze raz na spokojnie rozważyć.

Na razie jednak musi ukryć obraz. Ma czas do poniedziałku na zastanowienie się, co z nim zrobić.

Sylvie obudziła się z rozmarzonym wyrazem twarzy. Na podłodze ujrzała smugę światła przedostającego się z galerii do małego gabinetu przez uchylone drzwi.

O Boże! To już rano! Uświadomiwszy sobie, że noc minęła, poderwała się gwałtownie i siadła na kanapie, potrącając łokciem leżącego obok Jeffersona.

- Och! - zawołała. - Co ty tu robisz?

- Przyglądałem ci się, kiedy spałaś - odparł pogodnie, pocierając uderzony podbródek.

Sylvie przetarła oczy, usiłując wrócić do przytomności.

- Niby dlaczego? - spytała.

- Bo miałem ochotę - odparł z uśmiechem. - I ponieważ po raz pierwszy od wielu lat stwierdziłem po obudzeniu, że nie jestem sam.

W jednej chwili wróciło rozkoszne wspomnienie wczorajszego wieczoru. Zapragnęła ułożyć się obok niego i wdać w czułą pogawędkę. A potem może kochać się z nim od nowa. Tak niewątpliwie postąpiłaby dawna, beztroska Sylvie. Dzisiaj jednak nie mogła sobie na to pozwolić. Była nie tylko matką, ale i poważną osobą, odpowiedzialną za prowadzenie galerii, która miała ponadto w planie założenie w mieście własnej, niezależnej galerii. W tym nowym wcieleniu nie mogła sobie pozwolić na kuszące, lecz pozbawione przyszłości miłosne igraszki w towarzystwie nowego kochanka.

Wyciągnęła rękę i czule pogłaskała go po twarzy. Nie ma rady, trzeba się zbierać. W hotelu zaraz zacznie się usuwanie trudnych do przewidzenia skutków wczorajszej awarii. Będą jej potrzebować, lada chwila zaczną jej szukać. Nie powinni jej przyłapać w tym stanie.

- Muszę wracać do swoich zajęć - powiedziała z westchnieniem, starając się opanować uczucie żalu.

Jefferson przycisnął jej dłoń do swojej twarzy, po czym ucałował jej wnętrze. Wiedział, że nie

może Sylvie zatrzymywać. Nikt lepiej od niego nie wiedział, co znaczy poczucie obowiązku. Ze smutkiem pomyślał, iż na rzecz obowiązku musi wyrzec się szczęścia, które spłynęło na niego w tak nieoczekiwany sposób. .

- Wiem - szepnął czule, nie puszczając jej dłoni.

- Nie utrudniaj mi - poprosiła drżącym głosem.

- Przepraszam. - Widziała w jego oczach, jak niechętnie uwalnia jej dłoń. Pragnął tego samego. Zmierzyła mu włosy.

- Która godzina?

Jefferson spojrział na zegarek. Była to jedyna rzecz, której nie zdążył wczoraj z siebie zdjąć.

- Za pięć siódma.

O mój Boże! -przestraszyła się. Galerię otwierano wprawdzie dopiero o dziewiątej, lecz Charlotte zazwyczaj zjawia się w biurze już o siódmej. A do tego ostatnią noc zapewne spędziła w hotelu. Co sobie pomyśli, jeśli przyjdzie jej do głowy sprawdzić, co się dzieje w galerii? Nie będzie zbudowana widokiem pary śpiącej na kanapie, chociaż sama umówiła Sylvie z Jeffersonem.

Sylvie w ostatnich latach robiła, co mogła, aby matka i siostry zapomniały ojej lekkomyślnej przeszłości. Ciężko pracowała na opinię osoby rozsądnej i odpowiedzialnej, na której można polegać. Gdyby się teraz wydało, że w chwili poważnego zagrożenia spędziła noc, kochając się z ledwo poznanym mężczyzną, zamiast pilnować galerii, nie starczyłoby jej życia na odzyskanie dobrej reputacji.

Wygramoliwszy się z wąskiej kanapy, pośpiesznie zaczęła się ubierać. Jefferson nie mógł odebrać od niej wzroku. Czuł kolejny przyływ podniecenia. Ile razy się kochali? Trzy? A może cztery? Nigdy nie przypuszczał, że jest zdolny do takich wyczynów.

- Mogę ci pomóc? - spytał.

. Sylvie parsknęła śmiechem. Ma minę lisa syjącego ziarno, aby zwabić kurczątko, przemknęło jej przez myśl.

- O nie, dziękuję, twoja pomoc miałaby zupełnie odwrotny skutek.

- Chyba masz rację - przyznał.

Wstał i też zaczął się ubierać. Wkładał marynarkę, kiedy gotowa do wyjścia Sylvie wymknęła się z gabinetu, chcąc jak najszybciej dokonać obchodu galerii.

Nagle usłyszał jej krzyk i wybiegł za nią.

- Co się stało? - zapytał, rozglądając się gorączkowo po rozległym pomieszczeniu. W galerii nie dostrzegł nikogo obcego, a dzieła sztuki wyglądały na pozór tak jak wczoraj.

. Sylvie nie od razu odzyskała głos. Była wstrząśnięta, wściekła i załamana.

- Zniknął - wyszeptała przez ściśnięte gardło.

- Co zniknęło? - powiedział celowo opanowanym tonem, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Obraz Wyetha - wyjaśniła łamiącym się głosem. Jak mogła do tego dopuścić? Kiedy i jak mogło się to stać? Jak wytłumaczy się babce? Co matka na to powie? - Zniknął obraz Wyetha - powtórzyła bezradnie, wskazując puste miejsce na ścianie. - Obraz, który babka ... - Głos na chwilę odmówił jej posłuszeństwa. - Bezcenne płótno Wyetha, własność mojej babki.' Zniknął. Nie ma go. - Jak to się mogło stać? W dodatku w czasie, kiedy miała go pilnować. - Wczoraj wisiał tutaj, a teraz go nie ma.

Nagle zmarszczyła brwi, jakby nowa myśl przyszła jej do głowy.

- Pamiętasz, jak w pewnej chwili w nocy powiedziałam, że chyba słyszę jakieś szmery? To musieli być złodzieje.

Jefferson powątpiewająco pokręcił głową.

- Przecież światło zgasło, zanim wróciłaś do hotelu - przypomniał jej rzeczowo. - I wobec tego należy przypuszczać, że obraz skradziono pod twoją nieobecność. A jeśli tak, to nie masz powodu, żeby się obwiniać.

Dawna lekkomyślna Sylvie chwyciłaby się ochno takiego usprawiedliwienia. Dzisiaj uznała je za zbyt łatwe. Wysiliła pamięć, próbując uświadomić sobie, czy obraz Wyetha wisiał na miejscu, kiedy przed zainstalowaniem się na noc w gabinecie dokonała pobieżnego przeglądu galerii. Niewiele jednak pamiętała, bo, po pierwsze, było ciemno, a poza tym w tamtym momencie myślała nie tyle o dziełach sztuki, co o Jeffersonie, który coraz bardziej ją pociągał.

- Zjrzałam do galerii, ale nie jestem w stanie powiedzieć, czy obraz jeszcze wtedy wisiał, czy nie - wyznała. - Pamiętałam, że dwa sąsiednie obrazy zostały zdjęte, bo pożyczyłam je Maddy, więc bardzo możliwe, iż nie spojrzałam na tę część ściany. Mogło go już nie być, ale nie jestem tego pewna. - Własne tłumaczenie wydało jej się mało przekonujące. A jak zareagują na nie ~ama i babka?

Jefferson zastanowił się przez chwilę, po czym zapytał:

- Czy chcesz, żebym zadzwonił na policję?

- Och nie, za nic w świecie! - zawołała, lecz natychmiast zdała sobie sprawę z brzmiącej w jej głosie paniki i znacznie spokojniej dodała: - T o znaczy, nie spieszmy się z wzywaniem policji.

No bo gdyby się na przykład okazało, że ktoś z hotelowych gości ... - Sytuacja wydawała się coraz bardziej rozpaczliwa. - Może uda się sprawę wyjaśnić po cichu. Skandal mógłby zaszkodzić opinii hotelu, zwłaszcza teraz.

- Dlaczego właśnie teraz?

Sylvie zamachała rękami. Już i tak za wiele powiedziała.

- Po prostu wołałabym na razie nie robić szumu - odparła wymijająco.

Jednakże Jefferson umiał czytać między wierszami.

- Czy mam przez to rozumieć, że nikt nie powinien się dowiedzieć o zniknięciu obrazu?

Popatrzyła na niego z wdzięcznością. O nic nie pytając, odgadł, jakie to dla niej ważne, żeby samodzielnie załatwić sprawę.

- Sylvie znowu nawaliła - mruknęła z krzywym uśmiechem.

- Nadal nie wiemy, czy to ty nie dopilnowałaś obrazu - zwrócił jej uwagę. Gorąco pragnął ją uspokoić, otoczyć opieką, ułatwić wydobyć się z kłopotu. - Jeśli się zgodzisz, mógłbym powęszyć na własną rękę. - Mógłby skorzystać z pomocy mieszkającego w Nowym Orleanie zaprzyjaźnionego informatora, który czasami oddawał mu usługi w zawodowych sprawach.

Jego propozycja zdumiała Sylvie. Mimo rozpaczy, popatrzyła na niego z lekkim rozbawieniem.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś prywatnym detektywem?

Jefferson wiedział, że umie nie tylko wyciągać logiczne wnioski, ale ponadto posiada szczególną umiejętność zdobywania informacji bez zwracania na siebie uwagi, ponieważ jego wygląd nie budzi podejrzeń. Była to cecha na pozór mało atrakcyjna, lecz na pewno bardzo użyteczna.

- Widzisz, ludzie łatwo rozgadują się w mojej obecności - wyjaśnił. - Sądzą, że jestem nieszkodliwy albo mało uważny.

Kolejny raz ją zadziwił. Nie spotkała jeszcze mężczyzny, który nie tylko nie lubił się chwalić, ale wręcz pomniejszał swoje osobiste walory, przedstawiając siebie jako pozbawionego wyrazistości przeciętniaka. Co było dalekie od prawdy. Był przystojny i inteligentny, potrafił okazać kobiecie prawdziwe zainteresowanie i traktował ją z głębokim szacunkiem.

- Czy często ludzie nie potrafią cię docenić? Podobał mu się sposób, w jaki sformułowała to pytanie. Prawdę mówiąc, nie umiałby wskazać niczego w niej, co mu się nie podoba. Zdając sobie sprawę, iż to, co się między nimi wydarzyło, nie ma przyszłości, pragnął z całego serca pomóc jej w obecnym kłopotcie.

- Jeśli mam ci się na coś przydać, to powinienem przede wszystkim pójść do pokoju i zmienić ubranie - zauważył z właściwą sobie trzeźwością umysłu.

- Oczywiście - odparła. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nadal ma na sobie wieczorową suknię. I że musi jak najszybciej zadzwonić do domu, a rozmowa nie będzie łatwa, bo będzie musiała odpowiadać na niewygodne pytania. - O mój Boże, ja też powinnam się przebrać.

Pewnie obawia się reakcji matki na nieobecność w domu. Dla rodziców dziecko pozostaje dzieckiem bez względu na wiek."

- Nie denerwuj się. Przecież zawiadomiłaś matkę i babkę, że zostajesz na noc w hotelu.

- Tak, ale nie po to - odparła z błyskiem w oku.

- Pamiętaj o awarii - szepnął jej do ucha. - Na pewno minie trochę czasu, zanim reporterzy telewizyjni pozbierają się na tyle, żeby nadać wiadomość o tym, co się działo minionej nocy w pokoiku przy galerii.

Sylvie roześmiała się po raz pierwszy od odkrycia kradzieży obrazu. Niemniej wychodziła z galerii z ciężkim sercem. Zamykając za sobą drzwi na klucz, pomyślała z goryczą, że jej

ostrożność jest mocno spóźniona. Obraz Wyetha był najcenniejszym obiektem w galerii. Co prawda złodzieje mogą jeszcze wrócić, a pozostałe dzieła sztuki miejscowych artystów też mają swoją wartość.

- Zadzwoń do ciebie - przyrzekł Jefferson, idąc obok niej korytarzem, a gdy Sylvie rzuciła mu pytające spojrzenie, dodał: - Dam ci znać, jak tylko uda mi się czegoś dowiedzieć. - Chciał jej przypomnieć o swojej gotowości niesienia pomocy w odnalezieniu obrazu. O tym, że chce się z nią zobaczyć po wspólnie spędzonej nocy, wołał na razie nie wspominać.

- Dzięki - rzekła.

W jej głowie kotłowały się nieuporządkowane myśli, ale na żadnej z nich nie była w stanie się skupić. Zbyt wiele rzeczy zdarzyło się w ciągu minionych kilkunastu godzin. Musi się uspokoić i wszystko porządnie rozważyć.

Z tym postanowieniem ruszyła w kierunku wyjścia, lecz po paru krokach zawróciła. Ku niewysłowionemu zdumieniu Jeffersona chwyciła go obiema rękami za kłapy, przyciągnęła do siebie i mocno pocałowała w usta.

Po sekundzie odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem poszła w swoją stronę. Osłupiały Jefferson długo odprowadzał ją wzrokiem. W pierwszym momencie chciał ją dogonić, ale po namyśle uznał, iż lepiej będzie dać jej czas na odzyskanie równowagi ducha. Sobie również.

Miniona noc wydała mu się epizodem jakby Wyjętym z książki cudzego życia. Czymś, co mogło się zdarzyć Blake'owi, ale nie jemu.

Istnienie Blake'a kompletnie wyleciało mu z głowy. Nie miał pojęcia, co w nocy robił jego przyjaciel, ale znając go, mógł przypuszczać, iż Blake w sobie właściwy sposób wykorzystał nieoczekiwaną awarię.

A on sam?

Nie, doszedł do wniosku. To, co robił tej nocy, nie miało nic wspólnego z wykorzystaniem nadarzającej się okazji. Nazwałby to raczej powrotem do życia. Od wielu lat nie odczuwał takiego przyływu radości i energii.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Sylvie, co się z tobą dzieje? Jesteś jakaś rozkojarzona - mówiła Anne, idąc za córką do jej sypialni. Sylvie wpadła do domu jak burza, wołając po drodze, że po wzięciu prysznic musi wracać do hotelu. - Jak tam w pracy?

Matka i wnuczka Anne nadal spały w drugim pokoju głębokim snem osób bardzo młodych albo bardzo starych. Ona jedna wstała wcześniej i krzątając się w kuchni, usłyszała szcęk otwieranych drzwi. Wyraz malujący się na twarzy córki natychmiast ją zaniepokoił, a niepokój jeszcze się wzmógł, kiedy Sylvie minęła ją bez słowa i nie odpowiadając na pytanie matki, pobiegła do swego pokoju.

- Nie martw się, wszystko powoli wraca do normy - uspokoiła matkę, wyciągając z szafy bluzkę i spódnice, a z komody bieliznę, po czym wpadła do łazienki.

Wychowywana przez matkę w atmosferze wolnej od pruderii, Sylvie bez skrupowania rozebrała się i wskoczyła pod prysznic, nie zamykając za sobą drzwi.

Anne w zamyśleniu pozbierała rozrzucone części garderoby córki. Sylvie zachowuje się co najmniej dziwnie. Czyżby w hotelu stało się coś naprawdę złego? Jakby ostatnimi czasy miały za mało kłopotów!

Wyjmując czysty ręcznik i umieszczając go w zasięgu ręki Sylvie, spojrzała ponownie na zebrane z podłogi rzeczy.

- Córeczko?

- Tak, mam? - zawołała Sylvie, przekrzykując szum wody.

- Nie widzę twojej bielizny.

Sylvie zdrętwiała. Moja bielizna, wyszeptła do siebie, zamykając oczy. Tak się spieszyła, że ubierając się w gabinecie przy galerii, na śmierć zapomniała o majtkach i biustonoszu. Do czego nie może przyznać się matce, która zaraz by zapytała, dlaczego spała bez bielizny.

Postanowiła wykręcić się sianem.

- Wczoraj wieczorem postanowiłam być bezwstydną i nie włożyłam na przyjęcie bielizny - oświadczyła.

- O!

Sylvie natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Matki nie powinny zadawać córkom takich intymnych pytań, pomyślała z irytacją. Zaraz jednak wyobraziła sobie, jak by się czuła, gdyby Daisy Rose przestała ją w przyszłości dopuszczać do swoich sekretów, i zrobiło jej się żal matki.

Wycierając się, spróbowała spojrzeć na sytuację od jej strony. Nie było to łatwe. Musiałaby

zacząć od wyjaśniania matce wielu rzeczy, o których nigdy jej dotąd nie mówiła.

- Przez tę wczorajszą awarię wszystko się okropnie pokomplikowało.

Było to stwierdzenie, które niczego nie wyjaśniało, ale nie było też kłamstwem. Na więcej nie umiała się w tej chwili zdobyć.

I tak miała szczęście, że uniknęła przesłuchania ze strony głównego inkwizytora, jakim potrafiła być jej babka. A ta miałaby dzisiaj pole do popisu. Wzięłaby wnuczkę w krzyżowy ogień pytań i mogłaby nawet wydobyć przyznanie się do zniknięcia bezcennego obrazu. A tego Sylvie pragnęła uniknąć za wszelką cenę.

Szybko się ubrała i uczesała, prawie nie patrząc w lustro. Trzeba przede wszystkim sprawdzić, czy mimo awarii któraś z zainstalowanych w hotelowych korytarzach kamer nie nagrała czegoś podejrzanego. Nawet najmniej szansa wskazówka mogłaby pomóc w odkryciu prawdy. Wiedziała, jak trzeba z ludźmi rozmawiać, by rozwiązać im języki, albo postraszyć i zmusić do przyznania się. Winowajca nie musi koniecznie iść do więzienia. Chodzi przede wszystkim o odzyskanie bezcennego Wyetha.

Bez angażowania policji.

- Później porozmawiamy, mamó. Dam ci znać, gdyby działo się coś szczególnego - rzekła obłudnie, całując matkę w policzek. - Nie wiem, jak ci dziękować za opiekę nad Daisy Rose. - Zajrzawszy przelotnie do pokoju córeczki, wybiegła z domu i wskoczyła do samochodu.

Dojechawszy na miejsce, pobiegła do hotelu, zostawiając portierowi troskę o zaparkowanie samochodu. Po wejściu do holu skinęła głową Lucowi, który jak zwykle rezydował w recepcji. Myślała ze strachem o nieuchronnej rozmowie z Charlotte na temat kradzieży obrazu, ale po wizycie w domu i zmyciu z siebie wspomnień minionej nocy nabrała nieco pewności siebie i była gotowa stawić siostrze czoło.

Charlotte rozmawiała właśnie z grupą ludzi, którzy, sądząc po strojach, byli bawiącymi w hotelu turystami. Rozmowa najwyraźniej przebiegała w miłej atmosferze, co dodało Sylvie otuchy.

Po rozstaniu się z gośćmi Charlotte rozejrzała się i dostrzegła Sylvie. Ich spojrzenia spotkały się. Jednakże idąc siostrze na spotkanie, Sylvie zauważyła, że twarz Charlotte stopniowo posępnieje. Serce zamarło jej w piersiach. Czyżby Charlotte odkryła zniknięcie obrazu? Szukała jej w galerii i zauważyła pustą ścianę? I domyśla się, jakim zabawom oddawała się jej lekkomyślna siostra, kiedy złodzieje plądrowali galerię?

Zaczęła gorączkowo układać w głowie usprawiedliwienia, ale natychmiast się zreflektowała. Nie, lepiej nic na razie nie mówić, niech siostra pierwsza przedstawi swoją wersję. Wiedziała z doświadczenia, że w podobnych sytuacjach lepiej dać adwersarzowi możliwość wygadania się i wyładowania pretensji. A przy okazji okaże się, co Charlotte naprawdę wie albo czego się domyśla.

- Witaj, siostrzyczko! - zawołała najpogodniej, jak tylko potrafiła. - Masz minę, jakbyś wybierała się na własny pogrzeb. Na pewno nie jest aż tak źle, jak ci się wydaje. Hotel już nieraz bywał w tarapatkach, więc i tym razem damy sobie radę - dodała, mając na myśli szkody, jakie ich interesom wyrządził huragan. - Jakoś z tego wybrniemy. - Zdawała sobie sprawę, że jest to tylko pusty frazes, ale miała nadzieję przy jego pomocy poprawić siostrze humor.

Jednakże w spojrzeniu Charlotte nie było nagany ani potępienia. Sylvie odniosła wrażenie, że siostra patrzy na nią ze współczuciem. To nie miało sensu.

Słowa Sylvie zbiły Charlotte z tropu. Nadal jednak zachowywała się, jakby chciała dodać siostrze otuchy.

- Paru gości skarżyło się na drobne kradzieże w trakcie wczorajszego zamieszania. Ale powiem ochronie, żeby zbadała każdy przypadek, i jestem pewna, że cwaniacy usiłujący wykorzystać okoliczności ...

- Świetny pomysł - z nieco przesadnym entuzjazmem wtrąciła Sylvie. Wiedziała, że niezmordowana Charlotte przeprowadzi wszystko, co zamierzyła.

- Posłuchaj, Sylvie ...

No tak, teraz przejdzie do rzeczy. Zaczną się wyrzuty i oskarżenia. Zawiodłam się na tobie, i tak dalej. Nie zniesie tego, musi się bronić.

- Nic nie mów, sama ci wszystko wyjaśnię - zawołała.

- Co chcesz mi wyjaśnić? - zdziwiła się Charlotte.

Sylvie zreflektowała się. Czyżby każda z nich miała co innego na myśli? Może nie trzeba się spieszyć z samooskarżaniem.

- Nie, ty zaczęłaś pierwsza.

Na twarz Charlotte wrócił wyraz współczucia i zakłopotania. Wzięła głęboki oddech, po czym oznajmiła:

- On tutaj jest.

Sylvie nadal nie rozumiała, o co siostrze chodzi.

- Kto? - spytała.

- Shane - rzuciła Charlotte takim tonem, jakby imię niecnego ojca Daisy Rose parzyło jej język. Mężczyznę, który zostawił jej siostrę, kazać jej samotnie wychowywać dziecko, uważała za ostatniego łajdaka. Gdyby wiedziała wcześniej, że zamierza zatrzymać się w ich hotelu, odwołałaby rezerwację pod pierwszym-lepszym pretekstem. - Jest w hotelu i pytał o ciebie.

Sylvie w pierwszej chwili odjęło mowę. Natychmiast jednak przypomniała sobie o jego telefonach. Powinna była oddzwonić. Gdyby to zrobiła, być może dałoby się uniknąć jego przyjazdu.

- Shane? - powtórzyła.

- Przecież mówię. Tak, Shane, ojciec Daisy Rose.

Sylvie ze zmęczenia i zakłopotania puściły nerwy.

- Nie musisz mi tłumaczyć, wiem, o kim mówisz! Może parę lat temu byłam naiwna i szalona, ale jeszcze nie zwariowałam. Powiedział, czego ode mnie chce?

Zanim jednak Charlotte zdążyła zareagować, Sylvie poczuła, że za jej plecami czyjeś ręce obejmują ją w pasie i podnoszą do góry. A zaraz potem usłyszała pytanie:

- Cześć, mała. Jak się masz?

Natychmiast go poznała. Ten sam zbyt intensywny zapach wody kolońskiej, ten sam udawa.:. ny brytyjski akcent. Ma do czynienia z mężczyzną, dla którego straciła kiedyś głowę, zanim po upływie trzech miesięcy nie odzyskała rozumu.

Ludzie w holu zaczęli na nich zerkać. Miała właśnie zażądać, by postawił ją na ziemi i wyjaśnił, po co pojawia się w znowu w jej życiu, kiedy spostrzegła wysiadającego z windy i kierującego się w ich stronę Jeffersona.

Od razu ją spostrzegł. A raczej ją i Shane'a. Z wyrazu jego twarzy nic nie potrafiła wyczytać, wiedziała tylko, co by sobie pomyślała, będąc na jego miejscu. Chwyliła Shane'a za rękę, usiłując wyrwać się z uścisku.

- Postaw mnie na ziemi!

Shane roześmiał się bezczelnym, gardłowym śmiechem.

- Twarda z niej lalka - oświadczył wesoło, zwracając się do Charlotte. Niemniej pozwolił jej stanąć na nogi.

Odwróciła się i rzuciła mu w twarz:

- Nie jestem lalką. Jestem kobietą. Nigdy tego nie rozumiałeś i na tym polegał twój błąd.

Kątem oka zauważyła, że Jefferson zatrzymuje się w pół drogi między windą a nimi. Szarpały nią dwa sprzeczne uczucia: chciała, by Jefferson poszedł sobie, i by został. Nade wszystko jednak nie chciała, aby odniósł wrażenie, iż łączy ją cokolwiek z tym przywiędłym gwiazdorem rocka.

Przywoławszy na usta beztroski uśmiech, pomachała mu na powitanie. Do tej pory nie miała czasu zastanowić się nad tym, co się między nimi zdarzyło. Jeśli coś naprawdę się zdarzyło. Tak

czy inaczej, sytuacja wymaga zastanowienia.

Upewniwszy się, że Jefferson nie zamierza się oddalić, Sylvie uważniej przyjrzała się Shane'owi, którego nie widziała od trzech lat. Postarzał się. Bardziej, niż można by się spodziewać. Nadal nosił długie włosy, które opadały mu na ramiona, ale były dziś usiane nitkami siwizny. Robił wrażenie człowieka, który zbyt długo błąkał się po lesie. Karygodny tryb życia, jakiemu od lat poddawał swój organizm, wycisnął na jego twarzy niezmywalne piętno. Przypominała pokrytą wybojami drogę.

Ulotniła się gdzieś jego dawna uroda, pomyślała niemal z żalem. Ale może przynajmniej nie stracił głosu.

- Co cię tu sprowadza? - zapytała mało przyjaznym tonem. - Jesteś z zespołem na tournée? - Co było wątpliwe, bo gdyby grupa Lynx znowu się odrodziła i przyjechała do Nowego Orleanu, musiałyby o tym słyszeć.

- Gdybyś odpowiadała na moje telefony, nie musiałybyś pytać, po co przyjechałem - odparł z uśmiechem, obejmując ją ramieniem. - Nie, mała, zespół to sprawaprzyszłości. Mieli o sobie zbyt wygórowane wyobrażenie. A przecież istnieli wyłącznie dzięki mnie. Nie, myślę teraz o założeniu własnego zespołu.

Jeśli któryś z członków dawnego zespołu Lynx miał o sobie zbyt wygórowane wyobrażenie, to był nim z pewnością sam Shane.

- Życzę ci powodzenia - wtrąciła, zanim zaczął narzekać na dawnych kolegów z zespołu albo opowiadać o swych planach na przyszłość. Miała dziś zbyt wiele własnych kłopotów, by wysłuchiwać jego egocentrycznego gadania.

Zrobiła ruch, chcąc odejść, lecz Shane przytrzymał ją za rękę. Zauważyła, że Jefferson wyprostował się gwałtownie, jakby szykował się do skoku. Prawdziwy obrońca uciśnionych, pomyślała. Albo król Artur skazujący Lancelota na wygnanie. Mimo woli uśmiechnęła się do

swoich myśli. O dziwo, zrobiło jej się ciepło na sercu.

Shane ma przewagę wagi i wieku, ale Jefferson jest w lepszej formie fizycznej, pomyślała. Gdyby doszło do rękoczynów, może by Shane'a nie pokonał, ale na pewno stawiłby mu czoło. Co nie znaczy, by miała ochotę oglądać bójkę między walczącymi o jej względy facetami. Był to kolejny dowód na to, jak bardzo się zmieniła.

Zachowanie Shane'a było irytujące. Pragnąc mu dobitnie pokazać, jak bardzo się myli, przysunęła się do Jeffersona i pocałowała go lekko w policzek. Wprawiała tym w osłupienie nie tylko Shane'a, ale i Charlotte.

- Przepraszam, kochanie - rzekła czule, spoglądając Jeffersonowi w oczy. - Pewnie bardzo się niecierpliwisz.

Również Jefferson nie był na to przygotowany. Sylvie zaskoczyła go w momencie, gdy z pełnym niesmaku zaciekawieniem mierzył wzrokiem naprzykrzającego się jej mężczyznę o nader dziwacznej powierzchowności. Teraz jednak, nie okazując zdziwienia, zwrócił się do Sylvie, która patrzyła mu w oczy z wyraźną prośbą.

- Owszem, trochę - odparł z wahaniem, nie mając pewności, czego Sylvie oczekuje, a zarazem pragnąc jej pomóc.

Shane stał tymczasem zdezorientowany, jakby nie wiedział, czy ma się obrazić, czy nie. Popatrzył najpierw na Sylvie, po czym, zebrawszy się w sobie, skierował na Jeffersona pełne politowania spojrzenie.

- Niezła z niej sztuka, co? - rzucił bezczelnie. Jefferson w jednej chwili poczuł do niego żywiołową niechęć. Zarazem zdał sobie sprawę, że ekscentryczny mężczyzna bardzo przypomina znanego mu z wiszącego w pokoju Bmily afisza wokalistę zespołu Lynx. A zatem ma do czynienia z ojcem dziecka Sylvie. Co ona miała w głowie, kiedy się z nim zadała?

A co on ma w głowie, pozwalając sobie żywić wobec niej gorętsze uczucia? Musi się opanować, powiedział sobie. Znowu go poniosło, co nie jest w jego stylu. Nie ma sensu sprzeczać się o czyjeś gusta, zresztą wiadomo, że młode kobiety miewają słabość do gwiazdorów rocka. Oby. tylko jego córka wykazała w tym względzie więcej rozsądku.

- Tam, skąd pochodzę - oznajmił Shane'owi z ledwo ukrywaną pogardą - nie mamy zwyczaju mówić o kobietach tak, jakby były przedmiotami, a nie ludzkimi istotami.

Sylvie zabiło serce. Jefferson stanął w obronie jej honoru! Zupełnie jakby był rycerzem bez skaży albo dawnym arystokratą z Południa! Miała ochotę ucałować go w oba policzki. Natomiast Shane'owi ze złości pociemniały oczy.

- Nie wiem, skąd dziadku pochodzisz, ale na moje oko musisz być jakimś pieprzonym sztywniakiem.

Narastające między dwoma mężczyznami napięcie nie na żarty Sylvie przstraszyło. Jefferson najwyraźniej nie zamierzał dać za wygraną, a Shane'owi nie wystarczy rozumu na to, by w porę się wycofać. Jednym ruchem znalazła się między nimi, przy czym dla zaznaczenia, po czyjej jest stronie, stanęła tuż obok Jeffersona.

- Dostyc tego, Shane! - oświadczyła. - Powinieneś być mnie uprzedzić o swoim przyjeździe. Jesteśmy w środku sezonu turystycznego. Nie mam czasu na jałowe wspomnianie przeszłości. - Miała właśnie dodać, że na tym powinni się rozstać, kiedy Shane celnym strzałem pokrzyżował jej plany.

- Próbowałem dać ci znać, ale nie raczyłaś odpowiedzieć na moje telefony. A w ogóle to przyjechałem nie po to, żeby wracać do przeszłości, tylko w sprawie Daisy Rose.

Powodowana macierzyńskim instynktem, Sylvie momentalnie poczuła się jak żołnierz gotowy w każdej chwili rzucić się do boju.

- Czego chcesz od Daisy Rose?

- Chcę ją odzyskać.

Zdanie było krótkie i proste, lecz Sylvie w pierwszej chwili nie była w stanie go zrozumieć. Brzmiało zbyt absurdalnie.

- Co takiego?

- Chcę ją odzyskać - powtórzył. Nie był przyzwyczajony do tego, by prosić albo się tłumaczyć. Przywykł uważać, że każde jego życzenie musi być natychmiast spełnione. Zirytowany, zmarszczył brwi. - Jeśli chcesz wiedzieć, to za miesiąc się żenię - dodał.

Sylvie poczuła się, jakby otrzymała silny cios. Podczas ich krótkotrwałego pożycia Shane zaklinał się od rana do nocy, że nigdy, przenigdy nie zwiąże się z kobietą na stałe, a gdyby zmienił kiedyś zamiar, to ożeni się tylko z nią. W swojej naiwności nie tylko wierzyła jego

zapewnieniom, ale uważała je za komplement. Dopiero teraz zdała sobie w pełni sprawę, że były to tylko puste słowa. Traktował ją jak idiotkę, a to bolało.

- Gratuluję - rzekła lodowatym tonem, usiłując nie pokazać, jak bardzo czuje się upokorzona.

- Dziękuję. - Shane najwyraźniej nie zauważył całkowitego braku ciepła w jej głosie. - Patty chce dziecka.

Patty. Pewnie to jego narzeczona.

- Więc czemu nie postaracie się o własne? - delikatnie zauważył Jefferson.

Shane skrzywił się.

- Kim jest ten gość? - wycodził przez zęby, nadając swym słowom rzekomo brytyjski akcent.

Sylvie z trudem utrzymywała nerwy na wodzy. Od wczorajszego wieczoru działa się naprawdę zbyt wiele. Jej wytrzymałość była na wyczerpamu.

- Skończ wreszcie z tym cholernym brytyjskim akcentem, Shane! Wszyscy wiedzą, że urodziłeś się w Nowym Jorku. A jeśli chodzi o tego pana ... - dodała, biorąc Jeffersona pod rękę - to nazywa się Jefferson Lambert i jest moim narzeczonym.

Kątem oka odnotowała, że Jefferson z absolutnym spokojem przyjął jej nieoczekiwane oświadczenie. Nie drgnęła mu nawet powieka. Stał na wysokości zadania.

Czego nie można było powiedzieć o Charlotte. Siostra dosłownie otworzyła usta.

- Sylvie! - wybąkała.

- Później z sobą pogadamy, kochanie - znaczącym tonem odpowiedziała Sylvie. A zwracając się do Shane'a, dodała, nie mogąc pohamować gniewu: - Nie wiem, co ci chodzi po głowie, ale możesz być pewien, że nigdy nie oddam ci Daisy Rose. Nie możesz po trzech latach milczenia i całkowitej obojętności na los tego dziecka wkraczać ni stąd, ni zowąd w jej życie, udając troskliwego tatusia.

Domyślała się jednak, że logicznymi argumentami nie zdoła go przekonać. Nie pomyliła się - Jest w połowie moją córką.

_ Daisy Rose nie jest kawałkiem tortu, który można podzielić na dwie połowy - odparła ostro. _ Zapomniałeś już, że wyrzekłeś się wszelkich praw do dziecka? Nie wiem, jak ty, ale ja dobrze pamiętam, co mi powiedziałeś na pożegnanie: "Radź sobie sama, życzę powodzenia". A potem, kiedy zadzwoniłam po porodzie z informacją, że masz śliczną, zdrową córeczkę, bąknąłeś "aha" i odłożyłeś słuchawkę.

Shane zrobił obrażoną minę. - Byłem młody.

- Młody? Miałeś czterdzieści lat. Nie byłeś dzieckiem.

Chyba postanowił zmienić taktykę i nadal wierzył w swój czar, bo uśmiechnął się do niej przy-
milnie, jak do ponętnej wielbicielki, która wpadła mu w oko, i czułym tonem poprosił:

- Nie bądź taka okrutna, Sylvie. Nie odmawiaj. - Poglaskał ją po ramieniu. - Patty będzie
doskonałą matką.

Sylvie cofnęła rękę.

- To postaraj się, żeby nią została - odrzekła, mierząc go lodowatym spojrzeniem.

- Ach! - westchnął. - Patty nie ma ochoty przechodzić ciąży. Za dużo kłopotu.

Trafiła kosa na kamień, pomyślała Sylvie. Shane nareszcie spotkał kobietę dorównującą mu egoi-
zmem.

- Widać umie wodzić cię za nos. Nic dziwnego, że się zakochałeś.

Zezłoszczony docinkami Sylvie, przed którymi nie umiał się bronić, Shane wyszczał:

- Ale z ciebie żmija. Zawsze taka byłaś.

- Masz ją natychmiast przeprosić! - zażądał Jefferson. Mimo że nie podniósł głosu, nie trudno
było wątpić, co się stanie, jeśli Shane nie spełni jego polecenia. W oczach Shane'a zapaliły się
złe błyski. W Ojowniczo potrząsnął swymi długimi włosami.

Sylvie po raz drugi przestraszyła się nie na żarty. Bezskutecznie próbowała odciągnąć Jeffersona
na bok.

- Proszę cię, zostaw go, nic się nie stało.

_ Owszem, stało się - odparł Jefferson, patrząc surowo na Shane'a: - Masz ją natychmiast
przeprosić.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dwaj zacietrzewieni mężczyźni stali naprzeciw siebie, mierząc jeden drugiego nieprzejednanym wzrokiem.

Sylvie wiedziała aż nazbyt dobrze, że Shane Alexander nie rozumie słowa "nie". W ciągu swej blisko dwudziestoletniej kariery przyzwyczał się uważać, iż wszyscy powinni mu ulegać. Teraz jednak instynkt samozachowawczy wziął w nim górę nad miłością własną, bo w końcu wydusił z siebie słowa mogące ująć od biedy za przeprosmy.

- Nie denerwuj się, mała, nie miałem nic złego na myśli - bąknął, starannie omijając wzrokiem Jeffersona. - Znasz mnie i moje gadanie. - Uśmiechnął się filuternie, spodziewając się, że Sylvie jeszcze dziś nie oprze się jego urokowi. - Przegadaliśmy z sobą wiele godzin.

Sylvie za dobrze знаła swego byłego kochanka, aby nie domyślić się, że robi aluzję do ich wspólnych nocy, które dziś wydawały jej się tak odległe, jakby od tamtej pory upłynęło tysiąc lat.

- To było kiedyś - odparła lekceważąco, dając mu do zrozumienia, że to, co ich łączyło, odeszło w przeszłość, do której nie ma ochoty wracać.

A wskazując mu wzrokiem hotelowe windy, dodała: - Czy nie powinieneś zająć się teraz swoją przyszłą żoną?

Jawna odprawa znowu zezłościła Shane'a, lecz ze względu na obecność upartego piernika, który zachowywał się jak jakiś średniowieczny strażnik niewieściego honoru, uznał za stosowne odpuścić. Przynajmniej na razie.

- Jeszcze o mnie usłyszysz, mała - oświadczył na odchodnym z pogroźką w głosie. - Nie bój się, znajdę na ciebie sposób.

Jefferson wprawdzie nadal nie bardzo rozumiał, co się tutaj dzieje, ani nie było dla niego jasne, jakie stosunki łączą Sylvie z Shane'em, ale jawna groźba w głosie tego ostatniego i tym razem

nie pozwoliła mu zachować milczenia.

- Radzę uważać, co pan mówi - ostrzegł podstarzałego gwiazdora.

Shane popatrzył na niego z wściekłością.

- Jeszcze się porachujemy - wycodził przez zęby, po czym wcisnął ręce w kieszenie dżinsów, odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem.

Charlotte wydała westchnienie ulgi.

- Słuchaj, Sylvie, mam nadzieję, że ten łajdak nie może ci odebrać Daisy Rose? - zwróciła się do siostry z troską w głosie.

Za dużo tego wszystkiego jak na jeden dzień.

Sylvie ze złości i zdenerwowania z trudem zbierała myśli. W dodatku na dnie jej serca czaił się strach.

- Żeby jego żoneczka miała żywą lalkę do zabawy? - wybuchła. - Po moim trupie! - Gorączkowo szukając jakiegoś ratunku, wypowiedziała pierwszą myśl, jaka przyszła jej do głowy: - Zgłoszę się do programu ochrony świadków.

- Bardzo cię przepraszam - odezwał się na to Jefferson łagodnie - ale nie zostaniesz objęta programem ochrony świadków tylko dlatego, że ojciec twojego dziecka domaga się prawa do wspólnej opieki.

Już samo określenie "wspólna opieka nad dzieckiem" brzmiało okropnie, a do tego Sylvie czuła, że Shane'owi chodzi o coś więcej. Znałajego sposób myślenia. Co za szczęście, że wróciła z córką do rodzinnego miasta, gdzie ma oparcie w rodzinie i stałą pracę. Jeszcze dwa lata temu zespół Lynx miał dosyć mocną pozycję, toteż Shane, gdyby się uparł, mógłby skutecznie dowieść w sądzie, że jest w stanie zapewnić córce byt.

Sylvie zacisnęła pięści w bezsilnej złości.

O nie, powiedziała sobie, póki ona żyje, nie dopuści do tego, by Shane uzyskał jakiegokolwiek prawa do jej dziecka.

- W takim razie znajdę powód, który sprawi, że będą musieli mnie nim objąć - oświadczyła z ponurą determinacją.

Jefferson ujął jej rękę i delikatnie rozprostował zaciśnięte w pięść palce.

- Na pewno dasz sobie radę - powiedział. A ja dołożę starań, żeby się tak stało. - Nie miał pojęcia, skąd mu się to wzięło, wiedział tylko, że jest gotów zrobić wszystko, aby jej pomóc.

Dlaczego on tak mówi? - zastanawiała się Sylvie. Skąd ma tę pewność? A może chce ją tylko uspokoić? Niemniej jego słowa dodały jej otuchy i wiary w siebie. Wszystko będzie dobrze, ma dosyć siły, żeby ...

- Mamo! Mamo!

Sylvie nie wierzyła własnym uszom. Daisy Rose jest tutaj? Odwróciwszy się w kierunku, skąd dochodził dziecięcy głosik, zobaczyła biegnącą ku niej córeczkę. W sekundę później mała obiema rączkami objęła jej nogi.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się Sylvie, ciesząc się jednocześnie, że Shane już sobie poszedł. - Witam się z tobą - naiwnie odparła Daisy Rose, wtulając buzię w jej kolana.

- Chciała cię koniecznie zobaczyć - wyjaśniła idąca w ślad za wnuczką Anne. Nie mogła rzecz jasna dogonić małej, która na widok matki puściła się biegiem na swoich krótkich, ale szybko poruszających się nóżkach.

Nieoczekiwana wizyta Daisy Rose sprawiła Sylvie radość, ale jednocześnie wprowadziła ją w zakłopotanie. Nie ma czasu na zajmowanie się córką, pomyślała, kiedy wisi nad nią nierozwiązany problem skradzionego obrazu. Niemniej jednak, nadal czując lęk z powodu groźby Shane'a, z całej siły przycisnęła małą do siebie.

- Udusisz mnie, mamo!

- Przepraszam, kochanie.

- Musiałam ją przywieźć, bo nie . dawała mi spokoju - tłumaczyła się Anne.

Sylvie patrzyła bezradnie na podniesioną do góry twarzyczkę.

- Mój ty skarbie, mam dzisiaj strasznie dużo na głowie ...

- Między innymi, jesteś mi winna dokładne wyjaśnienie - wtrąciła Charlotte.

- Wyjaśnienie? - powtórzyła Sylvie. Oby tylko nie chodziło o zniknięcie obrazu. Ale chyba Charlotte nic nie wie, skoro wcześniej o tym nie napomknęła.

Sylvie zrobiło się wstyd. Zamiast bawić się w kotka i myszkę, powinna była powiedzieć siostrze o zniknięciu Wyetha natychmiast po odkryciu kradzieży. Tymczasem nie zrobiła tego ze strachu, że Charlotte przestanie ją poważnie traktować, jeśli się dowie, iż zajęta miłosnymi igraszkami pozwoliła złodziejom wynieść z galerii cenne dzieło sztuki.

- Nie udawaj, dobrze wiesz, co mam na myśli - zadrwiła Charlotte, spoglądając znacząco na Jeffersona, który tak dzielnie bronił honoru jej siostry przed zakusami bezczelnego muzykusa. Może po tylu nieudanych romansach Sylvie trafiła wreszcie na godnego siebie partnera.

Biorąc pod uwagę, że ona sama, na spółkę z Melanie i Renee, spiknęła Sylvie z tym współczesnym rycerzem bez skazy, Charlotte nie była jednak do końca pewna, czy ma sobie gratulować. Bo słyszała chwilę temu na własne uszy, jak Sylvie nazwała go swoim narzeczonym.

Postanowiła przejść do frontalnego ataku.

- Czy naprawdę jesteście zaręczeni? - spytała, zwracając się do Jeffersona.

W innych okolicznościach Sylvie chętnie potrzymałaby Charlotte w niepewności, jednak w tej chwili miała n. a głowie ważniejsze sprawy niż droczenie się z siostrą. Trzeba przede wszystkim odzyskać płótno Wyetha. Babka nigdy by jej nie darowała jego utraty. Obraz był wprawdzie ubezpieczony, lecz pieniądze miały tutaj drugorzędne znaczenie. Nie mówiąc już o tym, że ujawnienie kradzieży cennego dzieła zniszczyłoby dobrą opinię hotelu. Mogła sobie wyobrazić drwiące zawołanie: "Witajcie w Hotelu Marchand - raju złodziei!" .

- Sylvie? - przywołał ją do przytomności głos Anne.

- Oczywiście, że nie jesteśmy zaręczeni - odparła lekceważąco. - Powiedziałam tak, bo znając Shane'a, chciałam mu pokazać, że ma przeciwko sobie nie tylko "słabą kobietę". A tobie nie wiem jak dziękować za dobrze odegraną rolę i nieocenioną pomoc - dodała, uśmiechając się do Jeffersona czarująco.

Na twarzy Jeffersona pojawił się lekki uśmiech.

- Czy to znaczy, że odwołujesz zaręczyny? - zapytał.

Niech to diabli, pomyślała Sylvie, facet robi się coraz bardziej interesujący.

- Na to wygląda - odrzekła z rozbawieniem.

- Shane? - podchwyciła wyraźnie zaniepokojona Anne, przyciągając do siebie wnuczkę i zakrywając jej uszy. - Macie na myśli tego nicponia, który mieni się ojcem Daisy Rose? - dodała, ścisząc głos.

A gdy Sylvie skinęła głową, spytała:

- Co on tutaj robi?

Sylvie wolałaby odbyć tę rozmowę w cztery oczy, lecz matka najwyraźniej oczekiwała natychmiastowej odpowiedzi.

- Przyjechał domagać się prawa do opieki nad dzieckiem.

W Anne jakby piorun strzelił. Instynktownie przytuliła do siebie wnuczkę.

- On? On domaga się praw do dziecka? - powtórzyła.

- Tak - przytaknęła Sylvie. Na szczęście Daisy Rose zdawała się nie przejmować rozmową dorosłych. - Shane się żeni, a jego narzeczona chce niewielkim kosztem wejść w rolę matki i pani domu całą gębą.

Córki nie pamiętały, by ich matka kiedykolwiek podniosła głos albo w inny sposób straciła na sobą panowanie. Tym razem jednak w jej oczach zapaliły się płomienie gniewu, a z ust wyrwał się okrzyk oburzenia:

- Co za bydlę!

- Mamo! - zawołała zdumiona Charlotte.

- Nazwałam go tak, bo na nic lepszego nie zasługuje - odparła Anne nieco spokojniejszym tonem.
- A teraz - dodała, zwracając się do Sylvie i lekko się rumieniąc - zostawiam Daisy Rose pod twoją opieką, ponieważ jestem z kimś umówiona na wczesny lunch.
Sylvie w zamyśleniu odprowadziła matkę wzrokiem.

- Wiesz co? - rzekła do Charlotte. - Byłoby wspaniale, gdyby mama znalazła sobie odpowiedniego towarzysza.

- Kogo? - Charlotte była wyraźnie zgorzona.

- Mężczyznę - wyjaśniła Sylvie. - Zasłużyła na odrobinę szczęścia, a nic tak nie odmładza kobiety i nie poprawia jej samopoczucia jak związek z mężczyzną. Słyszałam od babci, że pod pozorem wyprowadzania psa mama od pewnego czasu odbywa poranne spacerunki z panem z sąsiedztwa, jakimś Williamem Armstrongiem, i ... Sylvie nagle zdała sobie sprawę, iż nie jest to odpowiedni moment na ploteczki z siostrą. Kucnąwszy przed Daisy Rose, zapytała: - Moje maleństwo stęskniło za mamą, czy tak?

- Uhm - mruknęła dziewczynka, po czym przypatrując się z ciekawością stojącemu obok mamy nieznanemu, zapytała: - Kim pan jest?

Jefferson przez chwilę milczał. Kim jestem? - zadał sobie w duchu pytanie. Jeszcze wczoraj umiałby na nie odpowiedzieć, lecz ostaną noc wyrzuciła wszystko do góry nogami. Zakłóciła wszystkie jego dotychczasowe wyobrażenia o sobie. Obudziła w nim pragnienia, o które nigdy dotąd się nie podejrzewał.

- Widzisz, moja droga - odparł, robiąc do małej oko - to jest pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

Daisy Rose była dzieckiem bardzo jak na swój wiek bystrym. Wszyscy pracownicy hotelu na wypródkę starali się ją czegoś nauczyć, i w rezultacie dziewczynka dysponowała znacznie szerszym niż większość jej rówieśników zasobem słów, a także umiała liczyć. Niemniej nie spotkała się jeszcze w swoim życiu z liczbą tej wielkości.

- Czy to więcej niż frylion? - zapytała. Jefferson udał, że się głęboko zastanawia.

- Nie, myślę, że frylion to o wiele, wiele więcej - odparł z powagą.

Odpowiedź zyskała mu sympatię nie tylko małej Daisy Rose, ale i jej matki.

- Umiesz rozmawiać z dziećmi - pochwaliła go Sylvie.

Ostatecznie on też był ojcem samotnie wychowującym córkę. I od najmłodszych lat ódnosił się do niej z szacunkiem należnym dorastającej ludzkiej istocie.

- Nabrałem wprawy, kiedy Emily była w jej wieku.

Żołądek Sylvie głośno jej przypomniał, że od wczorajszego wieczoru nie miała nic w ustach. Musi się posilić. Mając pod opieką córkę, i tak nie może się zająć poszukiwaniem zaginionego obrazu, więc zabierze ją z sobą do Chez Remy. Daisy Rose uwielbiała chodzić z matką do restauracji.

_ Dojrzałeś do śniadania? - zapytała, spoglądając na Jeffersona, a zwracając się do Charlotte, dodała: - Czy kuchnia już działa?

Charlotte skinęła głową.

- Tak. Przez całą noc pracowali praktycznie bez odpoczynku, ale zdołali opanować sytuację i wszystko działa. Co mi przypomina, że powinnam uzgodnić z Robertem wieczorne menu. - To powiedziawszy, rozstała się z pozostałą trójką i odeszła w głąb holu.

_ Jak będziesz bardzo grzeczny, to kucharz usmaży ci naleśniki w kształcie Myszki Miki _ oznajmiła Daisy Rose, zwracając się do Jeffersona poufnym tonem, jakby powierzała mu cenną tajemnicę.

_ W taki razie postaram się zachowywać najgrzeczniej, jak potrafię - odparł, a dziewczynka obdarzyła go uśmiechem.

Sylvie też spojrzała na niego z aprobatą. Jej zadowolenie jeszcze wzrosło, gdy zobaczyła, z jaką ufnością mała podaje Jeffersonowi rączkę i pozwala mu się prowadzić. Daisy Rose była dzieckiem śmiałym i otwartym, lecz niewiele osób obdarzała tak wielkim zaufaniem.

Nadal jednak w duszy Sylvie walczyły z sobą o lepsze sprzeczne uczucia. Jefferson robił wrażenie człowieka mądrego i z gruntu przyzwoitego, ale przecież prawie go nie znała. Powinna kierować się rozsądkiem, zamiast ulegać uczuciom, które tyle już razy wpędziły ją w kłopoty.

W sumie byłoby lepiej, gdyby Charlotte, Melanie i Renee pilnowały swego nosa, zamiast wtrącać się w jej życie. Gdyby nie ich interwencja, nie doszłoby do katastrofy z obrazem.

- Chodźmy, mamó, zanim wszyscy sobie pójda - niecierpliwie ponagliła ją Daisy Rose.

- Tak, kochanie, już idziemy - poddała się Sylvie, ujmując małą za drugą rączkę.

Jakie to miłe uczucie, myślał Jefferson, kiedy szli we trójkę do restauracji, niby przykładowa rodzina. Zupełnie jak za dawnych czasów, kiedy Emily była małą, a jej matka jeszcze żyła.

Cichy głos rozsądku kolejny raz wezwał go do opamiętania. Jednak na opamiętanie się było już za późno. Jedyne, co mu pozostało, to cieszyć się chwilą, póki trwa.

Musi się z nim dzieć coś niedobrego, doszła do przekonania Emily, po raz nie wiadomo który wyłączając telefon komórkowy. Od wielu godzin próbowała bezskutecznie połączyć się z ojcem. W telefonie obcy głos niezmiennie namawiał do zostawienia wiadomości.

- Już się nagrałam, i nic - odburknęła. Wczesnym rankiem, po pierwszych nieudanych próbach, zdołała się w końcu połączyć z wujem Blakiem, od którego dowiedziała się jedynie, że nie miał kontaktu z jej ojcem od poprzedniego wieczoru, kiedy to zgubili się w ciemnościach, w jakich awaria prądu pograżyła dużą część miasta. O tym, że w Nowym Orleanie pogasły światła, dowiedziała się już poprzedniego dnia z wieczornych wiadomości, i dlatego usiłowała połączyć się z ojcem. Wciąż na próżno. Była coraz bardziej zaniepokojona.

Dlaczego nie oddzwania? Awaria prądu nie powinna mu w tym przeszkodzić, bo przecież elektryczność nie ma nic wspólnego z działaniem telefonów, zwłaszcza komórkowych. Fakt, iż nie zastała go wieczorem w pokoju, był zrozumiały. Pewnie gdzieś się bawił. Ale dlaczego rano nadal nie odebrał telefonu i nie odpowiadał na jej nagrania?

Jak to możliwe, że ojciec, który nigdy w życiu niczego nie zaniedbał, raptem przestał odsłuchiwać wiadomości?

Emily zaczynało drażnić nasilające się z każdą chwilą przeczucie, że ojciec pilnie potrzebuje jej pomocy. Może jest znakomitym radcą prawnym, natomiast jego zdolność radzenia sobie w innych sytuacjach, zwłaszcza z dala od domu, pozostawia jej zdaniem wiele do życzenia.

Doszła do przekonania, że próby dodzwonienia się do ojca że szkoły między lekcjami niewiele dadzą, a ją doprowadzą do hysterii. Musi sprawdzić na miejscu, co się z nim dzieje. Błyskawicznie ułożyła sobie plan działania. Opuści dzień w szkole i poleci do Nowego Orleanu. Wiedziała, w którym hotelu się zatrzymał. Uczestniczyła w rezerwowaniu dla niego pokoju.

Sięgnąwszy do kieszeni, wyjęła portfel, aby się upewnić, czy podarowana przez ojca karta kredytowa jest na swoim miejscu. Dotychczas pokrywała z niej jedynie drobne wydatki na szkolne podręczniki albo nowe dzinsy. Tym razem jednak sprawa była poważniejsza.

Opróżniwszy plecak z książek i zeszytów, wrzuciła do niego bieliznę, ubranie na zmianę oraz

parę niezbędnych drobiazgów. Po zapakowaniu plecaka stwierdziła, że wygląda, jakby był wypełniony podręcznikami.

- Pa, babciu, wychodzę! - zawołała parę minut później, kierując się do wyjścia. - Muszę pędzić, bo spóźnię się na autobus.

- Powodzenia, kochanie! - odrzyknęła babka, niczego nie podejrzewając.

Oszustwo trochę Emily ciążyło. Wiedziała jednak, iż czułaby się jeszcze gorzej, gdyby ojcu przydarzyło się coś złego, a ona biernie czekała na wiadomość. W drodze na przystanek spróbowała jeszcze raz połączyć się z ojcem. Na próżno. Na wszelki wypadek zadzwoniła więc ponownie do Blake'a, który na szczęście odebrał telefon.

_ Cześć, wujku. Nie wiesz, co się z nim dzieje?

_ Cześć, mała. - W głosie Blake'a brzmiało zdziwienie. - Pytasz o tatę? Pewnie świetnie się bawi. Kiedy wczoraj ostatni raz go widziałem, siedział na koźle powozu konnego, odjeżdżając w mrok w towarzystwie Sylvie Marchand, z którą umówiliśmy go na randkę. Wyglądali, jakby przypadli sobie do gustu.

_ Dziękuję, wujku. Muszę kończyć, właśnie nadjeżdża autobus. Pa! - skończyła szybko rozmowę, nie pozwalając mu dojść do słowa. Celowo nie powiedziała mu o swoim zamiarze, bo jak każdy dorosły zacząłby ją pewnie przekonywać, żeby została w domu.

Ojciec powoził konnym pojazdem? No, no, ta pani musiała mu się naprawdę spodobać, skoro pozwolił sobie na takie szaleństwo. Emily niespokojnie zmarszczyła czoło. Chciała tylko, aby się trochę rozerwał, przekonał, że nie jest za późno na kontakty z kobietami, a może nawet po jakimś czasie zaczął się z kimś regularnie spotykać. A tymczasem wygląda na to, iż stracił głowę.

Wskoczyła do autobusu. Musi dotrzeć do Nowego Orleanu, zanim tata zrobi coś, czego oboje będą kiedyś gorzko żałować. Trzeba w końcu go pilnować.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sylvie pękała głowa. Jeszcze wczoraj jedynym jej zmartwieniem było podjęcie decyzji, które obrazy pożyczyć Maddy na wernisaż, a dziś miała na głowie nadal nierozwiązany problem zaginięcia należącego do babki cennego dzieła sztuki, a w perspektywie trudny proces o opiekę nad dzieckiem. Nie mówiąc już o radzeniu sobie z wyrzutami sumienia, jakie budziły w niej nieoczekiwane konsekwencje wczorajszej randki w ciemno.

Przeżycia ostatniej nocy rzeczywiście sprawiły, że zapomniała o bożym świecie, ale siła jej doznań mogła wynikać z faktu, iż od kilku lat nie była z mężczyzną. Zresztą nie ma ani cienia szansy na jakikolwiek trwały związek z bostońskim prawnikiem.

Jak mogła do tego stopnia stracić głowę?

A teraz siedzieli we trójkę w restauracji, gdzie mała Daisy Rose naj spokojniej w świecie wcinała swego naleśnika w kształcie Myszkki Miki. Dziewczynka siedziała między nimi i tworzyli razem nader idylliczny obraz. Czy nie byłoby cudownie, gdyby tak zostało? Daisy Rose miałyby prawdziwego ojca, zdolnego otoczyć ją miłością i opieką.

Nie oddawaj się próżnym marzeniom! - upomniała się Sylvie w duchu. Wróć na ziemię, nie bujaj w chmurach!

_ Nic z tego nie będzie - oświadczyła Jeffersonowi bez wstępu, pokazując palcem siebie i jego.

Nie odpowiedział od razu. Zawsze dosyć łatwo odgadywał cudze myśli, a do tego był przekonany, że minionej nocy mięły się z nim a Sylvie narodziła się bliska więź, nie tylko fizyczna. Ona się boi, pomyślał. Mimo swej bujnej przeszłości boi się tego, co się stało, i ewentualnych konsekwencji. Tymczasem on, człowiek nawykły chodzić utartymi ścieżkami, niczego się nie boi. Czuje się trochę oszołomiony, to fakt, ale zarazem jest gotowy zrobić kolejny krok. I następny. I jest pełen nadziei.

_ Mam na myśli ciebie i mnie - dodała Sylvie, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.

_ Dlaczego z góry zakładasz, że to niemożliwe? - spytał spokojnie. - Nie chcesz poczekać i się przekonać?

Miała ochotę ulec mu, poddać się nadziei. Jej wola słabła. A przecież musi być silna.

_ Mam za wiele rzeczy na głowie - odparła. _ Nie musisz być sama. Możemy razem stawić im czoło.

_ Mama nie jest sama - nieoczekiwanie odezwała się Daisy Rose. - Ma mnie.

Sylvie łzy napłynęły do oczu. Bała się, że za chwilę się rozplacze.

- Tak, dziecinko, mam ciebie - szepnęła. - To wszystko przekracza moje siły - dodała, spo-

glądając bezradnie na Jeffersona.

- Nic podobnego - oświadczył, ujmując jej dłoń. - Przeżywasz tylko chwilowy kryzys nerwowy. Ale to nic wstydliwego. Trzeba sobie tylko powtarzać, że każde zło kiedyś minie. To bardzo pomaga.

- Skąd wiesz? Na pewno nie przeżywałeś nigdy kryzysu - odparła niemal z pretensją w głosie.

- Owszem, przeżyłem, i to bardzo poważny.

W miesiąc po śmierci żony. Byłem w rozpacz. Nie wyobrażałem sobie życia bez niej. I nie miałem pojęcia, jak sobie poradzę z ośmioletnim dzieckiem. - Przyszło mu do głowy, o ile trudniej byłoby mu znieść utratę Donny, gdyby nie musiał zajmować się córeczką, i uśmiechnął się do swoich myśli. - A dziś Emily ma szesnaście lat. I wyrosła na całkiem sensowną dziewczynę.

- Twoja córka ma na imię Emily? - zaintrygowała się Daisy Rose, unosząc na widelcu resztki Myszki Miki.

- Uhm. - Ale mądrała, nic jej nie umknie, pomyślał. Emily była taka sama. - Chcesz zobaczyć jej zdjęcie? - A gdy dziewczynka pokiwała główką, sięgnął do portfela i wyjął najnowsze zdjęcie córki. - To ona - rzekł, podając małej fotografię.

Trzylatka z powagą wzięła fotkę do rączki, dokładnie się jej przyjrzała, po czym podniosła główkę, popatrzyła przed siebie i, wskazując palcem smukłą istotę, która właśnie stanęła w drzwiach restauracji, powiedziała:

- Wygląda zupełnie jak ona.

Jefferson spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył dziewczynę do złudzenia przypominającą córkę. To musi być jej sobowtór, pomyślał. Przecież Emily jest w Bostonie.

Tymczasem Emily lustrowała wzrokiem wnętrze pustawej restauracji. Recepcjonista powiedział jej przed chwilą, gdzie znajdzie ojca.

Nagle zobaczyła go. Siedział przy stoliku z młodą panią i małą dziewczynką.

- Tato! - wykrzyknęła, biegnąc w jego kierunku. Jefferson zdążył wstać, nim rzuciła mu się w

ramiona. - Chwała Bogu, jesteś cały i zdrowy.

- Oczywiście, że jestem cały i zdrowy - odparł zdziwiony, delikatnie wyzwalając się z jej objęć. - A co myślałaś? I co tu w ogóle robisz? Dlaczego nie jesteś w szkole? - Spojrzał w kierunku drzwi, spodziewając się ujrzeć w nich teściową. - A gdzie babcia? - Emily wykazywała dużą samodzielność, niemniej nie mógł sobie wyobrazić, jak leci bez opieki do Nowego Orleanu. Emily nie wiedziała, od czego zacząć.

- Musiałam cię znaleźć. Jeden dzień nie ma znaczenia. Babcia została w domu. Przyjechałam sama. - Zadowolona, że zdołała odpowiedzieć na wszystkie pytania, przystąpiła do ataku: - Dlaczego nie odbierałeś komórki i nie odpowiadałeś na moje nagrania?

- Nie odbierałem komórki? - powtórzył zaskoczony.

- No właśnie. - Zauważyła skierowane w jej kierunku zaciekawione spojrzenie małej dziewczynki i odpowiedziała jej uśmiechem. Najpierw jednak musi wyjaśnić sprawę z ojcem. - Dzwonię do ciebie od wczoraj, odkąd usłyszałam w telewizji, że w połowie Nowego Orleanu zgasły światła. Niektórzy sprawozdawcy wspominali o podejrzeniu ataku terrorystycznego. A ty nie odbierałeś telefonów - rzuciła oskarżycielskim tonem.

Czując spojrzenie trzech par kobiecych oczu, wyjął z kieszeni komórkę i spojrzał na zaciemniony ekranik.

- Nie widzę żadnej informacji o nagraniach.

- Daj mi ją - zażądała Emily. Popatrzyła na ojcowską komórkę, po czym wydała głębokie westchnienie. - Przecież ona jest wyłączona.

Jefferson nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Nie pamiętał, kiedy i w jakim celu ostatni raz manipulował przy komórce. W ogóle nie miał głowy do tych wszystkich nowoczesnych urządzeń, rzekomo ułatwiających życie.

- Nie wiem, jak to się stało. Po ostatniej rozmowie musiałem coś niechcący nacisnąć - rzekł tonem usprawiedliwienia.

Emily nacisnęła parę guzików.

- A więc nic ci się nie stało - stwierdziła, zwracając mu telefon.

_ Oczywiście. - Odkąd to dzieci martwią się o rodziców? Przecież zadzwonił do Emily zaraz po

zainstalowaniu się w hotelu. Nie przyszło mu do głowy, że może się o niego niepokoić.

Tymczasem Daisy Rose, zniecierpliwiona tym, że nikt nie zwraca na nią uwagi, wtrąciła się do rozmowy, szarpiąc Emily za plecak:

_ Nazywam się Daisy Rose. Lubię cię. Jesteś ładna.

_ Dziękuję, ty też - odparła Emily z uśmiechem.

- Wiem - odparła mała z przekonaniem. - A to moja mama - dodała, pokazując Sylvie palcem. Po czym z niewinną szczerością dziecka spytała: - Zostaniesz moją starszą siostrą?

Jefferson, który akurat pił kawę, o mało się nie zakrztusił. Bał się spojrzeć na Emily.

- Co ci jest, tato? - zapytała Emily, przypatrując się uważnie ojcu. Na wszelki wypadek mocno klepnęła go w plecy.

- Już dobrze - odburknął. - Co cię napadło, żeby lecieć samej do Nowego Orleanu?

- Martwiłam się o ciebie.

_ Trzeba było zadzwonić do wuja Blake'a.

_ Dzwoniłam, ale mi powiedział, że chyba poważnie się zaangażowałeś - odparła Emily, zerkając na Sylvie spod oka.

- Żadne decyzje nie zostały jeszcze podjęte - zapewnił Jefferson obie dziewczynki.

- Aha - powiedziała Emily.

- Aha - powtórzyła Daisy Rose, która najwyraźniej wybrała sobie Emily na wzór do naśladowania.

Powinna zostawić ich samych, pomyślała Sylvie. Muszą ze sobą spokojnie porozmawiać. Zwracając się do Daisy Rose, powiedziała:

- Chodźmy, maleńka, mama ma ...

Zanim jednak zdążyła skończyć zdanie, obok nich wyrósł jak spod ziemi Shane w towarzystwie młodziutkiej kobiety, mającej najwyżej dwadzieścia parę lat.

- Cześć, staruszek, uprzedzałem, że jeszcze o mnie usłyszysz - oświadczył Shane, usiłując cmoknąć Sylvie w policzek.. Ona jednak odepchnęła go od siebie.

Bynajmniej tym niezrażony Shane zajął jedyne wolne krzesło i wpatrzył się natarczywie w małą Daisy Rose, nie zważając na to, że jego narzeczona nie ma gdzie usiąść. I stałaby nadal, gdyby

Jefferson nie ustąpił jej miejsca, przysuwając sobie krzesło z sąsiedniego stolika. Młoda kobieta była tą sytuacją wyraźnie zażenowana. Shane natomiast niczego nie zauważył.

- Wiesz, kim jestem, brzdącu? - zwrócił się do Daisy Rose.

Sylvie zamierzała mu wyjaśnić, iż nigdy nie ukrywała, kim jest jej ojciec, a nawet pokazywała małej jego zdjęcia, ponieważ uważała, że bez względu na sytuację jej córka powinna mieć poczucie, iż ma oboje rodziców, jak wszystkie dzieci. Uprzedziła ją jednak Emily, która od dłuższego czasu wpatrywała się jak zaczarowana w swego idola.

- Shane Alexander! - rzekła załamującym się z wrażenia głosikiem. Nagle jakby odjęło jej lat. Ku zdumieniu Jeffersona w jednej chwili z przemądrzałej panny zmieniła się w zakochaną w swoim idolu niedojrzałą nastolatkę.

- Jesteś moją fanką? - zapytał zachwycony jej widocznym uwielbieniem Shane.

- O tak! - gorąco przytaknęła Emily.

- A ja, moja droga, kocham wszystkie moje wielbicielki - z bezwstydnym uwodzicielskim uśmiechem odparł Shane.

- I na tym polega twój problem - skomentowała Sylvie. Po minie jego narzeczonej poznała, że podziela ona całkowicie jej zdanie.

Tak trzymaj! - zachęciła ją w duchu Sylvie. I zostaw tego łajdaka, póki nie jest za późno!

- Jeśli zajrzysz później do mojego apartamentu, chętnie ci coś zaśpiewam. Co ty na to? - podjął Shane tonem podstarzałego czarusa, nie zwracając na nie uwagi.

- Ach, to byłoby cudownie! - wykrzyknęła Emily.

- Wybij to sobie z głowy - zaprotestował ostro Jefferson. Nie zważając na urażoną minę Emily, zwrócił się do Shane'a: - Emily jest nieletnia, radzę o tym pamiętać. A pan, o ile wiem, jest zaręczony.

- To może nie potrwać, jeśli się nie uspokoisz - zagroziła Party, której cierpliwość była wyraźnie na wyczerpaniu. - Zabieraj swoją córkę i wracajmy do Los Angeles.

- No co, pojedziesz z tatusiem? - z uśmiechem spytał Shane, wyciągając rękę do Daisy Rose.
- Nie waż się jej tknąć! - zagroziła Sylvie. Daisy Rose straciła swój wcześniejszy animusz. Kręcąc się niespokojnie na krześle, zawołała przestraszona:
 - Mamo!
 - Nie bój się, maleńka, nikomu cię nie oddam - zapewniła ją Sylvie, otaczając córeczkę ramieniem.
 - Jestem jej ojcem i mam swoje prawa - beczelnie oświadczył Shane.

Jefferson, który od dłuższej chwili tłumił w sobie narastającą wściekłość, postanowił wkroczyć do akcji.

- Daisy Rose, nie miałabyś ochoty zaprowadzić Emily na dziedziniec i pokazać jej basen? - zaproponował.
- O tak, bardzo proszę - rzekła Emily, która wyczuła niepokój dziewczynki.

- Dobrze - odparła Daisy Rose. Zeskoczywszy na podłogę, ujęła Emily za rękę i poprowadziła ją przez hol.

Sylvie podziękowała Jeffersonowi spojrzeniem.

- Słuchaj, Shane, tutaj nie chodzi o ciebie i twoje rzekome prawa, tylko o dobro Daisy Rose - oświadczyła surowo. - A ja nie pozwolę, żeby znalazła się pod opieką notorycznego narkomana.

- Jestem czysty, i to od dawna - dumnie oznajmił Shane. - Widzisz, jak wiele zrobiłem, żeby odzyskać córkę. ..

- Na to, żeby ją odzyskać, musiałbyś najpierw być jej ojcem nie tylko z nazwy. A na to nigdy się nie zdobyłeś.

- Bo mi nie pozwoliłaś.

- To kłamstwo.

Jefferson uznał, że musi się wtrącić.

- Posłuchaj pan, w sprawach o prawo do opieki nad dzieckiem sądy na ogół wyrokują na korzyść

matki. Zwłaszcza jeżeli ojciec nie łoży na utrzymanie dziecka.

- Jak to, przecież dostała ode mnie pieniądze!

Widząc, że Sylvie chce zaprotestować, Jefferson rzucił jej uspokajające spojrzenie.

- Ma pan na to dowody?

Shane wyraźnie stracił pewność siebie.

- Nie, ale ... - bąknął.

- A na to, że odbył pan kurację odwykową? - naciskał Jefferson.

- Nie, sam przestałem brać.

- Aha. No cóż, panie Alexander, w takim razie czeka pana długi i bardzo kosztowny proces, który najprawdopodobniej skończy się dla pana niepomyślnie w podwójnym sensie. Nie uzyska pan praw do dziecka, a straci mnóstwo pieniędzy - bezlitośnie podsumował Jefferson.

Sharre aż poczerwieniał ze złości.

- Za kogo się pan ma? Za jakiegoś wielkiego adwokata?

- Zgadł pan. Jestem adwokatem - spokojnie odparł Jefferson, podając mu swoją wizytówkę, z której nie wynikało, że jest radcą prawnym. Pod jego nazwiskiem widniała tylko nazwa kancelarii.

- I jest pan jej adwokatem? - spytał Shane, ledwo spojrzawszy na wizytówkę.

- Tak, jestem także jej adwokatem - z uśmiechem zadowolenia odparł Jefferson.

- Wycwaniałaś się, Sylvie - cynicznie zauważył Shane. - No cóż, moja droga - dodał, tym razem spoglądając na Patty - trzeba ci-będzie znaleźć inną zabawkę. Jesteś za młoda na dziecko, więc może na razie kupimy kotka albo psa.

- Wiesz co, Shane? - wybuchnęła Patty. Sam sobie znajdź inną zabawkę! - Odwróciła się i wybiegła z restauracji.

- Mam nadzieję, że nie wydałeś resztek pieniędzy na weselne zaproszenia? - chłodno zauważyła

Sylvie.

- Nieważne, i takiej rodzice za wszystko płacą. A więc żeni się dla pieniędzy, pomyślała Sylvie. Kolejny raz potwierdza, jakim jest nicpomem.

- Nic tu po mnie - oświadczył Sharle. - Pójdę i spróbuję ją udobruchać. Nie masz nic przeciwko temu, żebym poszedł pożegnać się z Daisy Rose?

Sylvie w pierwszej chwili chciała mu odmówić, lecz postanowiła być rozsądna. W końcu jest jej ojcem, a ponadto córka nie jest sama. Ma przy sobie Emily.

- Ale tylko się pożegnasz - zastrzegła. - Mam nadzieję, że nie popełniłam błędu - dodała po odejściu Shane'a, wyglądając razem z Jeffersonem na dziedziniec.

- Nie sądzę, żeby usiłował ją porwać. Zresztą Emily ma głowę na karku - uspokajał ją Jefferson. Postanowił nie interweniować, między innymi po to, by sprawdzić, jak córka daje sobie radę bez jego pomocy.

Kiedy jednak zauważył, że po wymienieniu pożegnalnych słów z małą Shane zwraca się do Emily i w ewidentny sposób zaczynają czarować, instynkt ojcowski w jednej chwili wziął górę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wpadł jak burza na dziedziniec. Miał tylko jedną myśl: dopaść łajdaka, zanim ten dotknie palcem jego ukochane dziecko. Emily była ładną dziewczyną, a ten skunks specjalizował się w uwodzeniu takich właśnie bezbronnych istot. Nie zdążył. Zanim zdołał go powstrzymać, nędznik ośmielił się ją tknąć. Wprawdzie położył jej tylko rękę na ramieniu, lecz Jeffersonowi to wystarczyło. Facet bezczelnie uwodzi jego córkę!

Usłyszał, jak mówi do niej.

- Jaki jest numer twojego pokoju? Z przyjemnością przyjdę zaśpiewać tylko dla ciebie.

- Alexander! - wrzasnął Jefferson. Shane obejrzał się i w tym samym momencie poczuł cios w szczękę. Po chwili leżał na ziemi i z wściekłą miną obmacywał obolały podbródek. - Trzymaj się od niej z daleka!

- Co ty wyprawiasz? - oburzyła się Sylvie, która wyszła na dziedziniec i teraz tuliła do siebie spłoszoną Daisy Rose. W gruncie rzeczy przyznawała Jeffersonowi rację, bo Shane zasłużył na lanie, niemniej tego rodzaju sceny nie przynosiły hotelowi zaszczytu.

- Udzieliłem temu panu krótkiej lekcji - najspokojniej w świecie wyjaśnił Jefferson. - Myślę, że z dobrym skutkiem - dodał, po dżentelmeńsku podając Shane'owi rękę i pomagając mu dźwignąć się na nogi.

Ten, jakkolwiek wściekły, uznał się za pokonanego i poszedł sobie, mruczając pod nosem przekleństwa.

Natomiast Emily popatrzyła na ojca z uznaniem.

- Masz niezły cios, tato. Nigdy bym cię o to nie podejrzewała - rzekła.

- Jeszcze niejednym mógłbym cię zaskoczyć - odparł z satysfakcją w głosie, otaczając ją ramieniem. Zerknąwszy na zegarek, dodał: - Robi się późno. Babcia będzie się martwić, dlaczego nie wracasz ze szkoły. Musimy do niej zadzwonić. - Zwrócił się do Sylvie: - Zobaczmy się za chwilę w galerii?

- Tak - przytaknęła, uświadamiając sobie ze strachem, co ją tam czeka. Puste miejsce na ścianie, a potem konieczność powiadomienia rodziny i policji o kradzieży obrazu.

Patrząc za odchodzącym Jeffersonem, pomyślała zarazem z ulgą, iż dzięki jego energicznej interwencji pozbyła się przynajmniej jednego z kłopotów.

- Bardzo go lubię - nieoczekiwanie odezwała się Daisy Rose, jakby odgadła matczyne myśli.

Sylvie odprowadzała wzrokiem Jeffersona i jego córkę, dopóki nie zniknęli w holu. Z każdego ich ruchu i gestu emanowała miłość i oddanie. Miłość. Jakże za nią tęskniła!

- Ja też go lubię - odrzekła, mocniej przytulając do siebie Daisy Rose.

- Ona jest bardzo ładna - ze znanstwem oświadczyła Emily, wsiadając z ojcem do winy.

- Tak, jest bardzo ładna - przytaknął Jefferson.

- Podoba ci się, co?

Jeffersonowi na moment odjęło głos.

- No wiesz, kochanie, to bardzo trudne pytanie, Zależy, jak na to spojrzeć - odparł w końcu.

Emily nie dała się zbyć byle czym.

- Nie jesteś w sądzie, tato. Powiedz po prostu, co czujesz. Podoba ci się czy nie?

- Owszem, i to bardzo.

- Wiedziałam. No i co zamierzasz zrobić?

- Co masz na myśli?

Wysiedli tymczasem z winy i szli korytarzem do jego apartamentu.

- Jak to co? Pytałam, co zamierzasz zrobić?

- Spotkamy się jeszcze parę razy, a potem wrócę do Bostonu - odrzekł. - Tak jak było zaplanowane.

- Ale to było, zanim spotkałeś Sylvie i znokautowałeś jej byłego kochanka - nie ustępowała zniecierpliwiona Emily.

Nie mógł się nadziwić, że jego zazwyczaj powściągliwa córka okazuje nagle taki upór.

- Musiałem mu dać nauczkę za to, jak się zachował wobec ciebie.

- Owszem, to też - zgodziła się Emily. - Ale i dlatego, że jest jej byłym kochankiem i ponieważ jej dokuczał. Postąpiłeś jak prawdziwy mężczyzna - dodała z triumfalnym uśmiechem. - Nie chcesz dalej nim być?

- O co ci właściwie chodzi, moje dziecko?

- O naszą przyszłość, tato - odparła, wchodząc za ojcem do jego apartamentu i rozglądając się z podziwem po imponującym wnętrzu. - Pamiętaj, że niedługo będę dorosła i będę się chciała usamodzielnąć. I będę miała wyrzuty sumienia, że zostajesz sam. Chyba tego mi nie życzysz?

- No to sprawię sobie kota - zażartował.

- Po pierwsze, masz alergię na koty. A Sylvie jest świetna. Bardzo mi się spodobała.

Był w głębi duszy tego samego zdania, niemniej wszystko się w nim burzyło na myśl o tym, że nieletnia córka próbuje układać mu życie.

- Przecież ty jej w ogóle nie znasz. Zresztą ja też.

Emily po raz kolejny udało się go zaskoczyć.

- A całowaliście się? - zapytała.

- To nie twoja sprawa.

- A więc tak - skostatowała. Po czym z chytrym uśmieszkiem dodała: - A może było coś więcej?

- Emily! - zgromił ją.

Krąbrna córeczka nie zamierzała jednak dać za wygraną.

- Czyli wiesz o niej wszystko co trzeba - zawyrokowała. - Reszty dowiesz się z czasem. - Podeszła do okna i z przyjemnością wyjrzała na dziedziniec. Wszystko jej się tutaj podobało. - Zawsze marzyłam, żeby zamieszkać w Nowym Orleanie. Babcia też chętnie by tu wróciła. Przeniosła się do Bostonu ze względu na mamę, a potem została, żeby być blisko nas. Więc widzisz, że nasza rodzina wcale by się nie rozproszyła.

- Nie brakowałoby ci kolegów i przyjaciół?

- Mogłabym ich odwiedzać. Zresztą ja łatwo nawiązuję kontakty. Znajdę sobie nowych przyjaciół. A ty na pewno znajdziesz tutaj dobrą pracę.

- Dzieciom wszystko wydaje się takie proste - westchnął Jefferson, podchodząc do telefonu. - Teraz jednak powinnaś zadzwonić do babci.

Emily posłusznie podniosła słuchawkę.

- Ale wrócimy jeszcze do tej rozmowy? spytała.

- Kiedyś. W swoim czasie.

Sylvie z niedowierzaniem wpatrywała się w ścianę galerii. Od rozstania z Jeffersonem minęło dobre pół godziny. W międzyczasie zdążyła być świadkiem burzliwej sceny w recepcji, gdzie Shane i jego przyszła żona wymeldowywali się, zażarcie się z sobą kłócąc.

Odetchnęła z ulgą, kiedy w końcu zniknęli za drzwiami. Oby na zawsze. Miała nadzieję, że Jefferson skutecznie zniechęcił Shane'a do ubiegania się o swoje ojcowskie prawa. Jeden problem z głowy.

A teraz - obraz.

Chwilę temu weszła do galerii, zastanawiając się, jak wytłumaczy się babce z tego, co się stało. A teraz nie wierzyła własnym oczom.

Obraz Wyetha wisiał na swoim miejscu! Opadła na stojącą pod przeciwległą ścianą ławeczkę, nie mogąc oderwać od niego oczu. Próbowwała zebrać myśli.

Jeszcze przed odjazdem Shane'a i jego narzeczonej dowiedziała się od Luca, że odebrał skrzynię z dwoma obrazami wypożyczonymi Maddy na jej wczorajszą galę i jest gotów zająć się ich

powieszeniem. Z wahaniem wyraziła zgodę. Zdziwiła się trochę, nie zastawszy Luca w galerii, zapomniała jednak o swoim zdumieniu, gdy zobaczyła, że na ścianie wiszą znowu wszystkie trzy obrazy. Jakby od wczoraj nic się z nimi nie działo.

Była niemal gotowa uwierzyć, że zniknięcie Wyetha było jedynie wytworem jej wyobraźni. Ale miała przecież świadka w osobie trzeźwo myślącego Jeffersona. W pierwszej chwili chciała pójść zapytać Luca, czy zastał obraz Wyetha na ścianie, ale wolała nie budzić zbędnych podejrzeń. Widocznie ktoś zrobił głupi żart, korzystając z wczorajszych ciemności.

Siedziała długo przed obrazem, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia. Powoli odzyskiwała dobry humor. Życie wraca do normy. Odnalazł się obraz, Daisy Rose jest bezpieczna. Czegóż jeszcze może jej brakować do szczęścia?

Dobrze wiesz, czego, podszepnął wewnętrzny głos.

Nie żądaj zbyt wiele, odpowiedziała mu, energicznie potrząsając głową.

Lucowi i tym razem sprzyjało szczęście. Zdołał odnieść obraz i powiesić go na dawnym miejscu dosłownie parę minut przed tym, jak Sylvie weszła do galerii.

Przez całą noc dręczyło go sumienie. Przede wszystkim jednak kierował nim instynkt samozachowawczy. Zdał sobie sprawę, iż tym razem posunął się za daleko. Drobne kradzieże w pokojach i małe akty sabotażu to jednak co innego niż kradzież cennego obrazu. Jeśli zostanie przyłapany, niechybnie wyląduje w więzieniu.

Nie ma sensu ryzykować. Bracia Corbinowie nie będą z niego zadowoleni, ale w końcu dlaczego miałby nadstawiać za nich głowę. Wymyśli coś innego, żeby ich ugłaskać.

Sylvie patrzyła na Jeffersona, a w jej sercu kłębiły się sprzeczne uczucia. Nigdy w życiu nie czuła się tak szczęśliwa, a zarazem tak smutna i nieszczęśliwa. Czy to możliwe, że jest w nim zakochana?

A więc tak wygląda miłość? Budzi w równym stopniu radość, jak niepewność i lęk? W sumie jednak przeważa radość.

Po cudownym odzyskaniu obrazu i wyjeździe Shane'a jej życie bynajmniej nie wróciło w dawne koleiny, myślała, muskając palcami jego nagie ramię. Wyprawiwszy Emily do Bostonu, Jefferson przez ostatnie pięć dni uczestniczył w towarzyskich spotkaniach, a jednocześnie prawie się z nią nie rozstawał. Ale dzisiaj uroczystości dobiegły końca.

To miała być ich ostatnia noc. Po pożegnalnym balu znaleźli się w jego apartamencie. I kochali się z szaleńczym zapamiętaniem, jakby taka noc miała się nigdy więcej nie powtórzyć. Bo tak i było.

Sylvie usiłowała być dzielna. Odwróciwszy od Jeffersona oczy w obawie, że w przeciwnym razie na pewno się rozplacze, powiedziała:

- Odwiozę cię rano na lotnisko.

Przewrócił się na bok i pochylił nad nią:

- Jeśli chodzi o mój wyjazd ... - zaczął, ale Sylvie nie pozwoliła mu skończyć. - Masz inne plany?

- W pewnym sensie.

Była zbyt zdenerwowana, by pozwolić mu spokojnie mówić dalej.

- A co? Zamówiłeś taksówkę? A może Blake cię odwiezie?

- Posłuchaj mnie, kochanie. Nie mówię o jutrzejszym wyjeździe, ale o przyszłości. - Zamilkł na chwilę, szukając słów. - Doszedłem do wniosku, że byłoby dobrze wrócić na stałe do Nowego Orleanu. Emily jest tego samego zdania. Tutaj upłynęły moje młode lata, i może - spojrzał jej głęboko w oczy - mógłbym tutaj znowu zaznać szczęścia.

Ogarnęła ją nagła radość. Obawiając się jednak, czy dobrze go zrozumiała, upewniła się:

- Naprawdę chcesz się przenieść do Nowego Orleanu?

- Czy to znaczy, że nie miałabyś nic przeciwko temu? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Nadal nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

- A co będziesz tu robił? - zapytała.

- W ostatnich dniach odnowiłem dawne znajomości. I dowiedziałem się, że w pewnej poważnej

firmie prawniczej mają wakat. Jestem w dobrych stosunkach z jednym ze starszych jej partnerów. I wyobraź sobie, że złożył mi dzisiaj bardzo atrakcyjną propozycję podjęcia u nich pracy.

- Dzisiaj? Kiedy? - zawołała, podejrzewając, że tylko się z nią droczy.

- Kiedy poszłaś przypudrować nos - odparł z żartobliwym uśmiechem.

- Naprawdę? Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej. Ale muszę ci zadać jedno pytanie. - Dla większego efektu odczekał chwilę. - Sylvie, czy zechcesz zostać moją żoną?

Teraz już nie miała wątpliwości, że to tylko sen. Niemniej na wszelki wypadek zapytała:

- Co powiedziałeś?

- Czy zostaniesz moją żoną?

- Ale ty nic o mnie nie wiesz.

- Wiem wystarczająco dużo - odparł, przypominając sobie, co parę dni temu powiedziała mu Emily. - Kocham cię, Sylvie. Zakochałem się w tobie w chwili, kiedy cię zobaczyłem. - Tyle że wtedy bał się do tego sam przed sobą przyznać. Ale teraz nie miał już wątpliwości. Sylvie jest mu przeznaczona. Pochylił się, by złożyć na jej ustach delikatny pocałunek. - Nie musimy się pobierać od razu. Możemy poczekać. Powiedzmy, pół roku. Zresztą, ile będziesz chciała. Zdążę przez ten czas zlikwidować sprawy w Bostonie. Emily też nie powinna zmieniać szkoły w środku

. roku. - Mówił to wszystko, niecierpliwie czekając na jej odpowiedź. - Oczywiście wszystko zależy od ciebie ...

- Tak - powiedziała szybko.

- Zgadzasz się?

- Tak.

- Nie chcesz się jeszcze zastanowić?

- Dostyc się zastanawiałam - wyznała. - Od czasu, kiedy pierwszy raz mnie pocałowałeś. Jestem w tobie zakochana, a Daisy Rose stale- o ciebie pyta. .

Ogarnęła go wielka radość.

- Jestem taki szczęśliwy - szepnął, gorąco ją całując.

